

JAN ROZWADOWSKI

O ZJAWISKACH I ROZWOJU JĘZYKA

CZĘŚĆ I.

(PRZEDRUK Z „JĘZYKA POLSKIEGO”, T. I—V)

WYDANIE TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW JĘZYKA POLSKIEGO
Z ZASIŁKIEM MINISTERSTWA W. R. I O. P.

KRAKÓW 1921.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP. W KRAKOWIE
GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE.



484

WSTĘP¹⁾.

Znaczenie języka jest niezmierne. On jest odznaką, cechą i dźwignią całej ludzkości jako wytwór ściśle ludzkiej kultury a zarazem konieczny jej warunek. Język jako wynik pewnego stanu i rozwoju duszy jest właściwą ścianą między człowiekiem a zwierzęciem. Bez wytworzenia języka rozwój ludzkości byłby tylko w bardzo słabym stopniu możliwy.

Dla poszczególnych gromad ludzkich, szczepów i narodów posiada język równie wielką cenę: już sam przez się jest jedną z najwybitniejszych cech i jednym z najmocniejszych węzłów narodu. Dlatego pierwotne społeczeństwa nie uważają ludzi, mówiących obcym językiem, prawie za ludzi: ludźmi są tylko oni sami, wzajemnie się rozumiejący.

Przywiązanie do mowy rodzinnej mieści się tedy w miłości ojczyzny, jest jej częścią składową i jako takie jest słuszne, dobre i piękne. Ale miłość może być głupia, chora i niedołężna; trzeba zaś, aby była rozumna, zdrowa i silna. Chcąc coś dobrze kochać, trzeba ten przedmiot przedewszystkiem znać i rozumieć; chcąc, aby nasza miłość np. dla dziecka wyszła naprawdę na dobre — jemu i nam samym, trzeba koniecznie poznać i znać jego usposobienie, istotę, duszę całą. Jest więc rzeczą jasną i pewną, że trzeba naprawdę rozumieć język ojców, jeżeli przywiązanie do niego ma mieć wartość — dla niego i dla nas.

Gdzie warunki życia narodowego są tak niekorzystne i trudne jak u nas, gdzie one językowi po części wprost zagrażają, tam trzeba wzmózonych wysiłków, aby ową nienormalność warunków przemóc, raz wogóle, powtóre w szczególności ze względu na język; trzeba dlań wzmóżonej miłości i pieczy — oczywiście znowu rozumnych i zdrowych. W tem też cała trudność. Ale nawet u narodów, które

¹⁾ 1, 1 (styczeń 1913).

są w swych warunkach bytu i rozwoju na silnych podstawach oparte, gdzie zatem i język także, już samorzutnie, bierze udział w tem całym zdrowym życiu, nie brak dzisiaj świadomej pracy także nad nim i — w zasadzie słusznie. Bo wogóle kultura ludzka, rozwijając się nieustannie i potęgując, wzmacnia także ciągle czynnik świadomego działania i namysłu we wszystkich działach twórczości — nawet w takich, które najbardziej zależą od zdolności, jak się to mówi, ze sobą na świat przyniesionej. Nowoczesny artysta naprzykład, różni się przecież bardzo od swego starożytnego kolegi także pod względem stopnia zdawania sobie sprawy z istoty sztuki, jej celu i środków. Gdyby nawet osobiście nie miał do tego usposobienia i skłonności i pracował raczej z koniecznością instynktu, to i tak jest obok i naprzeciw niego całe środowisko artystyczne i społeczne, cała odnośna świadomość w krytyce się ujawniająca i to nań koniecznie oddziaływa. W kulturze ludzkiej wszystko polega na współdziałaniu. Jak we wszystkich przejawach życia i twórczości były i są różne prądy, style i skłonności, a moment świadomego namysłu coraz więcej w nich się wybija, tak i w języku. Dziś naprzykład uważa się powszechnie nadużywanie obcych wyrazów i zwrotów jako coś przeciwnego pięknu języka; wszędzie też, zgodnie z ogólną cechą rozwoju, usiłują wzmocnić i wzbogacić język pierwiastkiem ludowym, — inaczej, niż w ubiegłych wiekach a świadomie.

Mnożą się też wszędzie roztrząsania, rozprawy i książki o języku i różnych jego stronach, dla szerokich kół przeznaczone, tak samo jak o sztuce i innych działach twórczości. Sami zawodowcy powinni się starać, aby przepaść, między nimi a resztą społeczeństwa leżąca, nie była przepaścią. Jeżeli mają co do powiedzenia, niech mówią, bo to jest ich obowiązkiem. Zawodowcy ruszają ramionami z politowaniem nad głupotą ogółu i jego niepowołanych zapatrywań i sądów w danych sprawach; ale skądże ogół ma mieć o tem lepsze wyobrażenie, jeżeli ci sami zawodowcy uważają za rzecz poniżej swej godności do niego się odzywać. Uczony ma skłonność żyć jak członek kolegium augurów: ogół mu się odplaca, podejrzewając wartość jego zawodu i często nawzajem się lekceważą. A ludzkość w ciężkiej pracy nad swym rozwojem nie może sobie pozwalać na zbytek, aby podział pracy stawał się egoizmem i wrogiem odsuwaniem. Wszyscy wzajemnie muszą ze swej pracy korzystać: chodzi tylko o to, aby to korzystanie z całą świadomością ułatwiać i z dobrą wolą przeprowadzać.

Miesięcznik »Poradnik językowy« wchodzi w nowy okres istnienia jako »Język polski«. Wyrósł z żywego ziarna gorącej troski o język ojczysty, rzuconego w macierzystą glebę polską: Jak mówić?

Jak dobrze mówić po polsku? Co robić, aby mowa rodzinna rosła dalej prosto, bujnie i krzepko? Przez szereg lat odpowiadał »Poradnik« na te pytania, lepiej lub gorzej, — bo niema doskonałych na tym świecie — nawoływał i skupił dosyć liczne grono ludzi. Ma swoją zasługę. Przeglądając jego łamy i poruszane w nich wątpliwości i pytania sporne, a także odpowiedzi dawane, łatwo się przekonać, że główną ich przyczyną jest obok silnego wpływu języków niemieckiego i rosyjskiego na polski nieznajomość zasadniczych pojęć o języku. Najlepszą podstawą do rozstrzygania szczegółowych pytań, czy tak czy owak trzeba mówić, a przedewszystkiem do samego rozsądnego stawiania takich pytań, jest należyte pojmowanie zjawisk, składających się na pojęcie języka wogóle. Z językiem jest jak z bardzo złożoną i misterną maszyną: nauczyć się nią posługiwać nie jest rzeczą trudną, ale tylko ten, kto zda sobie jasno sprawę z jej składu i działania może ją mieć naprawdę w opiece.

A język jest w dodatku wspanialszą i misterniejszą budową, niż najwspanialsze i najmisterniejsze dzieła artystyczne. Sam przez się, poza swem znaczeniem dla poszczególnych narodów, jest tak niesłychanie ciekawym i podziwiania godnym wytworem duszy ludzkiej i takim arcydziełem ludzkiej kultury, że nie przystoi człowiekowi zajmować wobec niego stanowisko czysto użytkowe. I wszyscy mają doń prawo, wszyscy są w języku twórcami, pracownikami i artystami zarazem; złożyły się nań drzemające w najpierwotniejszych duszach człowieczych siły i zdolności od najdawniejszych czasów; cała praca rozwojowa i cała poezja człowieka w nim się odbija, od półzwierzęcych stanów począwszy a na największych genjuszach i najpotężniejszych mistrzach słowa czasów nowożytnych skończywszy. Mają też wszyscy obowiązek, a im kto wyżej w kulturze stoi, im więcej także z języka czerpie i językowi dać może, tem większy, aby przypatrzeć się nareszcie temu wynikowi twórczej pracy niezliczonych wieków i pokoleń, zrozumieć raz język — zrozumieć i stąd nowych sił zaczerpnąć.

Otóż chcę, tak dobrze jak tylko mnie stać na to, przyczynić się do osiągnięcia owego zrozumienia językowej twórczości duszy ludzkiej wogóle, polskiej w szczególności i w szeregu pogadanek o ten cel się pokusić. Mówię »pogadanek« tylko dlatego, aby pamiętać o przystępnym i swobodnym sposobie porozumiewania się z czytelnymi. A nie dlatego, jakoby miał zamiar dawać czytelnikom tylko plewy z naszej maki. Przeciwnie chcę dawać mąkę, a jeżeli nie będzie najprzedniejszą, to już wino mego młyna. Ale sądzę, że to i owo przeczyta także ten i ów językoznawca nie bez korzyści.

1. Język jako wytwór kultury¹⁾.

Człowiek ma zawsze skłonność uważać język za coś niepojętego, prawie odrębnego i niezależnego od siebie. Musi się go przecież uczyć, nie może go dowolnie zmieniać, tysiące i miliony najróżniejszych ludzi mówi jednakowo lub prawie jednakowo. Tak też myśleli długo bardzo nawet ludzie z zawodu językiem się zajmujący, gramatycy i filologowie. Człowiek pierwotny uważa wprost język za jakieś tajemnicze, boskie istnienie; wyrazy znaczą dla niego prawie tyle co rzeczy; język jest darem bogów. Człowiek kulturalny inaczej, ale również dochodzi do jeszcze większego wyodrębnienia języka: bo pisze go i czyta, a więc widzi przed sobą. Ma grube tomy słownika i gramatyki, w których język jest zawarty. Sto i dwieście i więcej lat temu tak samo prawie ten język w księgach wygląda. Nowożytnie językoznawstwo, zagłębiając się w istotę swego przedmiotu, zrobiło wielki krok naprzód, w czym mu zresztą pomagała filozofia i psychologja i zobaczono, że język istnieje przedewszystkiem w duszy ludzkiej i że jest wytworem ludzkiej kultury. Ale do prawdy dojść nie łatwo. I nowsze językoznawstwo, mimo całego postępu, nie sformułowało sobie właściwie jeszcze jasno sprawy. Z jednej strony, rozważając, jak mały wpływ ma osobnik na wygląd języka, że mówiąc codziennie, krzycząc, łajając, każąc sobie dawać jeść i t. d. bez końca nie rozmyśla się przecież zazwyczaj nad tem, jak się mówi i wymawia, że się nie troszczy o logikę w sposobie mówienia, — otóż, rozważając to wszystko, językoznawstwo doszło do przekonania, że zmiany językowe, zwłaszcza fonetyczne odbywają się nieświadomie. I to twierdzenie przeszło do podręczników naszej nauki, nawet przez bardzo wybitnych uczonych układanych. Jeżeli tak, to język byłby znowu czemś odrębnym od człowieka, od duszy ludzkiej. Jeżeli może się rozwijać bez udziału świadomości, no to jest oczywiście jakimś osobnym istnieniem, bo jeżeli służy do wyrażania najwyższych stanów świadomości, najsilniejszych napięć uczucia, najgenialniejszych myśli, metafizycznych pomysłów, a przytem, choćby częściowo tylko, rozwija się nieświadomie, no to jest znowu czemś zgoła tajemniczym, niepojętym! Przekonanie owo musi być zatem mylne. To jedno. Są znowu bardzo znakomici i myślący językoznawcy, którzy twierdzą i bez znużenia powtarzają taką prawdę: język istnieje tylko w duszy mówiącego, poza nią, poza odnośniami wyobrażeniami go niema, wszelkie związki i zmiany odbywają się właściwie tylko w duszy, to jest w myśleniu językowym, wszystko inne

¹⁾ 1, 1 (styczeń 1913).

to złudzenie. Ale człowiek zwyczajny, mający zdrowe zmysły, nie może tego pojąć: jak to, przecież ja gadam, ruszam językiem i ustami, słyszę sam siebie, widzę i słyszę drugih, jak to samo robią, więc jakże języka niema poza duszą? To drugie. Wreszcie, rozważając język jako wytwór kultury ludzkiej, jako wynik kulturalnej pracy człowieka, jedni powiadają: język to jest przedewszystkiem czynność, twórcza oczywiście, za każdym wyrazem, za każdym jego wymówieniem na nowo się odbywająca i to jest właściwa aktualność, właściwy język; drudzy zaś powiadają: język to twór kulturalny, rzecz przez czynność duszy stworzona. Tamci powiadają, język to przedewszystkiem budowanie, ci — język, to budowa. I jedno i drugie mówią pierwszorzędni uczeni.

Te wszystkie określenia są jednostronne, ale zbliżają nas do prawdy. Tak się zawsze dzieje. Jak artylerzysta chcąc w cel ugodzić robi tak zwane widły i stara się pierwszy pocisk puścić krótko, przed cel, a drugi długo, poza cel i potem połowiąc odległość aż do skutku, wcześniej czy później celu dosięgnie, tak i nauka, o ile genialnym rzutem oka, intuicyjnie, nie chwyci prawdy odrazu, to ją takimi widłami — tylko nieświadomie — zagarnia. Prawda zaś, to jest istota rzeczy danej, leży w tych widłach. Tak i w naszym wypadku. Rzecz jest, jak zobaczymy, prosta, ale wtedy dopiero, kiedy się ją już uchwyci.

Język jest zupełnie oczywiście wytworem kultury ludzkiej czyli cywilizacji w szerokim tego słowa znaczeniu. Kulturę dzielimy zazwyczaj na duchową i materialną, zaliczając do pierwszej np. religję, etykę, prawo, zwyczaje, literaturę, sztukę, do drugiej np. narzędzia, sprzęty domowe, ubranie, domy i wiele innych rzeczy. Język zaliczamy jużci bez wahania do kultury duchowej. Oczywiście: różnica między wyrazem lub zdaniem, wogóle powiedzeniem jakimś a stołkiem, butem, chomątem lub wozem jest niewątpliwa i wielka, tak samo jak między obrazem, wierszem lirycznym, modlitwą a wymienionymi przedmiotami kultury materialnej i tysiącami innych. Trudno też porównać język z jakim wielkim gmachem albo miastem, bo naraz i w całości on istnieje w duszy człowieka tylko jako zdolność, sposobność powiedzenia wszystkich możliwych zwrotów, wyrazów, okresów, a więc jako całość nie jest nawet czynnością (coż dopiero chwilowym wynikiem czynności!), tylko zdolnością urzeczywistnienia się w razie potrzeby. Wszystko to niby prawda, ale właściwie tylko »niby«: to są dopiero owe widły strzelającego.

Przedewszystkiem jest rzeczą jasną, że niema mowy o jakiejś rzeczywistej granicy między kulturą t. z. materialną i duchową. Gdzież jest granica między sztuką a rzemiosłem, między kolebą

górską a katedrą kolońską, między bieleniem ściany a obrazem, między zygzakiem dziecka a portretem Rubensa, między łyżką a posągiem, między kamieniem rzucałym a działem maszynowym i tak dalej bez końca? Wszędzie mamy nieskończony i ciągły szereg rozwojowy form i tworów od najpierwotniejszych do najwyższych i tylko, gdy wezmę poszczególne twory szeregu, odległe od siebie, to wydają się czymś zupełnie różnym, i tylko, ponieważ nie widzę całego szeregu, to poszczególne jego ogniwa nie łączą się na pozór ze sobą. Dla człowieka pierwotnego, który sypiał jeszcze pod drzewami lub na drzewach, w jaskiniach lub dołach, pierwszy szałas sklecony, pierwsza buda, z drzewa lub kamieni zrobiona, była takim samem arcydziełem, jakim były i są dla człowieka w tysiące lat później jego świątynie i pałace. I tak dalej i dalej. To jedno. Uprzymiśnijmy sobie teraz, że każdy wytwór kultury, choćby najpospolitszy i najmaterjalniejszy, każda ława, szklanka, rzemień czy świeca, jest tylko każdorazowym, chwilowym i zewnętrznym produktem twórczości, mającej swą właściwą siedzibę w duszy. Konkretny wytwór jest tylko każdorazowym urzeczywistnieniem się pewnej psychicznej zdolności, nabytej i rozwiniętej. Zwracano nieraz uwagę na to, że gdyby jakieś społeczeństwo kulturalne, mniejsze czy większe, ale przedstawiające całość kultury, przenieść w kraj zupełnie pusty, w czyste pola, lasy i góry, byle tylko ta okolica posiadała naturalne warunki, to ono wcześniej czy później wytworzyłoby znowu całą tę kulturę, jaką posiadało. I naodwrot, gdyby plemieniu jakiemu t. z. dzikich dać europejską stolicę z całemi skarbami kultury w niej nagromadzonemi, to po jakimś czasie cała ta kultura zniknie. Bo konkretna kultura jest tylko szeregiem w nieskończoność powtarzanych wytworów psychicznego rozwoju. Jest zatem rzeczą jasną, że także język w obiektywnem znaczeniu, to jest cały zapas wyrazów, form i zwrotów jest wytworem nabytego i rozwiniętego uzdolnienia językowego, tkwiącego w duszy, i odnośnych przebiegów psychicznych. Mówiąc, wymawiając zdania i wyrazy, lub je pisząc i słuchając drugich mówiących, to, co mówimy i słyszymy lub piszemy, jest już wytworem, ale spełniając odnośne czynności urzeczywistniamy tylko każdorazowo przebiegi psychiczne, spełniamy czynność wytwarzania, na mocy nabytej i istniejącej w naszych duszach sposobności czyli zdolności językowej. Tak samo jak malarz maluje portret lub obraz, muzyk swój lub obcy utwór wykonuje i t. d. bez końca. To drugie.

Zastanówmy się wreszcie nad tem, że każdy, choćby najogromniejszy i z najtrwalszego materiału zrobiony wytwór jest rzeczą przemijającą. Oczywiście, między piramidami egipskiemi a ciastkiem

z pianki, masłem lub papierem jest ogromna różnica, ale znowu niema różnicy zasadniczej. Wytwory kultury także pod względem trwałości i wielkości materiału przedstawiają nieskończony szereg od drobnych i chwilę tylko trwających przedmiotów do rzeczy, mogących przetrwać lat tysiące i zadziwiających ogromem. A tylko, jeżeli z tego nieskończonego mnóstwa rzeczy, wytwarzanych przez człowieka, wyrwiemy z osobna daleko od siebie stojące przedmioty, wydają nam się czymś zupełnie różnym. I otóż: bańka mydlana jest niewątpliwie także tworem ludzkiej kultury, tak samo, jak kółka dymu tytoniowego, które z ust puszczamy; ale jakaż różnica między niemi, a kamienią lub ubraniem! tamte trwają moment tylko, te lata całe. A materiał językowy jest jeszcze lotniejszy, niż bańki mydlanej, bo jest nim powietrze w pewne drgania wprawiane, czyli dźwięk lub szmer określony. Mimo to, wszystko, co mówimy, skończywszy na najmniejszych wyrazach, składających się z jednej głoski, jest tak samo materjalnym wytworem jak bańka mydlana lub kółko z dymu i tak samo w swej najistotniejszej zasadzie jak piramida Cheopsa lub przedmiot z metalu. Bo i te ostatecznie przemijają, to znaczy zmieniają swoją formę. Jeszcze raz powtarzam: mimo, że materiał, z którego tworzymy mowę, jest daleko delikatniejszy niż drzewo, glina, kamień lub kruszec, mimo że polega na urabianiu fali powietrznej i dla naszych zmysłów takie twory od razu przebrzmiewają, mimo to język i jego wyrazy i powiedzenia są, są rzeczywistością konkretną. To trzecie.

Z powyższego przedstawienia widać, jak pouczające jest postawienie i rozpatrywanie zjawisk językowych we właściwym związku. Porównanie z kulturą, pozornie bardzo odległą, bo materjalną, pozwoliło nam już wyświecić sobie dosyć zasadnicze pytania i z określeniem »język jest wytworem względnie twórczością kulturalną« połączyć treść właściwą i prawdziwą. Oczywiście jeszcze bliższe jest porównanie np. z grą albo inną sztuką, ale zestawienie z kulturą materjalną rozświeca w sposób po części nieoczekiwany zjawiska językowe i w tej pogadance w dalszym ciągu na tem stanowisku się zatrzymam.

Z chwilą, kiedy człowiek coś wytworzył czyli nadał kształt zewnętrzny pewnym swoim wyobrażeniom, zamiarom, namysłom, wogóle przebiegom psychicznym, to te twory stają przed nim, nastąpiła projekcja nazewnątrż owych zjawisk wewnętrznych. Równocześnie odbywa się zatem jakby wyodrębnienie tych rzeczy od człowieka, jest to niejako ich odłączenie od duszy i człowiek teraz spogląda na nie jak na części świata zewnętrznego, one działają na jego zmysły, wywołują wrażenia i na podstawie tego urabia się

wyobrażenie względnie pojęcie całkiem określone. Rzecz prosta, że to nie mija bez śladu, owszem ma bardzo znaczny wpływ na dalszy rozwój, bo pierwotny zamiar twórczy i pierwotne, niezupełnie jasne, nieraz bardzo jeszcze niejasne wyobrażenie zamierzonego tworu i owo zupełnie określone wyobrażenie tworu już urzeczywistnionego, kojarzą się silnie ze sobą, co oczywiście ma ważne następstwa. A mianowicie twór raz zrobiony, to jest jego wyobrażenie wysuwa się na plan pierwszy jako ustalenie owego pierwotnego zamiaru i pierwotnego niejasnego wyobrażenia i wskutek tego decyduje o dalszym rozwoju, nadaje mu kierunek. Dlatego to z jednej strony niema nic nowego pod słońcem w zakresie ludzkiej kultury, z drugiej zaś tak trudno opuścić przekazane wzory. Rozwój najrozmaitszych przedmiotów kultury, domów, sprzętów, narzędzi i t. d. najczęściej wykazuje ciągle ten sam zasadniczy motyw, to jest właśnie owo pierwsze, przez projekcję nazewną ustalone wyobrażenie. Nieraz warunki dawno się zmieniły; możnaby stworzyć inny, daleko odpowiedniejszy temu samemu celowi i danym warunkom twór, a mimo to pierwotny wzór trwa dalej. Rozwój budownictwa, ornamentyki, narzędzi i sprzętów, zależnych pierwotnie, a do pewnego stopnia zawsze, od otaczających warunków i materiału, dostarcza mnóstwa przykładów. Ot, weźmy jeden prosty. Czy młotek okrągły, to jest złożony z osadzonej na trzonku kuli żelaznej nie nadawałby się lepiej lub równie dobrze do wbijania gwoździ niż zwykły? Możnaby oczekiwać takiego kształtu tem bardziej, że pierwszym wzorem młota była ręka w pięść zaciśnięta; ale ponieważ materiałem, z którego pierwsze trwałe młoty robiono, był kamień, sposobny do łupania, a nie nadający się do kulistej postaci, ta okoliczność zdecydowała raz na zawsze o rozwoju tego narzędzia. Nasze kolumny świadczą po dziś dzień o starym typie, wzorowanym na azjatyckiej lub afrykańskiej palmie i utrzymanym, chociaż je zaczęto robić z kamienia, i t. d., i t. d. W całej kulturze obok celowego postępu mnóstwo wskutek tego przeżytków, siłą bezwładności wleczonych. To samo odnajdujemy w wysokim stopniu w języku: jego twory, raz ustalone, wpływają przede wszystkim niezmiennie na rozwój myślenia, dając płynnym wyobrażeniom twarde kształty, powtórzone zaś decydują o dalszym rozwoju języka, często niekorzystnie, a w każdym razie osadzając w nim z biegiem czasu mnóstwo przeżytków. Czy rozróżnianie rodzajów w językach indoeuropejskich nie jest ciężarem bezcelowym przynajmniej w trzech czwartych swego zakresu? Ludy, oznaczające w swych językach w razie potrzeby rodzaj naturalny, ale zresztą nie znające tej kategorii, mają języki pod tym względem od naszych lepsze: dla nich jest też rzeczą niepojętą

i śmieszną, że np. w polskim stółek jest niby samcem, ławka samicą, a krzesło dzieckiem. Ale kiedy pod wpływem pewnych warunków ustaliła się raz w językach indoeuropejskich forma rodzajowa przy pewnych rzeczownikach, to ten twór nadał raz na zawsze (a raczej na bardzo długo: niektóre języki indoeuropejskie, np. angielski, już się uwolniły od tego przeżytku) kierunek dalszemu rozwojowi wyobrażeń rzeczownikowych i ich wyrazów. W językach słowiańskich stałe i konieczne rozróżnianie czasowników dokonanych i niedokonanych jest bardzo często ciężarem niepotrzebnym, w innych znowu zbyt szczegółowe rozróżnianie różnych czasów przeszłych, ale twory raz ustalone wywierają swój wpływ, często jak widzimy niekorzystny. Czy nie jest bezcelowem zużywaniem siły konieczność mówienia np. w polskim języku: mój młodszy brat jest wesoły, pracowity, przystojny i odważny, ale: moja młodsza siostra jest wesoła, pracowita, przystojna i odważna? Ta konieczna formalna zgoda określeń z podmiotem pod względem rodzaju, liczby i przypadku jest przeważnie lub zupełnie zbyteczna; Niemiec przynajmniej w orzeczeniu mówi jednako: mein Bruder ist gut, i: meine Schwester ist gut. W wielu językach afrykańskich rozróżnia się kilkanaście kategorii rzeczowników i każdy rzeczownik musi do pewnej klasy należeć, a odnośna cecha powtarza się w zdaniu także przy jego określeniach: to konsekwentne i bezmyślne rozszerzenie pierwotnych szczegółowych tworów na wszystkie dalsze jest znowu bezcelowe i uciążliwe. W jednych językach twory imienne przywalały zupełnie wszystkie inne, sposób mówienia jest w nich urywany i luźny, a na odwrót są takie, gdzie znowu twory czasownikowe zdecydowały o dalszym rozwoju wyrażania się i wywołały niezmiennie ciężką budowę. I tak dalej bez końca. Powiedziałem, że język i języki są arcydziełami ludzkiej kultury: niewątpliwie, ale są w nich także arcydzieła groteskowej prawie potworności. Stoi to na równi z takimi objawami ludzkiej kultury, jak obowiązkowe kaleczenie nóg u Chinek, obowiązkowe kaleczenie sobie skóry dla ozdoby, obowiązkowe fantastyczne fryzury, nadawanie pewnej postaci czaszkom u rozmaitych szczepów ludzkich i t. d., i t. d. Chłop rosyjski nosi koniecznie brodę, polski ją goli równie obowiązkowo, żeby przytoczyć prosty bliski przykład.

Inaczej się ubieramy na podomiu, inaczej idąc w odwiedzinę do znajomych, inaczej na uroczystą wizytę, bal lub posłuchanie. Rozmaicie się też zachowujemy, chodzimy, kłaniamy: inaczej siedzimy w domu po obiedzie, inaczej przy boku pięknej i światowej pani. I tak dalej i dalej. Oczywiście dlatego, że się znajdujemy w rozmaitych nastrojach, które także nazewną z koniecznością

się ujawniają; szczegółowa zaś zewnętrzna postać tych nastrojów, to że raz kładziemy żakiet, raz długi redęgot, frak i t. d., to już jest wynikiem ustalenia formy czyli zwyczaju albo mody, o cośmy przed chwilą zawadzili. Otóż te różne nastroje znajdują swój wyraz i w języku: rozróżnia się zazwyczaj typ mowy swobodny, codzienny i uroczysty, podniesiony, ale naprawdę jest cały szereg sposobów mówienia, tak jak jest cały szereg sposobów ubrania i zachowania. Nie mogę do kościoła lub na ulicę wyjść w kamizelce, na posłuchanie nieogolony, za trumną w jasnym ubraniu: nie mogę też, mówiąc w jakimkolwiek uroczystym nastroju, wymawiać »bede, matke«, a naodwrot na pytanie kogoś z domowników przy stole: czy będziesz jadł leguminę? wymówię odpowiadając »bede«, a nie dobitnie »będe«. Do znajomego powiem: masz dobre szkapę; sto razy w swobodnym nastroju wyrażę się: szkapę mi się spłoszyła, ale nie mogę powiedzieć, że cesarz pojechał gdzieś tam nie automobilem tylko szkapami, że całe ćwiczenia odbył na szkapie, że pod hetmanem ubito szkapę. Wrócę do tego jeszcze później osobno, bo rzecz warta bliższego rozpatrzenia, ale w tej pogadance chcę przede wszystkim oświecić zjawiska językowe z punktu widzenia związku języka z kulturą także materialną i raczej nakreślić szereg (oczywiście nie wszystkich) zadań z tego wynikających, niż je szczegółowo omawiać.

Ponieważ zresztą znużyłem już może uważnego czytelnika, — więc na zakończenie i narazie naszkicuję już tylko inne strony takiego rozpatrywania, aby dana wyżej zapowiedź, że na język to jest twory językowe można także patrzeć jak na twory materialnej kultury, nie wydała się gołosłowną.

Wyrazy i zdania, a z niemi cały język, zmieniają swą postać i znaczenie, rozwijają się i przeobrażają: a czyż narzędzia i sprzęty nie rozwijają się również? Zmienia się ich postać, materiał, zastosowanie, różniczkują się w nieskończoność podobnie jak wyrazy. Te same procesy psychiczne, które są czynne w rozwoju języka, działają także w rozwoju innych zakresów kulturalnych. Wyraz zmienia jak wiadomo często do niepoznaki pierwotne znaczenie, tak samo jak materialny twór kulturalny. Jakże daleko odbiegły nasze stołki, zydle i różne sprzęty od materiału, z którego się je robi i od pierwotnych kształtów; łyżka od dłoni zaokrąglonej, widelec od ręki z wyciągniętymi palcami, młot od pięści, a wszystkie trzy przedmioty od kawałka drzewa i metalu, z którego są zrobione; ornament od postaci zwierzęcej lub roślinnej, świątynie, pałace i domy od jaskiń i szałasów! Równie daleko jak *stół* od *ścielenia*, *ściana* od *Stein*, *nóż* od *nizania*, *pastor* od *pasterza*, *ksiądz* od *księcia*, *patrony* pocisków od

patronów malarza pokojowego, a jedne i drugie od *patrona* itd. itd. Na dnie zaś tych przeobrażeń leżą te same zjawiska psychiczne, które przeobraziły twory kultury materialnej. Ginią narzędzia i sprzęty ginią i wyrazy. Utrzymują się długo staroświeckie naczynia, ubrania, są i staroświeckie wyrazy i zwroty. Jeżeli nie znam aktualnego znaczenia wyrazu, to etymologiczne jego znaczenie nic mi nie pomoże i gdybym nie wiedział aktualnego znaczenia wyrazów *schody*, *plot*, *kręt* itd. itd., to etymologiczny ich związek z *chodzeniem*, *kręceniem*, *pleceniem* na nic mi się nie przyda. Obcy język, wyrazy obcego języka są mi bezużyteczne, są niczem, o ile nie wiem, co znaczą. To samo z tworam materialnej kultury. W wykopaliskach znaleziono i po muzeach umieszczono mnóstwo rzeczy, których przeznaczenia, to jest znaczenia nie wiemy: widzimy, że są z kości lub kamienia, tak i tak wyglądają, ale nie znamy ich aktualnego znaczenia i są dla nas tak samo głuche i nieme jak wyraz, własny czy obcy, którego znaczenie zaginęło lub jest dla mnie chwilowo nieznane. Albo jak obok języka ogółu są języki techniczne zawodów, tak wobec narzędzi i sprzętów, używanych przez wszystkich, są narzędzia techniczne, dla innych niezrozumiałe.

Mógłby ktoś zwrócić mi uwagę, że te wszystkie paralele, chociaż rzeczywiście uderzające, nie są istotne, bo przecież wyraz sam przez się, jako pewne brzmienie, nic nie znaczy, i tylko jest znakiem, symbolem odnośnego wyobrażenia, że zatem niepodobna porównywać wyrazu z nożem, łóżkiem, dywanem. Ale po pierwsze jest mnóstwo materialnych wytworów, które również tylko jako znaki pewnych wartości psychicznych mają swe znaczenie: skrawek wstążeczki, gwiazdka z celulozy albo pióro jakiegoś tam ptaka same przez się cóż znaczą? ale umieszczone na surducie dostojnika, kołnierzu oficera, czuprynie wodza indyjskiego stają się odznaką ich godności. Powtóre cóż znaczy jakikolwiek twór kultury sam przez się? W gruncie rzeczy tyle, co nic; absolutnego znaczenia nie ma, tylko względne, to znaczy to znaczenie właściwe, które ma dla odnośnego człowieka, czyli jest znakiem pewnej wartości psychicznej i służy do pewnego celu, przez człowieka wytworzonego. Zupełnie tak samo twory językowe. Kompleksy fonetyczne, zwane wyrazami i głoski same przez się nic prawie nie znaczą, ale nie absolutnie nic, bo są: ale tak samo stół lub pióro do pisania dla dzikiego, który jada na ziemi i pisać nie umie, nic prawie nie znaczą, to jest nie absolutnie nic, bo są kawałkiem drzewa i metalu, ale nie to, co dla nas. Można na to wszystko jeszcze inaczej nieco spojrzeć, ale wracam do przebranego wątku, a zarazem do końca tej rozprawki.

Przejmujemy, zapożyczamy wyrazy obce: to samo robimy z ubraniem, sprzętami, wynalazkami. A moda? jej ścisły i ważny związek ze zwyczajem, głębokie znaczenie tych norm dla społeczeństwa? Otóż język i wyrazy podlegają i zwyczajom stałym i modom przelotnym równie dobrze jak ubranie, urządzenie domu, kapelusze i krawatki. Ale o tem wszystkiem innym razem, jak i o wielu innych rzeczach, które rozmyślanie uczonego z języka dobywa.

2. Językoznawstwo a język literacki ¹⁾.

Językoznawstwo ma skłonność do lekceważenia i odsuwania od siebie języka literackiego jako wytworu sztucznego, filolog i wogóle człowiek wykształcony przeciwnie jest skłonny uważać język ludowy, zwłaszcza narzecza, za popsuty i gorszy rodzaj języka piśmiennego; lingwistę ciągnie do narzecza, jako do tworu pełnego świeżości i drgającego życiem, filologa do języka literackiego jako do czegoś wyższego. Różnica tych zapatrywań sięga głęboko w przeszłość i rozwój filologii i językoznawstwa, a zarazem w istotę przedmiotu i dobrze jest przypatrzeć się bliżej tej sprawie.

Długie wieki filologja nie zajmowała się wcale językiem ludowym i narzecza. patrząc na nie z góry i co najwyżej wyławiała z nich zapomniane i wyszłe z użycia powszechnego wyrazy dla objaśnienia równie wyszłych z obiegu i skutkiem tego niejasnych wyrazów, spotykanych w starych zabytkach piśmiennictwa. Tak filolodzy starożytni posługiwali się np. wyrazami cypryjskimi dla objaśnienia Homera, wyrazami sabińskimi i innemi dla wyjaśnienia różnych terminów rzymskich. Poza tem, przedmiotem ich zajęcia był tylko język literatury i to tylko jako twór artystyczny, a nie sam w sobie jako jeden z objawów życia i kultury ludzkiej. Oczywiście zwracano też uwagę na język mówiony i na różnice między nim a językiem pisanym, ale zawsze tylko na ogólny język klasy wykształconej i robiono to tylko z powodu wyłaniania się spornych pytań co do poprawności pisowni, wymawiania, form lub zwrotów. W miarę powiększania się różnicy między językiem piśmiennym a ogólnie mówionym, oraz w miarę rozszerzania się liczebnego i przestrzennego warstwy t. z. wykształconej, pytania te się mnożyły — czego dowodem są np. dzieła późniejszych gramatyków rzymskich lub indyjskich — ale punktem widzenia i sposobem stawiania kwestji była zawsze i wyłącznie poprawność.

I to trwało długie wieki aż w głąb dziewiętnastego. Wpraw-

¹⁾ 1, 3 (marzec 1913).

dzie chrześcijaństwo złamało pogardę dla języków barbarzyńskich, zatem niepiśmiennych, i na widownię klasycznej i poklasycznej kultury wystąpiły z biegiem czasu liczne ludy, dotąd w mroku epok przedpiśmiennych żyjące, ale z zasadniczej strony sposobu patrzenia się na język właściwie nic się nie zmieniło. Przejęto i przeniesiono poprostu na inne języki kąt widzenia starożytnych filologów, przejęto i przyswojono sobie żywcem system starożytnej gramatyki, a z chwilą, kiedy u poszczególnych narodów wyrabiał się i ustalał typ języka kulturalnego, względnie literackiego, patrzono się nań tak i zajmowano nim tyle, co i dawniej.

Rozwinęło się tymczasem nowożytne językoznawstwo w wieku XIX. Nie wchodząc w czynniki rozwoju, które to sprawiły, stwierdzimy, że zasadnicza różnica między językoznawczem a filologicznem zajmowaniem się językiem, tak jak te dwa sposoby badania rzeczywiście się rozwijały i rozwinęły, leżała, a po części i dziś leży w odmiennem stanowisku wobec języka. Językoznawstwo wzięło za przedmiot badania język sam w sobie, język jako funkcję i wytwór duszy względnie kultury ludzkiej, nie oglądając się na literaturę. Ewolucja zapatrywań odbywała się jednak powoli i zasadnicze stanowisko nie odrazu się zmieniło.

Językoznawstwo indoeuropejskie, powstawszy z początkiem wieku XIX., przejęło opracowany dotąd przez filologję, a raczej przez rozmaite filologie materiał: indyjski (sanskrycki), grecki, łaciński, germański i t. d. Dopatrzwszy się związku genetycznego między całym szeregiem języków Europy i Azji i rozpatrując systematycznie i szczegółowo te związki i ich rozwój, musiało z konieczności zwrócić uwagę na przeobrażanie się konkretnych zjawisk językowych, głosek, form, znaczeń i t. d., i starać się ujmować te zmiany w szeregi, grupując je wedle cech wspólnych. Spostrzeżono z jednej strony znaczną prawidłowość w tych zmianach i odpowiednikach między jednym językiem a drugim, z drugiej zaś liczne odstępstwa, czyli to, co znano i dawniej, tylko w znacznie ciaśniejszym zakresie, jako regułę i wyjątek. I dosyć długo obracało się językoznawstwo w tych ramach, kładąc podstawy historyczno-porównawczej gramatyki języków indoeuropejskich, a różniąc się od filologii klasycznej głównie tylko szerokim zakresem przedmiotu i rozległością historycznego widnokręgu, niewiele zaś swym zasadniczym stosunkiem do przedmiotu. Zwolna dopiero uświadomiono sobie, że przedewszystkiem trzeba koniecznie wniknąć głębiej w istotę badanego przedmiotu, a najlepszym dowodem, z jaką trudnością to się działo, jest okoliczność, że to nowe stanowisko, jasno określone i wyrażone, wywołało

w ósmym dziesiątku lat zeszłego wieku wśród indoeuropeistów rodzą rewolucji.

Wówczas to powiedziano sobie między innemi, że dla zdania sobie sprawy z istoty zjawisk językowych jest rzeczą nieodzowną a jasną jak słońce, aby się zwrócić do języków żywych, zatem dostępnych badaniu w całej pełni, przede wszystkim zaś do języka ojczystego, jako takiego, który badaczowi jest najdokładniej, aż do najdrobniejszych odcieni znany, a zarazem, który jest dla niego żywym w najwyższym stopniu. Żądanie i stanowisko niewątpliwie słuszne. To była jedna droga, po której zaczęto schodzić ostatecznie do narzeczy. Powtóre: dla samych podstaw historycznej gramatyki języków indoeuropejskich było rzeczą bardzo ważną ustalenie ich rozwoju fonetycznego, stwierdzenie, jakie zmiany głoskowe w nich się odbyły, czyli ustalenie tak zwanych (nieszczęśliwie) praw głosowych. Zauważono przytem, że liczne nieraz odstępstwa od jakiejś zmiany fonetycznej polegają nietylko na tem, że działanie owej tendencji fonetycznej zostało wstrzymane lub usunięte przez inną tendencję fonetyczną albo przez działanie t. z. analogji, to jest wyrównywania powstałych różnic fonetycznych pod wpływem pokrewnych form lub wyrazów (np. w polskim *żenie* zamiast dawniejszego, fonetycznie regularnego *żenie*, pod wpływem obocznych form *żona*, *żony*, *żonę*, *żoną* i t. d.), ale często także wskutek mieszania różnych właściwie narzeczy. Np. dosyć liczne w ogólnym języku greckim, polegającym w zasadzie na narzeczu atyckim, *z* (*ā*) zamiast oczekiwanego wędleznanej tendencji fonetycznej tego (i jońskiego) narzecza *η* (*ē*) pochodzą także stąd, że do tego ogólnego języka dostały się różne wyrazy doryckie lub eolskie, gdzie tej zmiany fonetycznej nie było. A to przecież, mówiono sobie, nie jest rzecz właściwie naturalna. Ba, pominiawszy pewną ilość wyrazów, wziętych poprostu jako terminy techniczne, np. doryckie *λοχμός*, spotykamy w dramacie atyckim w chórach co chwila doryckie *z*, a przecież żaden Ateńczyk tak naprawdę w życiu codziennym nie mówił. A jeśli się przypatrzymy jakiemu dialektowi żyjącemu, to spostrzeżemy w nim zadziwiającą prawidłowość w przeprowadzeniu tendencji fonetycznych. Zarysowała się zatem niby sama z siebie różnica między naturalnym a kulturalnym stanem języka. I powiedziano sobie, że wprawdzie żaden z języków indoeuropejskich wraz ze swemi narzeczeniami nie przedstawia stanu, nie dotkniętego jeszcze przez kulturę, ale im jaki język jest temu stanowi bliższy, tem mniej w nim będzie wyjątków od praw głosowych. Przy sposobności obrachunku krytycznego i zasadniczego, jakie przeprowadzało nowsze językoznawstwo ze swemi poprzednikami, powiedział Brugmann Curtiusowi co następuje:

»Zaleciłbym Curtiusowi zamiast się zwracać do ksiązek, w których przecież jest prawie zawsze mowa tylko o minionych fazach językowych, dostępnych zatem tylko poprzez zaciemniające meandrum pisma, aby się raz poinformował u żywych narzeczy ludowych, albo wprost, albo z ksiązek, w których są naukowo dokładnie przedstawione. Przypuszczam, że się zadziwi, jak regularnie, w porównaniu z językiem piśmiennym, jest tu utrzymany tensam kierunek zmian fonetycznych«. (Brugmann, Zum heutigen Stand der Sprachwissenschaft 1885, str. 64 nast., przypisek).

I tu dochodzimy do jądra kwestji. Brugmann wprawdzie mówił wyraźnie, roztrząsając wzajemny stosunek filologii i lingwistyki:

»Nie więcej uprawnione jest twierdzenie, z którym i dziś jeszcze często się spotyka zarówno wśród filologów jak lingwistów, że do filologii należy z istoty rzeczy badanie strony kulturalnej (Culturseite), a do lingwistyki badanie strony naturalnej (Naturseite) języka. Przez stronę kulturalną rozumieją traktowanie języka w duszy i ustach ludzi wykształconych, zwłaszcza zaś w literaturze. Za stronę naturalną uważa się natomiast postać języka w duszy człowieka naiwnego, to znaczy zwykły, naturalny sposób mówienia człowieka prostego. Tu trzeba przyznać, że dotychczas filologia badała rzeczywiście więcej ten wyższy, a lingwistyka ten niższy sposób mówienia. Ale też tylko tyle.

»Jeżeli filolog zdawna zwraca uwagę przeważnie na język kultywowany, to robi to z powodu jego stosunku do literatury oraz ponieważ się stara uchwycić indywidualność każdego pisarza z osobna. Ale nie jest to nic wyłącznie filologicznego. Językoznawstwo samo przez się wymaga, aby badacz rozpatrywał życie języka aż do jego najbardziej swoistych rozgałęzień. Wszakże każdy językowy wytwór (Schöpfung) jest dziełem jednostki, wszystko jedno czy to się da rozpoznać z przekazanej postaci, czy nie. A chociażby jednostka mówiła i pisała nie wiem jak szczególnie, chociażby udział jej refleksji, zwłaszcza artystycznej, w jej produkcji językowej był niewiedzieć jak wielki, to jej twórczość językowa zależy zawsze od tych samych psychicznych i fizycznych zasadniczych czynników jak u każdego innego, a zatem jest równie dobrze przedmiotem badania językoznawstwa, jak jakiekolwiek inne mówienie. Jeżeli porównawczy lingwiści dotychczas zajmowali się przeważnie stroną naturalną, to dlatego, że historycznojęzykowe badanie powinno od tej strony zaczynać. Zanim się można zwrócić do indywidualnych kształtowań, nieznacznie tylko odbiegających od całości, od jej przeciętnego poziomu, musi się stwierdzić zasadnicze fakty i ogólne zarysy rozwoju językowego. Jest przytem rzeczą naturalną, że na-

»przód się uwzględnia tę stronę rozwoju językowego, w której
 »działanie oboczne czynników jest najmniej złożone, gdzie zatem
 »te czynniki najłatwiej dadzą się osobno oglądać. Tą stroną jest
 »właśnie zwykła codzienna mowa. Językoznawstwo indoeuropejskie
 »jest jeszcze zanadto w początkach, abyśmy mogli od tego swego
 »najbliższego zadania częściej, a nie tylko przygodnie, odstępować
 »i zajmować się zawilszymi pytaniami języka hodowanego. W przy-
 »szłości będzie się jednak musiało i na nie zwrócić szczególną uwagę.
 »Oczywiście filolog jako taki powinien także stronę naturalną uwzględ-
 »niać, taksamo jak on, np. jako archeolog, ma badać nie tylko rozwój
 »budowy świątyń i innych rodzajów artystycznej architektury, ale
 »także rozwój prostego domu mieszkalnego.

»A zatem chodzi tu tylko o podział pracy, który zresztą ani
 »był kiedykolwiek zupełny, ani będzie się mógł stale utrzymać w tym
 »stopniu co dzisiaj. Nie podkreślanoby zresztą tak różnicy między
 »filologicznym a lingwistycznym badaniem języka, gdyby nie to, że
 »udział refleksji w mowie kulturowanej albo uszlachetnionej w po-
 »równaniu z naiwną mową przedstawiano sobie większy, niż jest
 »naprawdę« (w przytoczonej książce, str. 19 nast.).

To stanowisko zajmuje Brugmann i dzisiaj w najogólniejszej
 zasadzie. Ale podział pracy wydaje mu się już stałym, prawie ko-
 niecznym. Z jakości zadania porównawczych językoznawców wynika,
 że na pewne strony życia językowego nawet w starszych epokach,
 którymi się przeważnie zajmują, mało zwracają uwagi. Przedewszy-
 stkiem na indywidualne używanie języka w literaturze. W tym wzglę-
 dzie stwierdza dziś Brugmann krótko i stanowczo:

»To co porównawczy indoeuropeista jako taki dobywa, rzuca
 »światło przedewszystkiem na ogólny usus językowy danego narodu,
 »na kształtowanie się języka w duszy człowieka prostego. To zaś,
 »jak na podstawie codziennej, naturalnej mowy przyszło do szcze-
 »gólnego jej kształtowania, jako języka literatury danego narodu, jak
 »znowu poszczególni pisarze z tym językiem się obchodzą i jakie są
 »wzajemne stosunki między językiem codziennym a piśmiennym, to
 »pozostawia się specjalistom«. (Grundriss der vergleichenden Gram-
 matik der indogermanischen Sprachen I² 1897, str. 31). Brugmann
 mówi wprawdzie bezpośrednio dalej:

»W ten sposób istnieje w badaniu języków indoeuropejskich
 »podział pracy, stojący w ścisłym związku z kierunkiem rozwoju,
 »jaki nauka zdawna miała i mieć musiała. Czy przytem jednostka
 »zakreśla sobie szerzej czy ciśniej granice badania, w każdym razie
 »wszyscy pracujący na tem polu muszą mieć świadomość związku
 »między poszczególnymi częściami, świadomość tego, że wszyscy

»razem pracują nad wielkim zadaniem wyjaśnienia dziejów indoeur.
 »języków i skazani są w najrozmaitszych kierunkach na pomoc wza-
 »jemną, a zarazem tego, że wszyscy jednako mają się kierować usta-
 »lonymi wynikami nauki o zasadach rozwoju językowego, a z drugiej
 »strony także przyczyniać się do postępu tej nauki, szukając w szcze-
 »gółach czynnika ogólnego«. Te słowa osłabiają nieco znaczenie
 owego podziału pracy, ale niebardzo; zresztą nie o to idzie.

Otóż prawie w całości można się pisać na te zapatrywania, że
 w gruncie rzeczy zadanie filologa i lingwisty jest jednakie, a zmie-
 nia się tylko stosownie do wybranego zakresu badania, oraz konie-
 cznego podziału pracy.

Przytoczone słowa Brugmanna z r. 1885 wydają się takie rozumne,
 wszechstronne i nieuprzedzone, że zarówno filolog jak językoznawca
 przyklasnąć im może. A jednakowoż pozostały one tylko na papierze
 i prawie u wszystkich lingwistów, wielkich i małych, stwierdzić
 można co najmniej bagatelizowanie języka literackiego. Weźmy parę
 wyznań z ostatnich czasów. Znany badacz języka rumuńskiego Wei-
 gand mówi a propos swego wielkiego atlasu lingwistycznego ru-
 muńszczyzny tak:

»W Niemczech, Francji lub Włoszech byłoby rzeczą niemożliwą
 »wynaleźć ludzi, zupełnie wolnych od wpływu języka literackiego.
 »Nie trzeba tylko sądzić, że wystarcza pytać analfabety, aby usłyszeć
 »naturalnie rozwinięty dialekt. W krajach bardziej kulturalnych niema
 »już wogóle takich narzeczy. Zapas wyrazów i wymowa uległy wpły-
 »wowi mniej lub więcej sztucznego języka piśmiennego nie tylko
 »przez szkołę i gazety, ale jeszcze więcej przez obcowanie — nawet
 »w najodleglejszych okolicach. Ale na obszarze rumuńskim panują
 »stosunki zasadniczo różne. Cały język literacki jest młody i zaczyna
 »dopiero, teraz z miast wnikać w szerszych rozmiarach do języka
 »ludowego przez obcowanie, zwłaszcza zaś służbę wojskową. Wpływ
 »szkoły jest jeszcze bardzo mały, poza Królestwem Rumunii wogóle
 »żaden. W całej Besarabji, w Marmaroszu, w różnych ustronnych
 »okolicach górskich Siedmiogrodu i Banatu mówi chłop rzeczywiście
 »jeszcze czystym językiem ludowym«. (Weigand: Fünfzehnter Jah-
 resbericht des Instituts für Rumänische Sprache zu Leipzig 1909,
 str. 135).

A w innem miejscu: »Wogóle, jeżeli chcemy rozwiązać pytania
 »o zmianach językowych, tworzeniu się narzeczy, granicach dialek-
 »tycznych, mieszanii się narzeczy itd., musimy się uwolnić od roz-
 »patrywania języków piśmiennych. Powstanie języka literackiego
 »jest osobną sprawą, którą na każdym obszarze osobno trzeba



»załatwiać, ponieważ panowały szczególne warunki, które trzeba »wyjaśnić«. (W przytoczonym miejscu, str. 145).

Jeden z młodszych językoznawców, dobrze zresztą przygotowany Jokl powiada znowu: »...rozróżnianie języka poprawnego (Hochsprache) od pospolitego (Vulgär- oder Trivialsprache) ...może służyć do »celów estetycznych, stylistycznych, literackich, ale dla badania językoznawczego, którego przedmiotem jest »strona naturalna« (Naturseite), a nie »kulturalna« (Kulturseite) języka, nie ma tego znaczenia«. (Indogermanische Forschungen XXVII, 303).

Appel stwierdza:

»Język książkowy, literacki jest w pewnej mierze wytworem »sztuki.

»Lingwista jest skłonny upatrywać tu spaczenie naturalnego »rozwoju jednego z narzeczy miejscowych pod wpływem czynników »kulturalnych, sztucznych, pewnego stopnia uświadomienia w rzeczach językowych.

»Filolog uwidatnia, podkreśla to pielegnowanie języka literackiego przy pomocy wysiłków indywidualnych wobec przyjaznych warunków politycznych i innych, w kraju i z zewnątrz...«. (Stanowisko językoznawstwa pośród innych nauk, 1913, str. 24).

I trzeba powiedzieć: nie dziwnego. Nie dziwnego w tem przeciwstawianiu czystego, naturalnego języka ludowego a sztucznego piśmiennego, skoro na dnie leżą zapatrywania zasadniczo fałszywe. Brugmann mówi, że żadne ze znanych indoeuropejskich narzeczy nie przedstawia całkiem czysto »stanu natury« (Naturzustand) i że między narzeczeniami, temu stanowi najbliższymi, w których bezwzględna prawidłowość rozwoju fonetycznego można stwierdzić niezliczoną ilość razy, a narzeczeniami, najbardziej oddalonymi od owego stanu, w których tę regularność fonetyczną dotąd rzadziej wykazano, są tylko różnice stopnia a nie rodzaju (Gradwzględnie Artunterschiede, to znaczy: jest między nimi tylko różnica ilościowa, a nie jakościowa). (Zum heutigen Stand der Sprachwissenschaft, str. 64 nast.). Na takie ujęcie różnicy zgoda, ale niepodobna się godzić na to ciągle podkreślanie naturalności jako cechy, właściwej językowi ludowemu, a sztuczności jako cechy języka piśmiennego.

1. Każdy język, choćby, wedle określenia lingwistycznego, najnaturalniejszy, język pierwszego lepszego szczepu zgoła niepiśmiennego, wykazuje także ten typ, którybyśmy nazwali »literackim«, piśmiennym, czy wyższym, niecodziennym, a zatem niby »sztucznym«.

Przykładów jest pełno. Weźmy wydaną niedawno przez naszą Akademię Umiejętności, książkę Piłsudskiego: Materials for the study of the Ainu language and folklore, 1912. I cóż widzimy? Ten szczep, żyjący na Sachalinie, te dzieci przyrody, którym obce jest pismo, mają swoją »literaturę«, tak jest, rzeczywistą »literaturę«, starszą i nowszą, z najrozmaitszemi działami i rodzajami, prozaiczną i wierszowaną. I w zgodzie z tem język także »literacki, piśmienny«, zwłaszcza także język starszy, z całym zasobem wyrazów, form i zwrotów, w życiu codziennym zgoła nieużywanych, wielu Ajnom nawet nieznanych. I to samo wszędzie w Azji, Ameryce, Afryce i Oceanji, nawet u »najdzikszych« szczepów, jak się o tem łatwo z olbrzymiej odnośnej literatury przekonać można. Żeby przytoczyć jeszcze jaki przykład, nam Polakom zbiegiem okoliczności bliższy, wskażę na poezję Jakutów, której próbki dał Sieroszewski w swej znanej książce.

I tak samo było zawsze. Tacyt pisze o Germanach: »Celebrant carminibus antiquis, quod unum apud illos memoriae et annalium genus est, Tuistonem deum terra editum et filium Mannum originem gentis conditoresque«. (Germania 2). Albo: »Fuisse apud eos et Herculem memorant, primumque omnium virorum fortium ituri in proelia canunt. Sunt illis haec quoque carmina, quorum relatu, quem barditum vocant, accendunt animos futuraeque pugnae fortunam ipso cantu augurantur« (tamże 3). A przecież był to lud, wówczas jeszcze bardzo niby w pierwotnym stanie żyjący: »Ipse eorum opinioni accedo, qui Germaniae populos nullis aliarum nationum conubiis infectos propriam et sinceram et tantum sui similem gentem extitisse arbitrantur« (tamże 4). I wiele innych podobnych świadectw można przytoczyć. Tak było zawsze i wszędzie, tak jest i dzisiaj. Długie wieki żyły bohaterskie pieśni, podania historyczne i mityczne u Greków, Hindusów i tak dalej bez końca tylko w pamięci, zanim je zapisano, ale to była rzeczywista »literatura«, zanim powstała literatura pisana. I dziś wśród ludów cywilizowanych, w sercu Europy, jest jeszcze to samo: idźmy na odludne Polesie lub indziej, a znajdziemy tam u ludu, zgoła niepiśmiennego, całą obfitą literaturę i język także »literacki« obok codziennego. I inaczej być nie może, bo

2. Każdy szczep, choćby wedle pospolitego określenia, najpierwotniejszy, ma za sobą tysiące i tysiące lat rozwoju kulturalnego: jakiejs species człowieka »pierwotnego, dzikiego, w stanie przyrody zostającego« nie znamy, ludów bez kultury niema.

Wystarczy zatrzymać na tem nieco swą uwagę, aby zdać sobie z tego sprawę. Zapomina się przytem pospolicie o jednej ważnej

rzeczy, mianowicie o tem, że ludy t. z. pierwotne mają inną porcję kulturę, niż ludy cywilizowane, mają mnóstwo rzeczy w zakresie zarówno kultury materialnej jak duchowej, któreśmy przeżywać dawno, dawno przeżyli i o nich zapomnieli od wieków, ale porcję takich także, którychśmy nigdy nie mieli, które nam są obce i nieznane, podobnie jak naodwrot naszą kulturę jest im obca i niepojęta. I nie można nawet twierdzić, jakoby absolutnie nie z tej nam obcej kultury ludów, zwanych »niecywilizowanemi«, nie miało może wartości i na przyszłość, jakoby ta kultura, do której się dzisiaj doszło, była w całej swej rozciągłości i we wszystkich swych szczegółach jedynie możliwą i dobrą. W każdym razie można i trzeba rozróżniać różne epoki rozwojowe, ludy paleo-, medio- i neokulturalne, ale nie mówić o człowieku z kulturą i bez kultury — oczywiście o ile mamy na myśli istotne określenia naukowe.

3. W szczególności jest nonsensem mówić o języku w stanie »naturalnym«, czy jak tam i przeciwstawić go językowi »kulturalnemu«, czy jak tam.

Język jest specyficznym tworem ludzkiej »kultury« i mówić o języku pozostającym w czystym stanie przyrody jest *contradictio in adiecto*.

4. Wszystkie czynniki, składające się na twórczość językową, codzienną i artystyczną, są obecne i działają równie dobrze u najdzikszych jak i najbardziej cywilizowanych ludów, bo płyną z zasadniczej istoty psychicznej.

a. Wszędzie jest »literatura«, wszędzie jest język także »literacki« czy »sztuczny«, wszędzie jednostka, bardziej obdarzona, wpływa indywidualnie, bo wszędzie i zawsze jest całe bogactwo nastrojów i falowań duszy, chęć wypoczynku i wzniesienia się nad szarą i ponurą powszedniość, chęć zaznaczenia swego »ja« i wzniesienia się nad innych, wszędzie są radości, bóle i ogromne tęsknoty, pragnienie swobodnej igraszki i przeraźliwe pytania o życiu i śmierci, człowieku i bogu. »Dziki« może bardziej potrzebuje przebywać często w sferze »artystycznej, literackiej« niż ktokolwiek z nas: jakżeby on bez tego wytrzymał to bezlitosne życie, to życie, które charakterystyczny zwrot Ostjaków nazywa »ostrem jak brzytwa«.

b. Wpływ szkoły i kościoła na język ludowy, wpływ języka piśmiennego na codzienny wydaje się ludziom czemś bardzo »sztucznym«, w »naturalnych« warunkach nie istniejącem. Szczytem »sztuczności«, możliwym tylko w skomplikowanych warunkach cywilizacyjnych, wydaje się ludziom wpływ nie już innego narzecza, ale języka zgoła obcego, a nawet używanie wprost obcego języka jako

»piśmiennego«, jak dajmy na to łaciny w Europie średniowiecznej albo staro-cerkiewno-słowiańskiego dawniej u Rumunów. Wszystko to bywa jednak równie często u ludów »dzikich«, u »barbarzyńców«, jak tego przykładów garściami można przytaczać (tylko bez dodatku »pisma« i »pisanej literatury«); może nawet częściej i pospoliej i konieczniej, bo stan i właściwość psychiki, odrębność i odporność psychiczna ludów bardziej pierwotnych są chwiejniejsze, niż na wyższych stopniach cywilizacji.

Weźmy z jednej strony ogromny, przygniatający prawie wpływ języka niemieckiego i rosyjskiego na Polaków w Prusach i Rosji, odbywający się nie tylko siłą faktycznych stosunków, ale i świadomie prowadzony, poparty wszelkimi środkami, jakie tylko te państwa i narody mają do rozporządzenia, i rezultaty tego, a z drugiej strony rozszerzanie się języka łacińskiego w starożytności i zapytajmy, czy dzisiaj taka szybka i dokładna romanizacja byłaby możliwa. Wiemy z historii, że całe szeregi plemion germańskich wynarodowiły się językowo pod wpływem wyższej wówczas kultury celtyckiej i porównajmy z tem miarę późniejszego wpływu Francji na Niemców. Weźmy pierwszą lepszą okolicę Azji lub Afryki: wszędzie widzimy, że język sąsiadów, uważany z jakiegokolwiek powodu za »wyższy« z łatwością się szerzy, staje się językiem »wyższym« t. j. niby »piśmiennym«. W zasadzie to samo obserwujemy i dzisiaj w Europie: chłop, robotnik daleko łatwiej przejmuje język obcy i wogóle daleko łatwiej się wynaradawia, niż człowiek wykształcony. I to jest naturalne, bo stopień odporności psychicznej, siła poczucia odrębności narodowej stoi w prostym stosunku do rozwoju i bogactwa treści, składającej się na życie psychiczne człowieka.

Można zatem zapytać: czy raczej stosunki językowe ludów pierwotniejszych nie są pod tym względem »sztuczniejsze« niż u ludów cywilizowanych?

c. Mówi się, że w języku piśmiennym większą rolę gra udział świadomości niż w mowie codziennej i że dlatego ten pierwszy nie przedstawia prostych, normalnych warunków rozwoju. Przedewszystkiem wogóle i w zasadzie mówienie jest objawem tylko świadomym, a że się odbywa przeważnie automatycznie, to co innego — ale nie chcę zatrzymywać się teraz tutaj na tej stronie pytania i podnoszę tylko twierdzenie postawione, że świadomy wpływ na kształtowanie języka piśmiennego ze strony piszących itd. jest większy niż takiż wpływ na język ludowy, codzienny ze strony mówiących. Mnie się to wydaje mocno wątpliwe. Po pierwsze, takich znacznych różnic indywidualnych we wszystkich zakresach zjawisk językowych, jakie po wiele razy stwierdzono nawet w bardzo małych językach szcze-

powych, nawet w narzeczach jednej osady, nie bywa zazwyczaj w zwartych grupach ludzi wykształconych: zjawiają się tylko przełotnie przez przypływ z zewnątrz i wnet znikają. Niewątpliwie ogólny stosunek jest taki, że im dalej w tył w rozwoju kulturalnym człowieka, tem większe zróżniczkowanie jednostek, a tem mniejsze zróżniczkowanie grup — im zaś dalej naprzód w tym rozwoju, tem większe zróżniczkowanie grup, a tem mniejsze jednostek.

Ale mamy i bezpośrednie, jasne dowody na to, że udział »świadomości« w stosunku do języka nawet u ludów »pierwotnych«, a nie tylko u ludu »prostego«, jest większy niż u warstw wykształconych. Po całym świecie są bardzo rozpowszechnione języki czyli sposoby mówienia »tajne« czyli zupełnie »sztuczne«, juźto polegające na obcym materiale językowym, juźto na całkiem »świadomych« nowotworach w obrębie wyrazów, juźto — bardzo pospolicie — na wstawianiu rozmaitych zgłosek wedle rozmaitych systemów. Używających języków nie tylko różne grupy zawodowe, myśliwi, rybacy itd., mężczyźni a kobiety, ale także młodzież, dzieci itd. itd. Czy to nie jest świadome przekształcanie języka i świadome odnoszenie się do niego? Języki stanowe, socjalne są także u ludów cywilizowanych, ale grają stanowczo mniejszą rolę, bo mniejsza jest potrzeba odgradzania się jednej grupy od drugich, z wyjątkiem złodziei itp., a juź ogólne używanie np. przez młodzież sztucznego sposobu mówienia spotyka się tu częściej tylko u ludu wiejskiego.

Jest jeszcze jeden objaw świadomego działania na język, w takich rozmiarach nieznanym na wyższych stopniach kultury, a wykazujący zarazem inne dwa czynniki, wpływ jednostki oraz stopień znaczenia, przypisywanego językowi, rzekomo daleko większe u ludzi wykształconych i daleko więcej się odbijające w językach piśmiennych, które także dlatego mają być »sztuczniejsze«. Jest to t. z. tabu językowe, rugujące np. po śmierci wodza plemienia wszystkie wyrazy, przypominające jego imię, wskutek czego zastępuje się je innymi; podobnie na wyprawach myśliwskich lub rybackich systematycznie unika się nazywania zwierząt, na które się poluje, zwykłymi wyrazami; opisuje się je i tamte z biegiem czasu znikają. Ten czynnik, znany pod nazwą »eufemizmu« działa oczywiście i na wyższych stopniach kultury, ale wynika z innych przeważnie nastrojów, a w żadnym razie nie działa tak bezwzględnie, jak u »dzikich«. Widać też z tego faktu, że człowiek »pierwotny« daleko większe znaczenie przypisuje językowi jego wyrazom, niż człowiek »kulturalny«: dla »dzikiego« wyraz, pojęcie i rzecz sama, to prawie jedno i to samo. Co do wpływu jednostki, to dodam jeszcze: jest niewątpliwe i jasne, że im pierwotniejsze stosunki kulturalne, tem on bywa i musi być

silniejszy z racji, juź poruszanych, a które czytelnik tu dodać sobie może. I przenosząc się w stosunki dzisiejsze Europy powiem: najgenialniejszy i najbardziej wzięty pisarz nie wpływa tak na język swego czytającego społeczeństwa, jak pierwszy lepszy parobek, wracający do wsi z wojska, na język swego środowiska, jeżeli tylko jest jednostką po swojemu wybitną i wpływową. O ileż wszechstronniejszy, silniejszy i dłuższy jest wpływ języka niemieckiego w Galicji na warstwy wykształcone niż na lud wiejski, a mimo to nasz język codzienny jest czystszy niż język robotnika lub chłopca. Jeżeli na nas działa silnie w pewnych zakresach życia językowego, to za to na lud w innych daleko silniej.

5. Jest stanowczo złudzeniem ogólnikowe twierdzenie, że w naturalnej mowie ludowej, w narzeczach zwłaszcza bardziej odosobnionych, panuje większa stałość i konsekwencja w przeprowadzeniu tendencji fonetycznych czyli t. z. praw głosowych niż w językach piśmiennych. W niektórych względach tak, ale zato w innych przeciwnie! W ustronnem narzeczu, językowo bardziej samemu sobie pozostawionem, będzie zapewne mniej odstępstw fonetycznych od pewnej tendencji, spowodowanych przejmowaniem wyrazów z narzeczy innych lub języków obcych i w tym kierunku prawidłowość będzie większa. Ale zato indywidualne zróżniczkowanie zarówno mowy poszczególnych jednostek jak poszczególnych wyrazów jest daleko większe niż w społeczeństwie, mówiąc językiem piśmiennym i w tym kierunku prawidłowość będzie mniejsza. Bo wprawdzie życie pewnego szczepu w jakiejś ustronnej okolicy może być i często bywa kulturalnie prostsze, powolniejsze, jednolitsze niż ludność stolicy europejskiej, ale zato psychika tam jest wogóle chwiejniejsza i luźniejsza. Stąd to fakt niewątpliwy, ciągle stwierdzany, że najpospolitsze wyrazy mają w narzeczach ludowych najrozmaitszy wygląd wbrew ogólnym t. z. prawom głosowym, w nich działającym.

6. Nie ulega wogóle wątpliwości, że im prostsze i pierwotniejsze jest życie językowe danej grupy ludzkiej, tem szybszą i gwałtowniejszą jest jego ewolucja w wielu kierunkach (nie wszystkich), także w fonetyce. Wystarczy porównać rozwój nowszych języków europejskich, albo indoeuropejskich wogóle lub semickich z rozwojem języków ugrofińskich lub afrykańskich z grupy bantu. Taka stałość i takie umiarkowanie rozwoju językowego, jakie widzimy w nowożytniej Europie, są niemożliwe w Afryce lub Australji. Oczywiście wielką rolę gra tu usposobienie ogólne ludu i jego stan socjalny: prosta

rzecz, że lud z natury leniwszy, bierniejszy, mniej ulegający wrażeniom, a słabszy charakterem, z drugiej zaś strony jednolitszy pod względem warunków bytu, otoczenia i zajęcia będzie językowo rozwijać się i różniczkować wolniej, niż posiadający w tych względach inne warunki i właściwości.

7. A zatem można, zdaje mi się, stwierdzić wogóle, że jeżeli powszechnie się utrzymuje, że język ludowy i języki t. z. niecywilizowanych szczepów pod wielu względami przedstawiają »naturalniejsze« stosunki i zjawiska rozwoju, niż języki t. z. piśmienne, to z całą słuszością można i należy wobec tego podkreślić, że naodwrot język ludowy i języki t. z. niecywilizowanych szczepów pod wielu względami przedstawiają »sztuczniejsze« stosunki i zjawiska rozwoju w porównaniu z tamtymi. Oczywiście naprawdę rzecz należy ująć tak: paleokulturalne warunki bytu i rozwoju językowego różnią się przy całej zasadniczej jednakowości podłoża psychicznego znacznie i wielostronnie od neokulturalnych warunków. Jednostronne ujmowanie różnicy jest fałszywe.

W każdym razie język piśmienny oraz odpowiadający mu język codzienny odnośnych warstw danego społeczeństwa jest w zasadzie kulturalnie i wartościowo wyższy niż język ludowy i t. d., chyba, że wyższej kulturze odmówilibyśmy wogóle w porównaniu z niższą większej wartości. Oczywiście nie wyklucza to różnych szczegółowych i czasowych dziwactw i chorób, o czym może innym razem, ale to w zasadzie nic nie zmienia i pojawia się zresztą równie dobrze, chociaż w innych postaciach, także w językach t. z. prymitywnych. Nieraz język literacki dochodzi do skrajnego stadjum rozwoju, do skrajnego skostnienia w swym pseudoklasycyzmie, co jest oczywiście tylko jednym z objawów skostnienia życiowego danych warstw narodu, zatracą związek z życiem całego ludu i wtedy następuje rewolucja »romantyczna« czy jaka inna. Wiele tego przykładów. Ale trzeba pamiętać, że języki szczepów t. z. pierwotnych jeszcze łatwiej wpadają w jednostronny rozwój i dochodzą, tak jak wiele innych przejawów życia tych plemion, do potwornych nieraz zboczeń, o czym w poprzedniej rozprawce wspominałem.

U niemieckich językoznawców co chwila spotyka się nazywania, a raczej przezywania języka piśmiennego mianem »hodowanego« (gezüchtete Sprache) w przeciwstawieniu do »swobodnej« mowy ludowej. Jest to wielka jednostronność. Hodowanym można nazwać język dworskiej poezji sanskryckiej, język skaldów skandynawskich, poezji celtyckiej (staroiryjskiej) itd., to jest postać języka pielęgnowaną z całą uwagą przez całe pokolenia w pewnych kołach do

szczególne celów, która z biegiem czasu daleko odbiegła od języka powszechnego, zrosła się z pewnym ciasnym zakresem objawów życiowych i zmartwiała. Hodowanym można jeszcze nazwać język greckiego eposu, chórów w dramatach i t. d., język »klasyków« u różnych narodów w różnych epokach, do pewnego stopnia wogóle język poezji. Ale »hodowanym« jest także język wogóle, bo zawsze i wszędzie człowiek musi i chce się wyrażać także starannie, poprawnie, z szacunkiem, pięknie i t. d. tak, aby wywrzeć zamierzone wrażenie. Można więc i trzeba rozróżniać typ mowy swobodny i afektowy z całą nieskończoną gamą odcieni. Można więc i trzeba rozróżniać typ mowy wedle różnych stopni kultury. A przytem pamiętać, że u ludów, bardzo pod względem kultury »pierwotnych«, spotykamy bardzo wybitnie »hodowane« sposoby mówienia i naodwrot, że język piśmienny, powszechny ludu wysoko stojącego zdąża ku »swobodzie«.

Postępować tak jak dotąd w językoznawstwie jest we zwyczaj, po jednej stronie stawiać naturalność, prostotę, swobodę, prawidłowość rozwoju i język ludowy, narzecza, mowę prymitywnych szczepów, a po drugiej sztuczność, kulturę, hodowanie i języki piśmienne — to rzeczywiście świadczy tylko o słabym zdawaniu sobie sprawy ze zjawisk językowych.

Nie zamykam wcale oczu na właściwości i swoiste, nieraz bardzo złożone warunki rozwoju językowego, między innymi także języków piśmiennych, na nieskończoną różnorodność typów mowy: przeciwnie, chciałem właśnie i ze swej strony zaprotestować przeciw ciasnemu widnokręgowi w tych rzeczach, bo dotąd mało w tym kierunku zrobiono i dotąd nietylko ogół i filologowie, ale także językoznawcy widzą żdźbło w oku bliźniego swego, a belki we własnym nie widzą.

3. O poezji w języku.¹⁾

Któż z nas tych lat nie pomni, gdy czytając lub raczej ucząc się Homera zabierał znajomość z Jutrzenką o różanych palcach — rododaktylos Eòs? Zwłaszcza ci z nas, których żywsza wyobra-

¹ 1, 7 (lipiec 1913). Ta rozprawka jest przedrukiem, zmienionym o ile było potrzeba, rzeczy p. t. »O języku, poezji, dziecku i człowieku pierwotnym gawęda«, ogłoszonej w trzecim zeszycie (z marca 1911) czasopisma »Miesięcznik literacki i artystyczny«. Był to pierwszy z szeregu zamierzonych artykułów o języku — po ogólnym wstępie, umieszczonym w pierwszym zeszycie — ale zanim się zebrałem na ciąg dalszy, pismo przestało wychodzić, dociągnąwszy za ledwo do roku istnienia. W ten sposób rozprawka owa właściwie przepadła.

żnia zwracała się już ku płci słabej, ale pięknej, widzieli zapewne przed sobą w wolnych od szkolnego strachu chwilach wiotką postać dziewcząt, zapowiadającą dzień w różowych promieniach i wyciągającą ku uśpionej ziemi ręce o długich, prześwieblonych palcach. Ale na codzień to mówimy o zorzy porannej i nie widzimy nic szczególnego tam, gdzie stary prosty Grek widział różane palce kobiece. Albo nieraz mówimy o długich zielonych liściach drzew, palmy czy nie palmy — zwykła to rzecz i wyraz zwykły — a poeta widzi przed sobą palmę »zielono-włosą« na pustyni. Patrząc na brzozę płaczącą my widzimy jej zwieszające się gałęzie i nic więcej, poeta — ramiona i rozpuszczone warkoczé wieśniaczki, kiedy płacze syna. A oczy i łzy ich, oczy »skier pełne, teraz pełne rosy«: ileż przenośni i obrazów spłynęło już z nich do poezji! I tak dalej i dalej: poezja, »matka piękności, która gra cudzym uszom niepojęte rozkosze«, pokazuje także cudzym oczom niewidziane rzeczy i z jej dopiero pomocą, my nędzne płazy, grzebiące się w mule ziemskim, trochę tych rozkoszy zasluchujemy, trochę tych piękności zawidujemy... Tak.

Ale naprawdę, to te piękności i dziwy były mlekiem, którem matka-ziemia odkarmiła człowieka w jego niemowlęctwie, były strawą powszednią ludzkości, o której ona potem zapomniała, bo ją już dawno, dawno przeżyła. W owe czasy nie były to żadne szczególne dziwy i cuda, tylko rzeczy zwykłe i nie cała zresztą ludzkość o nich zapomniała, bo i dziś są jeszcze bardzo liczne pokolenia, które tak samo na świat patrzą, a których nikt o poezję nie posądza. Na przykład Indjanin brazylijski nazywa jednym wyrazem ramiona ludzi i zwierząt, gałęzie drzew, promienie słońca, włosy i grzywę: mówiąc, ma oczywiście raz to raz owo na myśli, bo te wyobrażenia rozróżnia, ale istota ich wszystkich jest dla niego ta sama i nie wyróżnia ich tak dalece, by je osobnymi wyrazami nazywać. A więc on widocznie inaczej nie tylko nie widzi, ale nie może widzieć: ramiona wyciągają się od ciała, idą od niego, są jego wydłużeniem, a tak samo gałęzie drzew i tak samo promienie słońca czy miesiąca i wreszcie włosy spływające. I nic w tem niema dziwnego: przecież wszyscy nieraz widzimy promienie słońca, jak padają poprzez liście lub inaczej, a więc słońce je wyciąga, a więc są jego ramionami, czy włosami.

Wszyscy znamy wyrażenie: *promień włosów*; nieraz na przykład wcale nie fantastycznie nastrojone starsze damy stwierdzają z zadowoleniem, jakie daje oglądanie prawdy, że ta lub inna młoda osoba ma już siwy promień włosów. I choćby to wyszło z ust najniemilszych, to jednak wydaje nam się trochę poetyczną przenośnią, bo przecież promień — to światła. Ale to znowu są tylko zapomniane

rzeczy. U innych Słowian ten sam wyraz prócz promienia światła znaczy nic lub włókno, jeden splot powroza lub warkocza (jedną *wojkę*, jak mówią górale), a także źródło wody; w dawniejszej polszczyźnie podobnie, a i dziś jeszcze mówimy o promieniu wody — tylko, że dawniej nie było w tem przenośni czy poezji, bo promień pochodzi od *prócia* i oznaczał różne podłużnie rozdzielające się rzeczy.

Nie wiem, czy jaki poeta porównał kiedy parasol z nietoperzem, ale można sobie doskonale wyobrazić takie zestawienie na przykład w kapryśnych i fantastycznych wierszach Słowackiego i prawdopodobnie uderzyłoby nas ono swą trafnością, bo rozpięte skrzydła nietoperza naprawdę przypominają rozpięte na drutach poły parasola. Może nawet podziwialibyśmy pomyslową fantazję poety. Ale jeden z ludów afrykańskich bez szczególnie poetycznego uzdolnienia doszedł do tego samego: w języku szczepu Jaunde parasol (nawiasem mówiąc niemiecki) nazywa się nietoperzem; to znaczy, kiedy ci Afrykańcy poznali parasol, to go tak widzieli, skojarzyli go z wyobrażeniem nietoperza, czyli mówiąc językiem psychologii w ten sposób go apercypowali.

Kiedy mówimy o ręczce jakiego przedmiotu, to nie widzimy w tem przyboru ze składu poezji, ale wyraz *Morskie oko* jako nazwę jezior tatrzańskich albo nazywanie okna *okiem wiatru* u szczepów germańskich jesteśmy skłonni przypisać szczególnemu rozmachowi ludów, przyzwyczajonych do życia na szczytach gór lub szerokich morskich przestworzach. Ale różnica naprawdę jest tylko ta, że ręczkę do pióra ma każdy z nas na stoliku, a Morskie oko leży tylko w Tatrach; zapomnieliśmy też, że nasze okno znaczy poprostu tyle co oko, na Rusi każde jeziorko głębokie zowie się oknem, u Serbów toń głęboka na wodzie, różniąca się ciemniejszą barwą od reszty — okiem. Oko jest to poprostu otwór okrągławy. *Gardziel* rzeki lub źródła — to poezja, ale nasze *źródło* nic innego pierwotnie nie znaczy i jest rodzonym bratem gardła, tak samo jak *ujście* (dawniej *uście*) ustami, odnoga nogą i tak dalej bez końca.

Niektóre ludy nazywają upływ krwi *kwitnięciem*, nie dla poezji, tylko dlatego, że dla nich kwiatem jest przedewszystkiem kwiat czerwony; to też u szczepów germańskich pierwiastek wyrazu, oznaczającego krew (Blut) jest ten sam, co wyrazu kwiat (Blume, Blüte) i tak się też objaśnia wyrażenie naszego ludu, że dziewczusze lica kwitną, bo są czerwone i dlatego też policzki są nazywane u wielu narodów *jagodami*, *jabłkami* itd. Ale: »hrabia miał zdrowe, lecz blade jagody« — w poezji.

Zapisano kiedyś takie opowiadanie u południowych Słowian, które przytaczam w dosłownym przekładzie:

Na początku nie było nic tylko Bóg i Bóg spał i śnił. Wieki wieków trwał sen jego. Ale było sądzono, że się przebudzi. Zbudziwszy się ze snu spojrzał dokoła i każde jego spojrzenie przemieniło się w gwiazdę. Bóg się zdumiał i ruszył w drogę, aby obejrzeć to, co stworzył swemi oczyma. Idzie, idzie, ale nigdzie końca ani kraja. Doszedł wreszcie i do naszej ziemi, ale już się był utrudził: pot mu na czoło wystąpił. Kropla znoju padła na ziemię, ożyła i oto powstał pierwszy człowiek. Boskie jego pochodzenie, ale nie na rozkosze został stworzony: z potu się zrodził i już od początku było mu sądzono trudzić się i znoić.

Prawda, że to mądre i ładne? Można się zadumać, skąd prosty chłop krainiński wymyślił taką rzecz, pełną mądrości i poezji. Ale on z pewnością nie był poetycznie nastrojony. On, waląc dzień za dniem swój pot w brzozy ziemi, pokosy łąki, pnie w lesie ścinane myślał może czasem nad tem, dlaczego tak się dzieje i w jego mętnej głowie niejasne pojęcie bóstwa i wspomnienie powieści biblijnej o początku człowieka z ziemi połączyło się z silnie odczuwanym krwawym znojem codziennego życia w jedną całość, pełną przyrodzonej a niezamierzonej poezji. A że *gwiazdy patrzą* na nas, to przecież cała ludzkość tak myśli: one przecież na nas nawet *mrugają*.

A cóż dopiero u dziecka! Tu dopiero widzimy tę niesłychaną łatwość kojarzenia się w duszy najrozmaitszych wyobrażeń, które dla nas już nic podobnego w sobie nie mają. Widać to zresztą nie tylko w nazywaniu jednym wyrazem najrozmaitszych rzeczy, ale także w zdolności widzenia w kilku zygzakach nakreślonych najrozmaitszych przedmiotów. Właściwie jednak to nie tyle zdolność kojarzenia jest u dziecka większa, tylko zapas nabytych wyobrażeń jest u niego mały, a że każde nowe wyobrażenie pojmujemy na podstawie dotychczas odebranych, stąd owe dla nas nieraz niepojęte łączenia. Tak samo jak niepojętem dla nas jest to, że lud italski poznawszy po raz pierwszy słonia nazwał go — wołem libijskim, że cztery połączone patyki nazywa się kozłem lub kobylicą, że kilka gwiazd nazywa się wozem lub niedźwiedzicą, że ten sam wyraz oznacza u nas rybę, a u Niemców gąsienicę (Raupe) i tak dalej — naprawdę bez końca.

A zatem dziecko i człowiek pierwotny patrzą po wierzchu na świat i rzeczy i zwolna dopiero się posuwają w ich rozpoznawaniu; to, co dla nas przez długą pracę niezliczonych pokoleń zostało już rozejrzane, rozebrane i wyróżnione, to dla nich ma jeszcze wspólne cechy. Jest to synteza pierwotna *sui generis*. My czasem w gorączce,

w tępej beczynności, w przemęczeniu wracamy na chwilę do tego stanu i wtedy widzimy rzeczy i podobieństwa, o jakich nam się nawet nie śni na jawie.

Dawno już powiedziano, że język jest zbiorem pośliskłych metafor, ale to jest tylko względna prawda, bo większa część tego, co dziś przenośnią nazywamy, wcale przenośnią nie była. Jeszcze dziś, na najwyższym szczeblu swego rozwoju człowiek nie może myśleć ani mówić inaczej o bardzo wielu rzeczach: wszystko co się porusza, zegar, słońce, woda idzie, chodzi, bieży tak samo jak ludzie i zwierzęta. Oddawna zauważono i wyjaśniono, dlaczego zgryzota, troska, wzruszenie zostały nazwane od gryzienia, trzaskania, ruszania; dlaczego mówimy o ostrym głosie lub smaku: wszystko to dzieje się na podstawie podobnych lub takich samych wrażeń i uczuć. Dopiero *ex post*, kiedy człowiek się oddali od punktu powstania tych nazw i wyrazów, kiedy się posunie dalej w swym rozwoju i owe przedmioty, wyobrażenia, uczucia i wrażenia stanowczo już różni i za całkiem różne uważa, to mu się te nazwy, jeżeli na nie zwróci uwagę, wydają przenośniami. Przenośniami one są do pewnego stopnia, ale nie zamierzonymi, tak samo jak w nich i innych objawach życia pierwotnego jest sporo poezji, ale nie zamierzonej. I poezję człowiek zwolna poznaje.

Narzucający się *ex post* człowiekowi stosunek do własnego języka, do własnego sposobu pojmowania świata, jaki w jego języku jest złożony, ma wielkie znaczenie, bo wywiera ze swej strony wpływ na rozwój człowieka. Poeta idzie tylko dalej po tej samej drodze i musi nią iść, jeżeli chce trafić do dusz ludzkich. Ale są jeszcze inne ciekawe rzeczy: naprzykład rodzaje w naszych językach polegają pierwotnie na dwóch objawach, na rozróżnianiu naturalnego rodzaju, samca i samicy u ludzi i zwierząt, oraz na kategoriach wartościowych, na rozróżnianiu ważniejszych i mniej ważnych, wielkich, silnych, wspaniałych pojęć i innych, małych, słabych, nędznych. Ale kiedy z biegiem czasu, wskutek koniecznego skostnienia, zaautomatyzowania się tych środków, to jest tych form językowych i rozszerzenia ich na wszystkie wyrazy, każdy rzeczownik ustalił się w tym lub innym rodzaju, to to ma potem ogromny wpływ na umysłowość człowieka, na fantazję uosabiającą, na mitologję i poezję: bo jeżeli w jednym języku wskutek rozmaitych powodów wyraz oznaczający słońce ustalił się w rodzaju męskim a wyraz oznaczający księżyc w rodzaju żeńskim, to to musi oczywiście wpływać całkiem inaczej na pojmowanie stosunku tych wyobrażeń do siebie, na mitodnośny, niż tam, gdzie się stało odwrotnie; porównajmy tylko *helios*, *luna* (identyczna z naszą luną), słońce, miesiąc, *Sonne* i tak

dalej. Wiele mitów powstało tylko dlatego, że wyrazy mają rodzaj. I jest rzeczą jasną, że lud mający w swym języku rodzaje inaczej wogóle patrzy się na świat niż lud, który ich nie zna wcale.

Poeta, żyjąc wśród swego społeczeństwa, żywiąc się jego strawą, musi posiadać zdolność wracania niejako do owych źródeł twórczej duszy ludzkiej, objawiających się tak wyraźnie u człowieka pierwotnego i dziecka, nieprzysypanych jeszcze rumowiskiem wznoszonego domu, zwanego kulturą.

Zarówno dziecko jak barbarzyńca mają upodobanie namiętne w rytmice wszelakiej, czy ono polega na rytmice krwi i serca, czy innej, w to tutaj nie wchodzę. Znany to objaw, a odbiwszy się w języku gdzie pierwotne wyrazy polegają w znacznej części na powtarzaniu (baba, niania, mama itd.), gdzie mamy rytmiczny układ zgłoszek wyrazu i całego zdania, przechodzi do poezji jako rytm i rym, alliteracja i asonacja. Dojrzała męska proza unika jak wiadomo tych rzeczy, przynajmniej u niektórych narodów, ale początki każdej literatury noszą na sobie niezatarte piętno tej tkwiącej głęboko w żywych istotach właściwości. Zresztą początki twórczości naukowej, religijnej, poetycznej i wogóle literackiej zlewają się zawsze ze sobą w zaraniu rozwoju społeczeństwa, a raczej są jednym źródłem, z którego wypływają potem różne strumienie. Dlatego to początki nauki i początki religii są zawsze w szacie rytmicznej, albo poetycznej.

Bo to wszystko są początki poznawania bytu i świata, wpływającego bezpośrednio z uczucia.

Poezja jest starą kolebką ludzkości, a jej kołysanie widać w języku.

4. Logika a język ¹⁾.

Nic pospolitszego, jak wprowadzanie logiki jako sędziego przy ocenie i rozpatrywaniu zjawisk językowych. Nic pospolitszego, jak potępienie pewnych wyrażen dlatego, że są niby nielogiczne. Jeden z naszych kolegów zawsze wojuje przeciw *zarzutce*, bo przecież się jej nie *zarzuca*, tylko się ją *wdziewa* na siebie. Pewien radca szkolny nie znosi wyrażenia, że coś *przyniosło korzyść*, i jeżeli uczeń tak powie, to zaraz pyta: w czym, w koszyku? Wystarczy przejrzeć rubrykę zapytań w »Poradniku«, aby się przekonać, jak często ludzie wysuwają logikę na pierwsze miejsce w obronie rzekomej poprawności językowej. Jeden potępia *stuletnią rocznicę*, bo wszak to

¹⁾ 1, 9 (listopad 1913).

nonsens, a co najmniej dwa grzyby w barszcz; innemu nie podoba się zwrot *wieści czy słuchy chodzą*, bo nie mają nóg, itd. bez końca. Ileż to ludzie napsuli sobie już krwi z powodu *większej połowy* albo *tańczących wieczorków*!

I tak było zawsze. Zwłaszcza ciasne dusze bakalarskie od wieków wywierały w ten sposób swój zły humor na językowej swobodzie i poezji. Poeta Ion, nieco młodszy kolega Sofoklesa, opowiada taką historyjkę: »Z poetą Sofoklesem spotkałem się na Chios, kiedy »płynął jako strateg na Lesbos; człowiek to pełen humoru przy winie, dowcipny i ujmującego obejścia. Jego rodzinny przyjaciel a honorowy obywatel ateński Hermesilaos podejmował go ucztą. Otóż »kiedy chłopiec nalewający wino zaczerwienił się znacznie stojąc »przy ogniu, Sofokles go spytał: Czy chcesz, aby wino sprawiało mi »przyjemność? Chłopiec odpowiedział potakująco, a Sofokles rzekł: »A więc powoli podawaj mi czasę i odnoś ją powoli. Kiedy chłopiec zaczerwienił się na to jeszcze bardziej, Sofokles, zwracając się »do swego sąsiada powiedział: Jak pięknie wyraził się Frynichos »w tym wierszu: »Na purpurowych licach błyszczy płomień miłości«. »Na to uśmiechnął się nauczyciel Eretrieus i rzekł: Z pewnością »jesteś doskonałym poetą, Sofoklesie, ale mimo to Frynichos niedo- »brze się wyraził, mówiąc o purpurowych policzkach pięknego »chłopca. Bo gdyby malarz purpurową farbą pokrył policzki tego oto »pacholęcia, to by to wcale ładnie nie wyglądało. Żadną miarą nie »należy porównywać tego co jest piękne z czemś, co nieładnie wy- »gląda. Rozśmiał się z tego Sofokles i rzekł: A więc nie podoba ci »się, przyjacielu, ani ten zwrot Simonidesa, którym się Grecy zachwy- »cają: »dziewica śląc słowa z swych ust purpurowych«, ani to, kiedy »Homer mówi o złotowłosym Apolinie. No, bo gdyby malarz wyma- »lował go ze złotymi włosami, a nie z kruczemi, to obraz by na tem »nie zyskał. Ani kiedy poeta mówi o różanych palcach. Bo gdyby »ktoś palce na kolor róży pomalował, toby to były ręce farbiarza, »a nie pięknej kobiety. Zaśmieli się biesiadnicy, a Eretrieus zmieszał »się wydrwiony i skarcony«.

Ci sami ludzie, których gniewa *większa połowa*, mówią spokojnie o *pięcio-* lub *dziesięciodniowej kwarantannie*, chociaż *kwaran-* *tanna* to, jak wiadomo, czterdziestodniówka; albo o *złotym reńskim*, chociaż jest srebrny, albo o *szóstce*, chociaż to dziesięć centów. Ci sami, którym nie daje spać *tańczący wieczorek*, mówią bez namysłu naodwrot o *niewidomym człowieku*, chociaż to on nie widzi, a nie jego nie widać, albo o *usłuchanym chłopcu* itp.

Ale, z drugiej strony, są przecież wyrażenia, które się ogólnie potępia i to nie z innego powodu. Naprzykład zwrot *ubrać suknie*,

plaszcz, trzewiki, który się dosyć często słyszy zapewne pod wpływem niemczyzny (zwłaszcza u żydów: ci nam także język naprawiają!): *sich anziehen* = *ubrać się*, a więc *anziehen* = *ubrać*. Ale tu, wszyscy czystej krwi językowej Polacy czujemy, że to niestosowne, brzydkie, a nawet głupie i nielogiczne. I słusznie Tarnowski wytknął jednemu z młodszych pisarzy wyrażenie, że ktoś *ubrał surdut*, pytając: w co, w spodnie? Podobnie sławny zwrot: *jadąc do kościoła spotkały nas wilki*, razi nas przeważnie swą nielogicznością. Itd., znowu możemy powiedzieć, bez końca.

Więc jakże? Raz przykładanie łokcia logicznego jest głupstwem, a drugi raz nie? Czego się trzymać? Rzecz nie jest trudna, tylko, jak zwykle, trzeba się trochę zastanowić i zdać sobie ze zjawisk językowych w tym kierunku sprawę. Zasadnicze pytanie brzmi: Czy myślenie logiczne gra wielką rolę w języku? Odpowiedź na to jest, że bardzo niewielką, i rzecz to zrozumiała, bo jeżeli się trochę zastanowimy, to przyjdziemy łatwo do przekonania, że ściśle logiczne myślenie w życiu codziennym wogóle nie gra zbyt wielkiej roli. Oczywiście nie znaczy to, że pospolicie wszyscy myślimy nielogicznie. Myślenie logiczne nie jest czemś zasadniczo różnym od zwykłego, jest ono tylko wyższą, doskonalszą fazą zwykłego psychologicznego myślenia, które jest jego naturalną i konieczną podstawą. Główna różnica polega na większym lub mniejszym stopniu świadomego zastanawiania się, refleksji. Otóż w życiu codziennym człowiek wyjątkowo tylko zastanawia się nad swymi powiedzeniami, to też język, który jest przedewszystkiem odbiciem tego życia i tego psychologicznego myślenia, nosi na sobie wszystkie cechy tego stanu rzeczy. Język nie jest, ogółem biorąc, wytworem logicznego myślenia, tylko myśli psychologicznej i życia uczuciowego. Wynikiem tego jest, że co krok spotykamy sprzeczność między ścisłą logiką a tworam językowymi, jeżelibyśmy je chcieli przez szkła logiki rozpatrywać.

Przypatrzmy się najpierw wyrazom w stosunku do ich znaczeń, to jest do wyobrażeń, których są wewnętrznym symbolem i znakiem, czyli innemi słowy: przypatrzmy się nieco nazwom różnych rzeczy i zjawisk. Otóż dopóki wyraz nie stracił zupełnie swego pierwotnego, etymologicznego, ściśle językowego znaczenia, to jego aktualne, rzeczywiste w danej chwili znaczenie zawsze będzie mniej lub więcej nieodpowiednie, jeżeli przyłożymy do niego miarę logiczności. Logika dopiero wtedy przy najlepszej chęci nic nie będzie miała wyrazowi do zarzucenia, jeżeli jego etymologiczne znaczenie się ulotniło, jeżeli ściśle językowo biorąc on nic nie znaczy, jeżeli jest tylko kompleksem dźwięków, skojarzonym wyłącznie z odnośnem

wyobrażeniem, który sam przez się nie nie znaczy. Wtedy dopiero najzażartszy bakałarz nie będzie mógł mowy podchwytować.

A więc, na przykład przy wyrazach *drzwi*, *gwóźdź*, *mur*, *pluskwa*, *ściana*, *kołdra*, *woda*, *koń*, *noga*, *pluć*, *czarny* itd. itd. logiczny mędrzec jest zupełnie spokojny, bo one etymologicznie dla ogółu nie nie znaczą. Ale z drugiej strony mamy tysiące najpospolitszych wyrazów jak *schody*, *spodnie*, *bielizna*, *świeca*, *mydło*, *podnózek*, *szklanka*, *ubiór*, *zapałka*, *ręcznik*, *niebieski*, które, gdybyśmy chcieli logicznie rozpatrywać ich znaczenie rzeczywiste w stosunku do etymologicznego, okazały się nielogiczne, nieścisłe. *Schody* służą przecież także do *wychodzenia* a do tego samego służy i drabina i jakakolwiek droga pochyła; *spodni* nie nosimy ani *pod spodem*, ani *u samego spodu*, tam są raczej trzewiki; jest mnóstwo rzeczy *białych*, których nie nazywamy *bielizną*, i naodwrot bardzo dużo jest bielizny *kolorowej*; *świeca* nazwana od *świecenia*, a więc tak samo mogłaby być nazwana i lampa i zapałka; *ręcznik* służy także do obcierania twarzy, piersi i wogóle całego ciała, a że to robimy rękami, to cóż z tego? Przecież jest mnóstwo innych rzeczy, które rękami robimy, które mają coś z rękami wspólnego, a nie nazywamy ich *ręcznikami*. *Nocnikiem* nazywamy naczynie, którego często używa się i wednie; lud nazywa *nocnikiem* nocleg, a *nocnicą* znowu nazywano dawniej wszetecznice, jak gdyby ona wednie nie mogła być czynną. *Podnóżkiem* z równem prawem co podnózek mogłaby być podeszwa, podłoga i wiele innych rzeczy. No, itd.: każdy może się dowolnie długo w ten sposób zabawiać.

A ponieważ badanie językowe wykazuje, że tak samo rzecz się miała i z wyrazami, które dla ludzi mówiących w pewnej epoce nie mają już żadnego etymologicznego znaczenia, więc jest to zjawisko powszechne i konieczne. Wszystkie wyrazy są w stosunku do wyobrażeń, które oznaczają, logicznie rzecz biorąc, tylko w bardzo małym stopniu właściwe, i to tak długo, póki ich znaczenie etymologiczne jest jasne. Ale logika tu wogóle ma bardzo mało do gadania i słusznie, bo gdybyśmy przy nazywaniu rzeczy i wogóle zjawisk mieli się logiką kierować, tobyśmy musieli używać chyba długich określeń, definicji i ładnieby wtedy językowe obcowanie ludzi wyglądało! Nie mówiąc o tem, że dokładnie, to jest zupełnie niedwuznacznie zdefiniować rzecz jakąś, nawet najprostszą, jest bardzo trudno (proszę spróbować dać wyczerpującą definicję choćby tylko stołu albo stołka); logika leży w tem, że rozwój psychologiczno-językowy stwarza nazwy niedwuznaczne, ściśle z całością wyobrażenia skojarzone, które z biegiem czasu tracą swoje etymologiczne znaczenie i wtedy stają się już doskonałemi znakami

wyobrażeń i pojęć. Droga do logiki prowadzi jedynie i wyłącznie przez myślenie psychologiczne, które sobie doskonale daje radę i logikę dopiero wogóle umożliwia.

Na czym zaś ta zasadnicza właściwość znaczeń wyrazów polega, jakie są odnośne zjawiska psychiczne, które na dnie tego leżą, i jakie odnośne prawa psychologiczne, o tem pomówimy innym razem. Zapamiętajmy tymczasem ten zasadniczy fakt, że człowiek nazywając językowo wyobrażenia, tworząc dla nich wyrazy jako znaki, nazywa czyli wyraża językowo zawsze tylko jedną ich cechę, i to niekoniecznie bardzo istotną.

Drugie zjawisko językowe, które sprawia, że wyrazy i zwroty są bardzo często w sprzeczności ze ścisłą logiką, to rozwój znaczeń wyrazów, zmiany znaczenia, wskutek czego wyraz oddala się nieraz bardzo od swego pierwotnego znaczenia, albo też ma kilka znaczeń.

Już wśród poprzednio przytaczanych przykładów mieliśmy podobne wypadki. *Kwarantanna* dlatego jest często w sprzeczności ze swym etymologicznym znaczeniem, że z biegiem czasu ilość dni, które trzeba odsiedzieć, stała się dla znaczenia tego wyrazu obojętną; może być większą lub mniejszą. Podobnie rozwój systemu monetarnego objaśnia dzisiejsze znaczenie *szóstki* lub *złotego* itd. *Pióro*, dawniej gęsie, dziś jest prawie wyłącznie metalowe; *peleryna* dzisiaj już nic nie ma wspólnego z pielgrzymem, *krawatka* z Kroatami, *ksiądz* z panem (bo to znaczył ten wyraz) i księciem, *księżyc* z jednym i drugim, *minister* ze służącym itd. bez końca. *Ogłoszeń* wcale się nie ogłasza głosem ani bębniem jak dawniej; bywają nieraz obchody weselsze od *wesela*, *wielkanoc* nie tylko *noc* obejmuje itd. *Szwedzkie* zapalki tak zatraciły poczęści swe pierwotne znaczenie, względnie je zmieniły, że dziś mamy *krajowe szwedzkie zapalki*, podobnie jak chłop płaci pięć *papierków* często srebrem. Wszystko to »nielogiczne« niby, ale też nie na logice się opiera, a jest wynikiem powszechnych i koniecznych zjawisk z zakresu językowo-psychicznego. Przykłady można mnożyć bez końca.

Ścisłe i z poprzednimi objawami i z całą poezją łączy się używanie całego szeregu przenośni w każdym języku i w codziennym życiu, o czem mówiłem w poprzedniej pogadance, do której proszę w razie potrzeby zajrzeć. Język nie może istnieć bez przenośni, bo rozwój życia psychicznego nie może się bez nich obejść. I dlatego obruszanie się na zwroty takie jak *wieść idzie* lub *niesie* jest dowodem tylko ciasnoty, zagwoźdżenia beznadziejnego. Bo kto by nie chciał mówić, że *noc zapadła*, *dzień nadszedł*, itd. bez końca, toby doszedł do płaskiego idjotyzmu językowego, a i takby jeszcze metafory i poezji

z języka nie usunął — chyba żeby przestał wogóle gadać, co swoją drogą byłoby najlepiej.

Przypuśćmy, że taki logik nie chciałby powiedzieć, że *dzieli* czy *podziela* czyjeś zdanie, bo go przecież nie rozdziela na kawałki. No, ale jakżeby tu się wyrazić? *Mam to samo zdanie*? Nonsens! Bo jakże dwóch ludzi albo i więcej może mieć naraz tę samą rzecz i to jeszcze gdzieś w głowach, a nie w rękach? A może: *jestem tego zdania co i pan*? Hm! cóż to ma znaczyć: *jestem — zdania*, czy zdanie posiada mnie, czy jak? A cóż zresztą jest samo *zdanie*? Rozpacz! Najlepiej milczeć i tylko na migi językowi i ludziom mówiącym okazywać pogardę.

Wszystko z biegiem czasu powszedniejsze, ściiera się i wyciera, traci swe znaczenie i potrzebuje albo odświeżenia albo zastąpienia nowym przedmiotem. To samo w języku i stąd powstają nieskończone pozorne nielogiczności, nie tylko w wyrazach i zwrotach, ale także formach. Dawniej mówiło się *zimie*, *lecie* i podobnie: były to lokatywy, znaczące tyle co nasze *w zimie* itd. A więc pocóż było dodawać jeszcze *w*? zapytałby logiczny myśliciel. Ale moglibyśmy go z równym prawem zapytać: a pocóż pan kładziesz na ubranie jeszcze płaszcz, na trzewiki jeszcze kalosze, masz pan to wszystko na sobie i kapelusz na głowie, a bierzesz jeszcze parasol, a na parasol masz jeszcze pokrowiec, a jak deszcz dobrze leje, to jeszcze wejdiesz do pierwszej lepszej sieni? I tak ciągle w życiu i rozwoju kulturalnym. Dziś mówimy *wniwecz*, ale dawniej mówiło się *niwecz*, które to samo znaczyło: *ni-we-cz*; podobnie lud mówi w niektórych stronach *wniwco* zamiast dawniejszego *niwco*; mówimy *byle tylko*, chociaż *byle* znaczyło już *by tylko*; w romańskich językach mówi się *con meco*, chociaż łacińskie *mecum* znaczyło już 'ze mną', itd. bez końca. W ten sposób w dzisiejszych językach indoeuropejskich używa się prawie wyłącznie przypadków z przyimkami, chociaż dawniej już same przypadki wystarczały: *iść domu* znaczyło *iść do domu*, *iść kim* znaczyło *z kim* itd. A dziś często już samo *z* niewystarcza i mówimy *razem z kim* itd.

Często pozorna nielogiczność wyjaśnia się różnym pojmowaniem zjawiska u różnych ludzi i narodów. My mówimy: wziąć ukraść, wyjąć *z kieszeni*. Francuz *dans la poche*, zatem dosłownie 'w kieszeni' i to może się wydać nielogicznym, bo niby nikt nie wchodzi do kieszeni i nie zabiera czegoś w niej. Ba, ale rzecz znajduje się w kieszeni i ręka zabierająca także musi się znaleźć najpierw w kieszeni, czyli Francuz wyraża moment początkowy, a my dalszy. Podobnie w jednych językach mówi się: rzucić coś *pod stół*, a w innych *pod stołem* i niewiadomo który zwrot jest lepszy, bo

jeżeli *pod stołem* ściśle biorąc mogłoby też znaczyć, że ktoś kuca pod stołem i rzuca, to znowu *pod stół* mogłoby ściśle biorąc także znaczyć, że ktoś ze spodu rzuca i uderza w stół. Zwroty: *wracając do domu zmoczył nas deszcz* wydają nam się nielogiczne, ale właściwie tylko dlatego, że ich nie używamy; Francuz najspokojniej ich używa i zyskuje tylko na tem jego język. Zastanówmy się tylko. Polski »logik« nieubłagany powie: przecież nie deszcz wracał do domu, a Francuz odpowie mu na to: przecież tylko idjota mógłby wogóle być w wątpliwości, kto wracał do domu, deszcz czy my. No i jak powiemy: *po drodze do domu zlał nas deszcz*, to w gruncie rzeczy »logicznie« nie się nie zmienia, a sumienie mimo to mamy spokojne.

Albo znowu rzućmy okiem, jak ludzie mówiący nic się nie troszczą o konsekwencję logiczną. Skoro *rękaw* okrywa całą rękę, a *rękawica* dłoń i palce, to dlaczegoż *nogawica* nie znaczy tyle co skarpetka, i dlaczegoż nogawicy nie nazywamy **nogawem*? Ano, bo i w życiu samem, w sporządzaniu tych przedmiotów nie było jakiejś absolutnej konsekwencji, tak samo jak rola stopy i nogi nie jest taka sama jak rola ręki i ramienia. A więc w gruncie rzeczy jest to tylko pozorna niekonsekwencja.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że sens tych wszystkich uwag nie jest taki, że wszystko wolno powiedzieć. Zaznaczyłem to już na początku i każdy człowiek to sam zrozumie. Tylko trzeba pamiętać, a przede wszystkim rozumieć, że logika nie jest sądem dla języka, jak nie jest jego niańką. Język ludzki zwolna dąży do coraz większej logiczności, ale jego prawdziwą kochaną nianią jest zwykłe, swobodne, trochę dziecinne, pełne śmiechu i płaczu i poezji myślenie. I tak wyrasta twór przedziwny, potężny, który umożliwił duszy myślenie wyższe, ściśle i logiczne. Ale gdyby go logika wzięła była od początku na wychowanie — oczywiście jest to wogóle niemożliwe, *contradictio in adiecto*, — toby wyrósł dziwoląg w guście stylu niektórych logicznych myślicieli.

Na zakończenie przytoczę rozsądne i trafne zdanie Behaghela z jego książki »Die deutsche Sprache« (2. wydanie, str. 86): »Wiadzimy zatem, że są nielogiczne wyrażenia, które także językowo są fałszywe, ale i takie, które są ogólnie uznane za językowo poprawne. Różnica między jednemi a drugimi leży tylko w tem, że raz mamy świadomość logicznej sprzeczności, a drugi raz nie. Ale czy przy pewnem wyrażeniu słuchacz lub czytelnik znajduje się »w pierwszym położeniu i wyrażenie zatem jest niestosowne, czy też w drugim i wyrażenie zatem jest stosowne, tego logika nie jest w stanie rozstrzygać. Nie może więc ona żadną miarą być »najwyższym sędzią w rzeczach językowych«.

5. Czy język — to stworzenie leniwe i grymasne, co raz wraz czegoś zapomina, rzuca stare a dobre, zato po mistrzowsku łąta i znowu swoje własne twory z tyłu »obkęsywa«¹⁾

Cóż za pytanie, zawoła czytelnik, a żywszy może się i zachnie na niewczesne żarty. Przecież, pomyśli on może, jeżeli nie skądinąd, to już z Pańskiej rozprawki zeszłorocznej mogliśmy się dowiedzieć, że język jest wytworem i twórczością ludzkiej kultury, częścią całego rozwoju kulturalnego człowieka, a czyż o naszej duchowej kulturze można mówić, że polega na lenistwie i grymasach, na zapominalstwie itd., jak brzmi wyżej zapytanie? No, po pierwsze, to nie ja tak myślę, tylko jeden wcale znakomity uczony — naprawdę! Właściwie to nie wiem, czy tak myśli — trzeba być ściśłym — ale tak pisze, i o to właśnie idzie. Bo gdyby tak sobie pisał ktoś nieznany i nieczytany, no to cóż? niechby sobie pisał! Ale że to pisze znany filolog w książce dla szerszych kół przeznaczonej, która świeżo wyszła w drugim wydaniu²⁾, a więc widocznie jest czytana, nie od rzeczy będzie przypatrzeć się bliżej tym szczególnym twierdzeniom. Zobaczymy, że uczoność, to jest przyswojenie sobie wielu szczegółów z danego zakresu zjawisk, wcale jeszcze, niestety, nie daje przywileju na właściwe o nich myślenie. To jedno. Powtóre, pomyśli łatwo czytelnik, ów uczony nie sądzi przecież chyba, że lenistwo i grymasy, zapomnianie i łątanina, a wreszcie »obkęsywanie« — to już wszystkie objawy życia językowego, tylko z pewnością mniema, że wśród innych występują także takie, a to co innego. No, zapewne. Ale, jak zobaczymy, ów uczony widzi jednak te czynniki na każdym kroku w życiu języka i uważa je za takie, co działają stale i powszechnie, chociaż oczywiście nie wyłącznie.

Zaznaczę jeszcze, że wcale nie piszę dla przekonania tego uczonego, tylko dla pożytku czytelników; nie dla dawania jemu rad — nieciekawe to zajęcie dawać ludziom rady — tylko dla pomówienia w dalszym ciągu o ogólnych zagadnieniach językowych, przyczem staram się wedle najlepszego swego rozumienia, plewić nieprawdę — to łatwiej — i podglądać prawdę choćby trochę tylko — to trudniej.

Dawniej odmieniano regularnie: *sjem sejmu, szmer szemru* (porównaj *szemrać*), *Zgierz Zegrza, psek pieska, bochnek bochenka, Kielce*

¹⁾ 2, 2-3 (luty-marzec 1914).

²⁾ Mowa o książce prof. Brücknera »Dzieje języka polskiego« (Lwów 1913).

Klec, chrzbiel (grzbiet) chrzepta itd.: rezultat to rozwoju na gruncie polskim słabych samogłosek, tak zwanych jerów, które były w tych wyrazach. Otóż uczony, o którym mowa, tak się o tem odzywa: »Wspominamy o tej dawnej odmianie, aby naocześnie lenistwo mówiących i skutki jego wykazać; im bowiem wygodniej nie zachowywać w pamięci mieszanin form, wolą formę częściej używaną lub wpadającą dobitniej w ucho wszędzie jednostajnie przeprowadzić«. I dalej: »Jest to stała, ogólna dążność: wyrównywanie dawnych różnic dla ułatwienia, uproszczenia pracy pamięciowej, dla reprodukcji mechanicznej form, jak najgładsze«. Rzeczywiście ciekawe pojmowanie rzeczy! Bo już do czego jak do czego, ale do mówienia się ludzie nie lenią. Najgnuśniejsi dzicy, pracujący tylko z konieczności, ćwierkają jak wróble całymi dniami. A powtóre: właśnie wśród ludów dosyć pierwotnych spotykamy często języki tak trudne, z takimi finezjami fonetycznymi, z takim bogactwem niepojętych dla nas szczegółów i form, że oczywiście wymagają ogromnej pracy pamięciowej, no i jakoś się to tym dzikusom udaje. Przypatrzmy się uważniej wymienionym faktom. A więc kiedyś odmieniano *pīsūkā*, 2 p. *pīsūka* itd.; potem, wskutek ściśle fonetycznego rozwoju polszczyzny zrobiło się z tego *psek pieska*; wreszcie, drogą wyrównania, zrobiono *piesek pieska*. A więc cóż się stało? Oto przywrócono właściwie istniejącą dawniej jednolitość postaci, zburzoną przez działanie rozwoju fonetycznego; wprowadzono znowu ład i zgodność. A czy to nie »praca«? Zatem lenistwo tutaj, to bajki.

Albo znowu: »Język dąży stale do oszczędzania trudu i czasu, więc ściąga i skraca słowa, często używane, a na których niezbyt wiele zależy, obcina je czy obkęsywa, pewny, że i tak zrozumieją; cały szereg samogłosek odpada w ten sposób. Pocóż tracić czas na wymawianie dwuzgłoskowego *tamo, samo*, kiedy *tam, sam* wystarczy... *takż* byłoby zbyt trudnem, nie opłaciłoby się więc lenistwo... mówi się *któ*, niepodobnaż tego skrócić, ale zamiast *nikto* mówimy *nikt*...« Jużci coś, coś jest na tem, ale po pierwsze bardzo niewiele, a powtóre wyrażone w tak strasznie grubej i niedołej formie, że dziw bierze. Naprzód, co znaczy »słowa często używane«: czy *tamo*... było częściej używane, niż *ono, baba*...? Powtóre, co znaczy »tracić czas«: przecież tu chodzi o drobną cząstkę sekundy! Po trzecie, skąd pewność, że wymówienie *tam* kosztuje mniej trudu, niż *tamo*? Poczwarte, co znaczy »wygoda, nieopłacanie się lenistwa«: czyż *nikt* jest »wygodniejsze« niżby było *takż* (to znaczy wymawiane *taksz*) i czy jest »wygodniejsze« niż *nikto*? Doprawdy? A już ten obraz języka, niby psa »obkęsującego« z tyłu ludziom poły!

O oszczędzaniu pracy i o wygodzie, jako motywie, możemy mówić wprost, bez obawy wywołania nieporozumień tylko w takich, licznych zresztą wypadkach, jak *kilo, une auto* (automobil), *hakata* itp., albo przy upraszczaniu trudnych zbiegów spółgłoskowych. Ale już przy skracaniu często bardzo używanych wyrazów, jak tytułów rozmaitych (*waszmość, jaśnie pan* itd.) właściwym czynnikiem nie jest wzgląd na wygodę i chęć oszczędzania pracy, tylko co innego, a mianowicie daleko posunięta automatyzacja. A mianowicie: każda wogóle czynność kulturalna, składająca się z przebiegu psychicznego i fizycznego, każdy przebieg językowy, zwrot, wyraz itd. w miarę powtarzania odbywa się przeważnie automatycznie, to jest prawie nieświadomie. I to jest zarazem bardzo ważnym momentem rozwoju kulturalnego, bo dopiero wtedy, kiedy człowiek dojdzie do takiego właśnie załatwiania odnośnych czynności, odbywają się one sprawnie i gładko, nie potrzebując ciągłej kontroli ze strony uwagi i świadomości i człowiek ma niejako ręce rozwiązane, swobodę ruchów do nowej pracy. Doskonale to można widzieć przy spełnianiu jakichkolwiek czynności kulturalnych wykonywaniu najrozmaitszych zajęć i rzemiosł, sztuk i prac, a więc np. przy stolarce, ciesielstwie, czytaniu, grze na instrumentach itd. • bez końca. Dopiero wtedy czytamy i gramy dobrze, gdy się już nie potrzebujemy zastanawiać nad każdą literą, nad każdym ruchem palców itd., gdy to wszystko odbywa się automatycznie. Otóż to samo zjawisko działa w języku. Dopiero wtedy mówimy dobrze i biegle jakimś językiem, gdy w razie potrzeby, to jest na skutek zjawiającej się odnośnej pobudki psychicznej, qdrazu, bez namysłu znajdujemy właściwy wyraz i zwrot, gdy je w dalszym ciągu bez trudności, automatycznie, prawie nieświadomie wymawiamy. Inaczej tak tu, jak i we wszystkich innych podobnych wytworach i pracach kultury jesteśmy partaczami i to, co nam ma służyć jako środek jest jeszcze samo celem.

Przejdźmy teraz do języka ojczystego, do języka, którym władamy doskonale. Rzecz prosta, że zjawisko automatyzacji nie zatrzymuje się nagle, nie przestaje działać dlatego, że coś wykonujemy już zupełnie dobrze. I owszem działa ona nieustannie i staje się powodem ważnej ewolucji; ale o tem wogóle innym razem. Tu zwrócę tylko uwagę na wypadki szczególnie sprzyjające większej niż zwykła automatyzacji, a takimi są zwroty, wyrazy i części wyrazów nieustannie powtarzane, a nie mające szczególnego znaczenia, ani pojęciowego ani funkcjonalnego. Jasne, że do takich należą ciągle powtarzane tytuły, które też we wszystkich językach, zawsze i wszędzie, ulegają skróceniom, czyli przystosowują się do daleko posu-

niętej automatyzacji. Tak samo nieustannie, zwłaszcza przez mało kulturalnych ludzi, powtarzane i w mowę wtrącane *powiadam Panu, powiada, podobno* itd.; dalej wszelkie partykuły i końcówki. Przy końcówkach działa jednak także prawo mechaniczne, boć zrozumiała jest rzeczą, że przy końcu wyrazu mniejsza jest energja, mniejszy jest zapas siły artykulacyjnej, niż na jego początku. Jeżeli zatem nasz uczony przy wszystkich takich i podobnych wypadkach powiada tylko: »jedna dążność, aby z coraz mniejszym wysiłkiem, z coraz mniejszą stratą czasu wyrażać to samo, wywołała je wszystkie«, to mu nie zazdrościmy pomysłowości.

Tak samo wygodne zapewne, gdy się nie ma ochoty myśleć, ale strasznie pierwotne jest wyjaśnienie ciągłego znikania różnych form i wyrazów tem, że się ich zapomina. A z tem ciągle się u naszego filologa spotykamy. »Szczególnie u czasowników pozapominał (język) dawnych form wiele«; »o wiele znaczniejszym zmianom, niż głosownia, uległa w tej samej dobie cała odmiana... Najpospolitsza z nich polega na tem, że pamięć zawodzi; mówiący, nie chcąc jej zbyt obciążać, pozbywają się stale form rzadszych, odskakujących w czemkolwiek od »prawidła«; ba, ale: »bywa jednak i odwrotnie; formy, acz bardzo nieliczne, podobają się mówiącym z różnych przyczyn, czepiają się pamięci i z czasem rozszerzają swój zakres daleko poza pierwotne granice, rugują nawet formy o wiele liczniejsze, ale mówiącym mniej dogodnie«. Ale to nic nie szkodzi. »Ubytek wynagradza się tem, że jedna forma musi zastąpić dawniejszych kilka; jeszcze częściej wynagradza go się utworzeniem nowej formy. W istocie nie masz »nowej« formy, bo język z niczego nic nie stworzy nowego, za to jest mistrzem w łataniu; rzuci dobre a stare, a przyczepi skądś coś innego«. A ponieważ »wyników tego nie można nigdy zgóry obliczyć, bo jednym podobna się to, drugim owo«; więc wniosek uczonego myśliciela prosty: »Język — grymaśnik, nigdy nie odgadniesz zgóry, czego mu się zechce, dokąd podąży«. Ot i chwała Bogu, znaleźliśmy krótkie a jędrne określenie, możemy, za przykładem Niemców w Galicji, którzy, przyzwyczajeni do swych Niemek, niezawsze się mogą pogodzić z naszymi paniami, nazwać język »eine polnische grymaśnica« i napchawszy kieszenie podobnemi etykietkami ruszyć w świat i rozlepiać je wszędzie. Tylko, że nikt od naszego uczonego nie żąda, aby odgadywał przyszły rozwój języka, bo tego i daleko mocniejsza głowa nie potrafi. Ale tak samo nikt nie jest w stanie nakreślić zgóry rozwoju człowieka i całej jego twórczości kulturalnej. Mimo tego jednak nikt nie mówi, że malarstwo to grymaśnica, że poezja i sztuka wogóle — to grymaśnica, że zwyczaje, wyobrażenia

religijne itd. to grymaśniki; tak samo jak nikt, dlatego że nie można przewidzieć pogody, ciepłoty, trzęsienia ziemi itd. itd., nie nazywa przyrody grymaśnicą. No, bo wtedy wypadłoby jeszcze tylko, o ile kto wierzy w Boga, i jego zamianować jenerałem tych wszystkich grymaśników i grymaśnic i puścić się w wesoły i niefrasobliwy taniec, zamiast pisać książki i zamiast wogóle pracować naukowo. Oczywiście! Jeżeli wyrazy i formy języka znikają dlatego, że ludzie mają słabą pamięć, jeżeli ludzie odrzucają zupełnie dobre wyrazy i formy tylko dlatego, że im tak do głowy strzeli i niby półgłówki skądś coś do swego języka przyczepiają, no to całe językoznawstwo nie mogłoby stać wiele wyżej od zbierania marek, a nawet nie marek, ale śmieci, które wiatr po świecie roznosi, a język byłby niby wcale misternem gniazdkiem, które jednak kto i z czego zrobił: a ot głuptas wróbel ze słomek i piórek, które zbierał po drogach i polach!

A teraz przypatrzmy się trochę uważniej twierdzeniom uczonego. »Najpospolitsza zmiana polega na tem, że pamięć zawodzi; mówiący, nie chcąc jej zbyt obciążać, pozbywają się stale form rzadszych, odskakujących w czemkolwiek od »prawidła«. A więc jedna połowa tego zdania powiada: mówiący nie gubiliby wyrazów i form, ale coś, kiedy biedacy mają słabą pamięć. A druga połowa twierdzi: mówiący to stworzenia niegłupie, zarzucają pewne formy, bo chcą wprowadzać ład i jednostajność i nie chcą niepotrzebnie obciążać pamięci, działają więc świadomie i mądrze. Czytelnik przyzna, że tylko postać tego zdania trochę karykaturalnie przerysowałam, ale prawdy nie naruszyłam. No, i cóż począć z takim uczoneym?

Gorzej jeszcze. Bo takie stanowisko, takie pojmowanie rzeczy, jak w przytoczonych zdaniach, prowadzi wprost i krótką drogą do jaskrawego absurdu. »Język rzuca stare a dobre, a przyczepia skądś coś innego i łata«. A więc ludzie mówiący są nie tylko już grymaśnikami, ale dalibóg idjotami! No, a teraz: gdyby jednak byli trochę mądrzejsi i nie rzucali starego a dobrego i gdyby mieli lepszą pamięć? A no, toby mówili dziś tak jak ich praojcie w jaskiniach! A jakże wtedy z całą resztą kultury? czyby była taka jak w jaskiniach, czy taka jak dzisiaj? I gdzież rozwój, gdzie konieczność rozwoju? Gdzie ta olbrzymia, czasem rozkoszna, a ciągle bolesna i straszliwa praca, jaką ludzkość wykonywa, bo ją wykonywać musi, bo jakieś niepojęte, przeogromne. Coś tak jej każe? Gdzie jakiegokolwiek zrozumienie dla tego, wiekowego zmagania, które i w języku widać?

Oczywiście, w życiu jest nie tylko ból i praca, ale także swoboda, zabawa, śmiech i kaprys i w dziejach języka może być znać

tego więcej niż na przykład w dziejach religii. Ale język wyrósł chyba przede wszystkim, tak jak cała kultura, ze srogiej potrzeby życiowej, objawiającej się w ludzkich gromadach. I cały jego rozwój sprowadzać do lenistwa, grymasów i zapominalstwa, znaczy nie mieć ani żdźbła zrozumienia dla prawdziwej nauki humanistycznej dla nauki o człowieku.

A na tem nie koniec, niestety. U naszego uczonego widać, niestety, prawdziwą nienawiść do wszelkich reguł, to znaczy naprawdę do porządku. Boć każdy wie o tem dobrze, że w zjawiskach językowych niema takich stałych i prostych reguł jak ta na przykład, że z ziarna sosny wyrasta sosna, a z ziarna jabłka jabłko, albo że słońce wschodzi i zachodzi, albo że buty kładę na nogi a czapkę na głowę itd. bez końca. Ale w mowie ludzkiej wziętej jako całość jest taka sama konieczność rozwojowa jak w zjawiskach fizycznych, a przede wszystkim: w nieskończenie rozmaitych szczegółach, składających się na rozwój języków, jest porządek i harmonja, płynące z niewzruszonej zasady przyczynowości i związku życia. Każdy wie przytem, że zjawiska to inne niż fizyczne, a więc inaczej się przedstawiają i układają, ale to rzecz podrzędna.

Rozumie się, że człowiek mający takie zapatrywania i myśli, jak nasz uczone, zachowuje się wobec zjawisk językowych i najprostszych nawet wątpliwości jak trzcina wiatrem raz w tę raz w drugą stronę poruszana, albo jak »eine polnische grymaśnica«. Formę *twarze* nazywa »zakazaną« i stawia narówni z pisownią *dobryj curki* (sic!); *e* w *ogień*, *okien* nazywa dowolną, nieuzasadnioną wstawką, tylko dlatego, że kiedyś dawno, kiedy te formy wyglądały *ogni*, *okna*, nie było w nich w środku samogłoski: a no, to proszę, niechże Pan mówi *ogni* i *okn*! Albo powiada: »wiemy, że tylko tam *we*, *ze* jest uprawnione, gdzie w zgłosce następnej była niegdyś półsamogłoska również. Ale czytelnik, nie gramatyk z zawodu, może wymagać, aby i jemu podano wskazówkę co do tego *w*, *z* lub *we*, *ze*, przynajmniej w piśmie; otóż można mu polecić, niech, miarkując jedno drugiem, pisze *z strachu*, ponieważ pisze i mówi *w strachu*; niech pisze *w wrótach*, ponieważ mówi *z wrót*« itd. itd., bo szkoda wszystkie przykłady tej niewczesnej reguły wypisywać. Oczom się nie chce wierzyć i ma się ochotę zawołać: a cóż to łaskawy Panie, obchodzi język? Przecież język — to grymaśnik, któremu się raz to, raz owo podoba, który wedle fantazji rzuca, łąta i obgryza wyrazy jak młody pies, to goniący za swoim ogonem, to ciągnący przecho-dnia za spodnie, to znowu na brzuchu leżący! Więc idźże Pan do licha razem ze swoim »uprawnieniem« i »uzasadnieniem«, z którym Pan ni stąd ni zowąd wyjeżdżasz.

I zupełnie słusznie tak mu powiedzieć można, bo raz drwi z gramatyków, którzy podają różne reguły w razach wątpliwych, podczas gdy »w istocie rozstrzyga tylko z wyczaj«. A drugim razem mamy takie widowisko. Cała Polska mówi i pisze *twarze*, *ze strachu* itd. itd., a nasz uczone w imię jakiejś reguły czy czego każe pisać *twarzy*, *z strachu* itd.! Cała Polska mówi i pisze *Hegla*, *Heglowi* itd., *Lutra*, *Lutrem* itd., a nasz uczone powiada, że te formy »są chłopskie, nie cywilizowane, bo tylko wilczem prawem narzucamy im nasze *e* ruchome, którego same przecież nie znają«. Język polski, grymaśnik, mistrz w łątaniu itd., objawia się zdumionym oczom naszym jeszcze jako chłop niecywilizowany!

I co począć z takim uczone? No, bieda niewielka. Trzeba robić przeciwnie, niż robi język wedle jego wyobrażenia, to jest brać to, co u niego dobre, a takie zapatrywania odrzucać, nawet z wyrozumiałością; boć jasną jest rzeczą, że naprawdę to wielkim grymaśnikiem jest on sam, ten uczone! Z wyrozumiałością, bo obok tego jest wielkim pracownikiem przed Panem.

Łaskawy czytelniku! Obawiam się, że się niewiele nauczyłeś czytając dzisiejszą moją gawędę, ale możesz się chociaż trochę ubawić. W takim razie pomyśl tylko, że cały ten ustęp można było co prawda dać do działu humorystyki językowej, ale zresztą miej wyrozumienie dla redaktora i dla podpisanego, którzy od czasu do czasu muszą dać coś »zasadniczego«. Jest wprawdzie o czem pisać, ale niezawsze się chce i dlatego człowiek jest czasem rad, gdy napotka przekorę. Ale nie znaczy to wcale, żebym i ja ze swej strony pisał to wszystko dla przekory.

Na zakończenie aforyzm, skromny, ale własny i myślę, prawdziwy: Do pracy naukowej, a zwłaszcza do myślenia naukowego, do myślenia o życiu, trzeba głowy mocnej a pokornej.

6. O rozwoju ¹⁾ fonetycznym ²⁾.

§ 1. W językoznawstwie indoeuropejskim, tak jak ono się rozwinęło i ustaliło w XIX wieku, po rzuceniu podwalin, po ustaleniu przedmiotu badania i rozejrzeniu się w zadaniach i sposobach postępowania, przyszła wnet kolej na to, co w początku systematycznej już i świadomej celu pracy musiało być pierwszym, dla dalszej budowy nieodzownem, a mianowicie na fundamenta. Pierwszych kilkadziesiąt lat pracy można porównać do wyboru miejsca pod bu-

¹⁾ Wyraz i pojęcie »rozwoju« biorę zawsze w znaczeniu obojętnem »przeobrażania się«, a nie »postępu«.

²⁾ 3, 2—3 (luty-marzec 1916).

dowę, wybrania fundamentów, zwożenia materiałów, naszkicowania planu; w drugiej dopiero połowie XIX wieku, zwłaszcza w latach 70-tych wzięto się naprawdę do wznoszenia gmachu od podstaw, do rzucenia mocnych fundamentów. Na tę pracę podstawową składały się, raz wnikanie w przedmiot badania wogóle, to jest w istotę zjawisk językowych, w funkcję i rozwój mowy ludzkiej, powtórze zaś skupienie uwagi na stronę fonetyczną języka wogóle, a języków indoeuropejskich w szczególności. Ponieważ elementami języka są głoski, ponieważ materiałem konkretnym zarówno najszczytniejszej poezji jak codziennego mówienia są rozmaite głosy i szmery, wytwarzane narzędziami mownymi człowieka i falami powietrza, i ponieważ także to, co jest podstawą gramatyki języków indoeuropejskich, to jest porównywanie, zestawianie wyrazów i form tych poszczególnych języków ze sobą, musiało się w ostatniej instancji sprowadzać do materiału fonetycznego, przeto wnet uznano tę część pracy, to jest fonetykę, dla pomyślnego dalszego rozwoju językoznawstwa indoeuropejskiego, za nieodzowną, narazie za najważniejszą. Okazało się też, że odziedziczona po starożytności tradycyjna gramatyka w tym właśnie zakresie przedstawiała nietylko największy, ale wprost zupełny brak. Wzięto się zatem do rewizji tego, co w zakresie fonetyki dotąd, od ukonstytuowania się lingwistyki indoeuropejskiej, zrobiono, do badania czynności organu mownego, powstawania i istoty głosek, zmian fonetycznych i stosunku fonetycznego, jaki między poszczególnymi językami indoeuropejskimi zachodzi. Cała ta praca, z całą świadomością i energią zwłaszcza w latach 70-tych wdrożona, odbywała się w znacznej mierze jako reakcja przeciw uprzedniej praktyce i nadała językoznawstwu zwłaszcza ostatniej ćwierci (niecałej) XIX wieku cechę charakterystyczną, wysuwając w tej epoce na pierwszy plan fonetykę. Główny interes uczonych i lwia część ich pracy skupiała się w tej dobie na fonetyce. Była to naprawdę praca konieczna i podstawowa, chociaż zarazem tylko przygotowawcza.

Praca rozdzieliła się z natury rzeczy na fonetykę historyczną, to jest na badanie ewolucji fonetycznej poszczególnych języków indoeuropejskich i porównywanie ich stanu fonetycznego, oraz na fonetykę opisową, to jest na badanie istoty i rozwoju elementów i skupień fonetycznych, oraz roli i czynności narzędzi mownych.

§ 2. W jednym i drugim kierunku bardzo było indoeuropeistom pomocne zapoznanie się z gramatyką staroindyjską czyli sanskrycką, tak jak ona została skodyfikowana w dziełach gramatyków indyjskich, zwłaszcza Paniniego. Albowiem w przeciwieństwie do gramatyki klasycznej, to jest greckiej, która, przejęta żywcem prawie przez

Rzymian, panowała w Europie aż do czasów nowożytnych, a stała wogóle nader nisko, gramatyka Hindusów osiągnęła w analizie form, ścisłości obserwacji i w fonetyce wysoki stopień rozwoju. Ciekawe jest przeciwieństwo i różnica myśli i nauki greckiej i europejskiej a staroindyjskiej w tym punkcie. Grecy, naród obdarzony tak wyjątkowymi zdolnościami, który stworzył naukę i sztukę europejską, który także w zakresie literatury zajmował wyjątkowe stanowisko, którego język stał się przedziwnym narzędziem tej literatury, nie miał właśnie dla języka zmysłu naukowego i jego spostrzeżenia w tym kierunku, poza stylistyką i retoryką, nie wyszły nigdy z powijaków. Za Grekami zaś poszli Rzymianie i Europa, aż do czasów nowożytnych. Natomiast aryjscy Hindusi, lud także obdarzony bardzo wielkimi zdolnościami, który również wytworzył wielką i wspaniałą literaturę, chociaż z mniej rozległym zakresem naukowej badawczości od Greków, w obserwacji języka wyprzedził ich ogromnie.

Otóż nowoczesna lingwistyka indoeuropejska bardzo wiele trafnych, ścisłych i delikatnych spostrzeżeń przejęła wprost od gramatyków indyjskich, jak przedewszystkiem analizę etymologiczną form i wyrazów, analizę złożzeń (kompozytów), analizę i układ głosek, szeregi wokaliczne itp. I to był w porównaniu z gramatyką klasyczną wielki postęp.

§ 3. Ale indyjscy Aryjczycy tak samo jak Grecy, tak samo zresztą jak cała starożytność i czasy następne aż prawie do wieku XIX, nie znali wcale pojęcia ewolucji i rozwoju, nie znali go zupełnie zwłaszcza w zakresie życia psychiczno-kulturalnego. To jest może największa różnica między nowoczesną a dawniejszą umysłowością. Epoka klasyczna na najwyższym szczeblu swego greckiego rozwoju znała tylko historję jako następstwo zewnętrznych zdarzeń czegoś w istocie swej niby stałego, nie znała zaś wewnętrznej ewolucji, ba, w zakresie kultury i psychiki ludzkiej przypuszczała dosyć powszechnie jako ogólną zasadę i ogólny punkt widzenia cofanie się, upadek z dawniejszego wyższego, doskonalszego stanu; nie istniała nauka o historii i rozwoju kultury; nawet w zakresie życia organizmów i zjawisk fizjologicznych, pomimo poszczególnych trafnych obserwacji, nigdy się nie wzniosła na ogólne rozwojowe stanowisko. A Hindusi mieli w tym kierunku właściwie jeszcze mniej zmysłu odpowiedniego niż Grecy.

W tym punkcie nowożytna nauka europejska musiała zaczerpnąć z własnych środków i wcześniej też znać na językoznawstwie indoeuropejskiem korzystny wpływ ewolucjonizmu nauk przyrodniczych. Koncepcja rodziny językowej indoeuropejskiej, prajęzyka indoeuropejskiego jako wspólnego źródła, powolnego rozwoju poszcze-

gólnych języków itd. nie istniała w starożytności i istniećby nie mogła, bo nie było po temu w umysłowości klasycznej danych warunków rozwojowych.

Jednak ten konieczny i płodny sposób patrzenia się na zjawiska językowe nie odrazu i nie tak łatwo znalazł swe zastosowanie także i w fonetyce. Ci sami uczeni, którzy wogóle na wzajemne stosunki poszczególnych języków indoeuropejskich, na wzajemny stosunek narzeczy jednego języka, na powolną ewolucję mowy i języków, na pojęcia chronologiczno-rozwojowe różnych epok (przyczem t. z. pra-epoki grały ważną rolę) mieli już dosyć jasny pogląd, wobec zjawisk fonetycznych, wobec ewolucji fonetycznej, stali jeszcze długo bezradnie. Nic w tem zresztą dziwnego, bo chodziło tu o zjawiska i zakres faktów, daleko trudniej mogących dojść do świadomości, o drobne elementy językowe i trzeba było znacznego wysiłku uwagi i pracy. To też rozwój pojęć o istocie zmian fonetycznych czyli ewolucji fonetycznej musiał być powolny.

§ 4. Fonetyka, zarówno opisowa jak historyczna, doszła w nowoczesnym językoznawstwie do wysokiego stopnia rozwoju. Ma ona jeszcze oczywiście swoje problemy i zadania do rozwiązania i opracowywania i zawsze je mieć będzie, bo badawcza praca umysłu ludzkiego, wraz z ogólną jego ewolucją nieustannie posuwa się naprzód, ale możemy stwierdzić i śmiało utrzymywać, że idziemy właściwą drogą, że fundamenty zostały dobrze i silnie założone. Fonetyka jest i będzie jedną z podstaw historycznej czyli rozwojowej czyli naukowej lingwistyki; przyczem wcale nie chcę twierdzić, że ewolucjonizm sam przez się już zbawia, lub że nie należy pilnie rozpatrywać strony aktualnej zjawisk, to jest ich funkcjonalnego znaczenia w danym zakresie, czasie i środowisku. Et haec facienda et illa non omittenda.

Jest rzeczą jasną, że praca językoznawcza w zakresie, który dawniej jako pole badania właściwie nie istniał, musiała wydobyć nie tylko całe mnóstwo spostrzeżeń, stwierdzić całe mnóstwo zjawisk i faktów, ale także, porządkując je i wnikając w ich istotę, wytworzyć względnie ustalić cały szereg szczegółowych i ścisłych czyli technicznych pojęć i terminów. To samo dzieje się lub się działo w każdej nauce. Ta też strona nowożytnego językoznawstwa, specjalnie historyczno-porównawczej gramatyki indoeuropejskiej, stanowi największą zewnętrzną różnicę od dawniejszej gramatyki i największą zewnętrzną trudność do pokonania dla niefachowca; ona też długi czas robiła lingwistykę indoeuropejską tak niepopularną, bo trudną, dla filologów klasycznych itd. Trzeba sporo pracy, wysiłku i dobrej woli, aby wejść w domostwo lingwistyki, ale to samo jest przy każdej

innej nauce. To samo, ale niezupełnie. Stosunek niefachowców do językoznawstwa jest nieco inny niż do innych nauk i powód tego jest jasny. A mianowicie, każdy człowiek zna przynajmniej jeden język i to zupełnie dobrze, mówi nim i pisze, podczas gdy materiał innych nauk, zwłaszcza przyrodniczych, zna bezpośrednio, bez osobnego uczenia się, tylko w bardzo małym stopniu i dlatego naukę, która ma za przedmiot język, to jest zakres zjawisk każdemu bezpośrednio dany, ludzie właściwie lekceważą, myśląc sobie, że tu nie ma nic do uczenia się i rozmyślenia. Ludzie cenią sobie dopiero znajomość obcych języków, których się trzeba wyuczyć i których posiadanie zapewnia im rozmaite korzyści. No, ale sposób do tego i zwykłą, praktyczną gramatykę każdy przecież zna; nie ma w tem nic szczególnego. I dlatego o języku i kwestjach językowych każdy jest gotów rozprawiać i sądzić, podczas gdy przy innych naukach, gdzie się nawet materiału prawie wcale nie zna, ludzie cicho siedzą. Lingwistyka szczegółowa, np. historyczno-porównawcza gramatyka języków indoeuropejskich ze swym obcym dla niefachowca wyglądem, całym szeregiem osobnych terminów i znaków, trochę ludziom, jak zwykle rzecz nieznaną, imponuje, ale niebardzo — bo to przecież dotyczy języka, tej każdemu doskonale znanej rzeczy, więc co tu dużo o tem gadać?! na co, poza praktycznymi podręcznikami różnych języków, pisać o tem grube tomiska?! Ale na grube dzieła przyrodnicze, historyczne itd. ludzie spoglądają z szacunkiem.

I tu dochodzimy do właściwej różnicy, do właściwego powodu różnego stosunku wykształconego ogółu do językoznawstwa a do innych nauk. Oto z jednej strony nauka o języku nie daje żadnych praktycznych korzyści, nie prowadzi do żadnych wynalazków, któreby się w życiu dały wyzyskać, a z drugiej strony cała jej waga, cały jej ciężar spoczywa właściwie w wytężonym skierowywaniu uwagi, w wytężonej pracy uświadamiania zjawisk — dobrze napozór znanych. Wiele zaś innych nauk dopiero zjawiska same wydobywa, a to jest niewątpliwie z jednej strony łatwiej, z drugiej dla przeciętnego umysłu zabawniej.

Celem tych moich pogadanek, rozpoczętych wraz z przeobrażeniem się Poradnika Językowego na Język Polski, jest właśnie zbliżenie ogółu wykształconego do językoznawstwa, wyjaśnienie mu zadań tej nauki, wyjaśnienie, choćby w drobnej mierze, istoty zjawisk językowych, roli i rozwoju języka. Obecnie chcę pomówić o stronie fonetycznej, od czego może nawet ze względu na poruszone wyżej powody i momenty i ze względu na to, że dyletanci srodze u samych tych podstaw grzeszą, należało zacząć.

§ 5. Otóż pierwszym zasadniczym faktem w zakresie fonetyki jest fakt przeobrażania się, zmian, przemian poszczególnych głosek, ich grup lub całych szeregów, oraz zmian innych fonetycznych zjawisk i właściwości jak np. akcentu. Mamy tu dwojakie fakty. Po pierwsze zmiany w czasie, różnice chronologiczne w systemie fonetycznym tego samego języka. Każdy, kto chodził do szkoły średniej, wie, że dzisiejszy język kulturalny polski nie tylko w wielu innych rzeczach różni się znacznie od dawniejszego, ale także w fonetyce, i to, ogółem biorąc, tem więcej, im dawniejszą jego fazę mamy na oku. Fonetyka polska drugiej połowy wieku XIV różni się bardziej od dzisiejszej, niż fonetyka wieku XVI itd. Dawniej mówiono np. *sędzić sędzi sędzę sędził*, dziś *sądzić sądzi jak sędzę sędził*, a jeszcze dawniej samogłoski nosowe wogóle inaczej brzmiały; dawniej mówiono *tamo, szczyry, żyr, cirpieć* lub *cirzpieć*, dzisiaj, *tam, szczery żer, cierpieć*; dawniej było pochylone *á* (*ǎ*, zbliżone do *o*) obok jasnego, dziś pochylone wszędzie jest zastąpione jasnym; jeszcze dawniej rozróżniano długość i krótkość samogłosek itd. itd. To samo jest, jak wiadomo, w każdym języku: przeobraża się i zmienia nieustannie. Obok tych zmian następowych mamy różnice współczesne. I to rzecz każdemu dobrze znana. Wystarczy posłuchać mowy niższych warstw w Krakowie, wyjść za miasto, pojechać do Zakopanego itd., aby się przekonać, że lud nasz mówi inaczej niż my, i to nie tylko co do składni, form, wyrazów i ich znaczeń, ale także co do wymawiania. Jest to dobrze znany fakt istnienia narzeczy. Ale nawet pozostając w obrębie warstwy inteligencji czyli w obrębie języka t. z. kulturalnego lub piśmiennego spostrzegamy, że między naszym językiem tu w Krakowie a językiem innych okolic i środowisk Polski są pewne, także fonetyczne różnice, nieraz np. w mowie Polaków na Litwie i Rusi, wpadające nam odrazu w ucho, np. inne miękkie *s* niż u nas (*siła* itd.), wymowa *Kraśiński* itp.

Te współcześnie istniejące różnice fonetyczne w obrębie tego samego języka polegają oczywiście także na zmianach, a cała ich różnica od tamtych, chronologicznych czyli czasowych różnic, sprowadza się do tego, że zmiany i różnice dotyczą nie tylko czasu, ale i przestrzeni. Żadna zmiana fonetyczna (i wogóle językowa) nie odbywa się odrazu na całej przestrzeni, to jest u wszystkich ludzi, danym językiem mówiących. Pod tym względem istnieje nieskończone stopniowanie: z jednej strony zmiana może się dokonywać prędzej lub wolniej, w obrębie jednego lub kilku pokoleń, z drugiej może ogarnąć cały obszar językowy lub tylko jego większą lub mniejszą część. Np. zanik dawnych różnic iloczynowych w samogłoskach czyli stałej oboczności długich i krótkich samogłosek objął

z wolna cały bez wyjątku obszar polski (w ściślejszym tego słowa znaczeniu, to jest poza kaszubskim): podobnie dawne miękkie *ś, d'* na całym obszarze polskim przeobraziły się z biegiem czasu w *ć, dź*; *rz* przeszło prawie na całym obszarze w *ż* (względnie *sz*) i tylko w niektórych narzeczach południowo-zachodnich, oraz tu i ówdzie na północnym-wschodzie słychać jeszcze głoskę *r*; *á* pochylone znikło z wolna z języka klas wykształconych zupełnie, natomiast w narzeczach przeważnie się utrzymało; *é* pochylone dopiero z wolna zanika w języku kulturalnym, ale do zupełnego zaniku jego w mowie wszystkich wykształconych Polaków jeszcze daleko; *rz* brzmi w narzeczach powszechnie, jak i w języku kulturalnym, jak *ż* (względnie *sz*), ale w kilku narzeczach objęło je ogólne mazurzenie (*zéka, gréch*); zmiana *ł* na *u* posuwa się z wolna od zachodu ku wschodowi, zarówno w języku piśmiennym jak w mowie ludu, ale wahania lokalne, często w obrębie jednej okolicy, wsi, nieraz rodziny, są jeszcze bardzo znaczne itd. itd. Oczywiście to samo było zawsze i wszędzie.

Zatem pierwszy, zasadniczy i elementarny fakt możemy sformułować w ten sposób: System fonetyczny każdego języka, to jest jego głoski i właściwości fonetyczne, przeobraża się nieustannie; tempo i zakres (zarówno co do zjawisk jak przestrzeni) przeobrażenia wykazują przytem najrozmaitsze stopniowania.

§ 6. Zanim pójdziemy dalej, zatrzymajmy się jeszcze trochę przy tem zasadniczym zjawisku i uprzytomnijmy sobie, jak niełatwo takie, zupełnie niby oczywiste i elementarne, dla naukowego myślenia konieczne zjawiska, dochodzą do świadomości ogółu ludzkiego. Jużci Grecy i Rzymianie i wogóle wszyscy wykształceni zawsze wiedzieli i wiedzą, że język się zmienia i że także jego wygląd fonetyczny nie pozostaje ten sam, bo trudno tego nie spostrzec. Ale mimo to starożytni nigdy nie doszli do tego, żeby przeobrażanie się fonetyczne języka poznać i uznać jako zjawisko powszechne, naturalne i konieczne, i ażeby, co za tem idzie, to zjawisko systematycznie obserwować i systematycznie przy wszelkich dochodzeniach językowych, jak np. etymologicznych, uwzględnić. A nie ulega wątpliwości, że ogół wykształcony i dziś jeszcze stoi na tem samem stanowisku co Rzymianie lub Grecy. Ba, na co nam ogół?! Toć wiemy, że na tem samem stanowisku w gruncie rzeczy stały jeszcze takie potężne duchy jak Mickiewicz i Słowacki! Zawsze, i dzisiaj jeszcze, bardzo wśród ludzi rozpowszechniona fantastyczna, tak zwana dzika etymologia, polegająca na zestawieniu wyrazów wyłącznie na podstawie podobieństwa, istniejącego aktualnie w danym

czasie (np. łac. *deus* z greckim *theós*), nie byłaby możliwa, gdyby ludzie raz sobie porządnie uświadomili i stale pamiętali o momencie rozwojowo-historycznym. Bo aktualne podobieństwo dwóch wyrazów w danym czasie, o ile nie chodzi o takie oczywiste związki jak *koń-konik*, *pan-pani*, *biały-bielić* itd. itd., niesłychanie często, ba przeważnie, polega na przypadku. W powyższym np. wypadku uwzględnienie momentu historyczno-rozwojowego wykazuje, że łaciński wyraz brzmiał dawniej nieco *deivos*, a grecki **dhvesos*¹⁾ i późniejsze ich fonetyczne podobieństwo odrazu znika, okazuje się wynikiem przypadkowym. Naodwrot trudno niesfachowcowi uwierzyć, że polskie *córka*, czeskie *cera*, ruskie *dočka*, starocerkiewne *dūsti*, to — pomijając końcówkę czyli sufiks — genetycznie ten sam wyraz²⁾, a nadto ten sam wyraz co litewskie *duktė*, niemieckie *Tochter*, greckie *thygátēr*, sanskryckie *duhitā*, bo — no bo są całkiem do siebie niepodobne. A tymczasem po uwzględnieniu fonetycznego przeobrażenia się tych wyrazów dochodzimy do zupełnie pewnego i niewzruszonego rezultatu, że wszystkie one polegają na tej samej i jednej formie pierwotnej, która w prajęzyku³⁾ indoeuropejskim brzmiała **dhughotē*⁴⁾ lub **dhughotēr*, a dialektycznie **dhuktē(r)*.

Nieraz jednak i aktualne fonetyczne podobieństwo bardzo długo się utrzymuje. Np. wyraz *matka*, *mac*, *maciora*⁵⁾, jak wiadomo, we wszystkich językach indoeuropejskich do dziś dnia brzmi dosyć podobnie. Albo wyraz *syn*, niem. *Sohn*, litew. *sūnūs*: dzisiejsza postać tego wyrazu w tych językach jest jeszcze dosyć podobna do staroindyjskiego (sanskryckiego) *sūnūś*, a litew. *sūnūs* prawie niczem się nie różni od formy praindoeuropejskiej. Albo weźmy litew. *ēsti* 'bywa, jest' (w znaczeniu niemieckiego 'es gibt'): ten wyraz litewski brzmi prawie zupełnie tak samo jak brzmiał w prajęzyku indoeuropejskim, to znaczy przez cztery do pięciu tysięcy lat (a zapewne jeszcze dłużej) prawie zupełnie się nie zmienił; a i jego dzisiejszy polski i niemiecki wygląd, *jest*, *ist*, także jeszcze jest dosyć podobny.

Widzimy zatem, że moment aktualnego w danym czasie podobieństwa fonetycznego wyrazów jest najzupełniej względny.

¹⁾ Przynajmniej prawdopodobnie; w każdym razie całkiem inaczej niż wyraz łaciński.

²⁾ Pol. *córka* a stek. *dūsti* nie mają ani jednej głoski tej samej!

³⁾ To znaczy, nie w jakimś pierwotnym języku, tylko poprostu w epoce, kiedy języki indoeuropejskie tworzyły jeszcze jeden, mniej lub więcej jednolity, na kilka tysięcy lat przed Chr.

⁴⁾ *a* oznacza pewną samogłoskę, którą dla tej epoki wypada przyjąć.

⁵⁾ *Maciora* znaczyło dawniej 'matka'; w starej polszczyźnie używa się np. nawet o Matce Boskiej; później się znaczenie wyspecjalizowało. Por. *macierz* itd.

§ 7. Trzeba zrozumieć i żywo pamiętać, raz na zawsze wiedzieć jasno i mocno, że wygląd fonetyczny każdego języka ulega nieustannemu, to powszechnemu, to częściowemu, to powolniejszemu, to szybszemu, ale ciąglemu, stałemu i koniecznemu przesuwaniu się, przeobrażaniu. I powtóre: że w ciągu tych długich tysięcy lat rozwoju względnie istnienia, jakie każdy język ma za sobą, jego wygląd fonetyczny (tak samo oczywiście jak i inne jego cechy) musiał w porównaniu z jego stanem obecnym lub wogóle stanem w jakiejś znanej epoce ulec ogromnemu przeobrażeniu. Wystarczy przecież rzucić okiem na istniejące dzisiaj języki indoeuropejskie, a więc na polski i inne słowiańskie, na niemiecki, angielski i inne germańskie, na włoski, francuski i inne romańskie, na litewski i łożyński, na nowogrecki, armeński (ormiański), perski itd. itd., aby się o tem jak najoczywiście przekonać. Bo wszystkie te języki, tak do siebie dzisiaj niepodobne, są kontynuacjami, rozwidleniami jednego języka z przed kilku tysięcy lat. A następnie wystarczy rzucić okiem na historyczną fonetykę jednego lub drugiego języka lub trochę sobie przypomnieć wygląd fonetyczny francuskiego np. w porównaniu z łaciną, niemieckiego w porównaniu z gockim, polskiego w porównaniu ze starocerkiewnym, żeby przytoczyć parę najbliższych przykładów, aby się przekonać, jak nietylko silne, ale i różnorodne bywają w ciągu kilkunastu wieków zmiany fonetyczne. Niektóre głoski trzymają się długo bez wielkich zmian, przeważnie jednak ulegają znacznym przeobrażeniom, a bardzo często, jeżeli uwzględnimy nieco dłuższy przeciąg rozwoju, stają się całkiem do siebie niepodobne. Np. francuskie *ch*, to jest co do wymowy nasze *sz*, z łacińskiego *k*: *cheval* $\Leftarrow$ ¹⁾ *caballus*, *chien* $\Leftarrow$ *canis*, franc. *j* (to jest nasze *ż*) z łac. *j*: *jurer* $\Leftarrow$ *jurare*, franc. *i* (*j*) z łac. *k* w grupie *kt*: *nuit* $\Leftarrow$ *nocte(m)*, słowiańskie *č* (*cz*), *ž* (*ż*) z *k*, *g*: *pieczesz* obok *piekę*, *możesz* obok *mogę*; *dj* przeszło w językach słowiańskich w różne głoski: **medja* (= łac. *media*) rozwinęło się w starocerk. i bułg. w *žd* (*mežda*), w pol. w *dz* (*miedza*), w ruskich językach w *ž* (*meža*) itd.; podobnie *tj*; głoski *j*, *v* (*w*), *s* w wielu językach z biegiem czasu zanikają zupełnie, w innych się trzymają; w celtyckich językach znikło z czasem zupełnie dawne *p* (np. staroiryjskie *athair* 'ojciec' = grec. *patēr*, łac. *pater* itd.), podczas gdy w innych tylko wyjątkowo ginie; dawne *j* rozszczepiło się w greczyźnie w *h* (t. z. *spiritus asper*), a w pewnych warunkach w *dz*: *dygón* = łac. *iugum*, *dzōrós* 'silny, mocny (o winie)' = naszemu *jary* itd.; to greckie *dzeta* brzmiało pierwotnie *zd*, potem przeszło w atykiem i innych narzeczach w *dz*

¹⁾ O znakach $\Leftarrow$ i $\Rightarrow$ p. przypisek 2) na str. 44.

lub *z*; często z biegiem czasu samogłoska staje się do siebie niepodobną: *a* przechodzi w *i* lub naodwrot (np. sanskryckie *pitā* 'ojciec': obok łac. *pater*, grec. *patēr* itd., kaszubsko-słowińskie *lāpa* = *lipa*) itd. itd. bez końca.

Uświadczenie sobie tego rodzaju niesłychanie licznych i pospolitych przeobrażeń przyda nam się później do zrozumienia, jak dalece pozbawioną sensu jest skłonność dyletantów do kombinacji etymologicznych, nie uwzględniających tego zasadniczego faktu ewolucji fonetycznej, a operujących jakimś tajemniczym znaczeniem poszczególnych głosek.

§ 8. Drugim zasadniczym zjawiskiem rozwoju fonetycznego jest znaczna jego prawidłowość czyli stałość i konsekwencja zmian fonetycznych. Na tę to stronę zjawiska zwróciło nowsze językoznawstwo baczną uwagę wbrew dawniejszej praktyce i doszło w latach 70-tych do skrajnego sformułowania zasady o »bezwzględności praw głosowych«. Zostawmy tę zasadę narazie na boku i przyjrzyjmy się samemu zjawiskom.

Otóż przypatrując się uważnie wzajemnemu fonetycznemu stosunkowi np. języków romańskich, albo stosunkowi poszczególnych języków germańskich do siebie, albo języków słowiańskich itp. spostrzega się i stwierdza z łatwością wielką prawidłowość i stałość odpowiedników (czyli oboczności) fonetycznych. Np. stosunek fonetyczny między naszym *krowa*, czeskim i południowo-słowiańskim *krava*, a ruskim (to jest rosyjskim, małoruskim, białoruskim) *korova* powtarza się w dziesiątkach i dziesiątkach najrozmaitszych wyrazów, np. takich jak *wrona*, *mróz*, *próg* itd. itd. Albo stosunek fonetyczny, jaki widzimy w pol. *biały* || *bielić*, powtarza się w polszczyźnie stale w całym szeregu wyrazów (*dział* || *dzielić*, *wiara* || *wierzyć*, *biały* || *bielizna*, *piana* || *pienić* itd. itd.), a tej polskiej oboczności *a* || *e* (po pewnych spółgłoskach) odpowiada w innych językach słowiańskich jednolitą samogłoską *i*. z. *jaŭ* (*ě*, np. starocerk. *bělŭ*, *běliti*, *měra*, *měriti* itd. itd.). Inna oboczność fonetyczna polska, również w dziesiątkach i setkach wyrazów i form się powtarzająca, a mianowicie taka jak: *biorę*, *zbioru*, *ubioru* || *bierzesz*, *bierze*, *miotać* || *miecie* *pszczoła* || *pszczelny*, *żona* || *żeński* itd. itd. odpowiada w innych językach słowiańskich znowu (przeważnie) jednej głosce, ale innej, mianowicie zwyktemu *e* (np. starocerk. *berę*, *berěši* itd., *žena*, *ženiskŭ* itd. itd.).

Albo weźmy takie zjawisko (stosunek, oboczność) fonetyczne jak *cz* (*č*), *ż* (*ž*) || *k*, *g* w językach słowiańskich np. *piekę*, *pieką* || *pieczesz*, *piecze...*, *mogę*, *mogą* || *możesz*, *może...*, *noga* || *nóżka*, *nożny...*,

oko || *oczny*, *oczko*. Ten stosunek powtarza się w setkach i tysiącach wyrazów i form we wszystkich językach słowiańskich.

I to samo możemy stwierdzić dla niezliczonych innych przeobrażeń czyli zmian fonetycznych we wszystkich językach, i dotyczy to zarówno stosunku poszczególnych języków jednej ciśniejszej grupy do siebie, np. języków słowiańskich między sobą, germańskich między sobą itd. itd., jak i poszczególnych narzeczy jednego języka między sobą, jak i wreszcie poszczególnych całych grup między sobą.

Weźmy narzecza jednego języka i ich wzajemny stosunek fonetyczny. Mamy tę samą stałość; np. w narzeczach mazurujących nie jeden tylko lub drugi wyraz wykazuje *c*, *z*, *s*, wobec głosek *cz*, *ż*, *sz* narzeczy niemazurujących i języka piśmiennego, tylko w setkach i setkach wypadków. Albo, jeżeli pewne narzecza zachowały *á* pochylone, to tak samo nie w kilku lub kilkunastu, ale w tysiącach form. I to samo odnosi się do zmian względnie odpowiedników fonetycznych międzydialektycznych w ogóle.

Ale nie inaczej rzecz się ma i ze stosunkiem całych grup — oczywiście o ile są pokrewne — do siebie. Stosunkowi, któryśmy wyżej stwierdzili w pol. *krowa* || czesk. *kráva* || ros. *korova* odpowiada w języku litewskim (i w ogóle w grupie bałtyckiej) stale *ar*: *kárvė*, *várna* itd., a podobnie i w innych językach indoeuropejskich mamy w tych wypadkach, to jest w wyrazach etymologicznie pokrewnych, stale *or* (lub *ār*). I to samo powtarza się w innych wypadkach.

Rozumie się prawie samo przez się na podstawie tego, co dotąd powiedziano, ale lepiej zaznaczyć to jeszcze osobno i wyraźnie, że to samo odnosi się do chronologicznego stosunku zmian fonetycznych w obrębie jednego i tego samego języka, jednego i tego samego narzecza. Jeżeli dawniejszy język polski kulturalny posiadał obok jasnego *a* — pochylone (*á*) i jeżeli w pewnej epoce jego rozwoju to pochylone *á* przesunęło się w wymowie tak, że ostatecznie spłynęło z jasnym *a* w jedną samogłoskę, to nie nastąpiło to w pewnych tylko wyrazach lub formach, lecz — ogółem biorąc — we wszystkich. Albo jeżeli zmiękczone *r* w pewnej epoce języka polskiego przeobraziło się w *rż* (względnie *rsz* w odpowiednim położeniu), a to znowu w dalszym ciągu zmieniło się w *rz*, wymawiane jak *ż* (względnie *sz*), to znowu nastąpiło to powszechnie, a nie tylko czasem, w niektórych wyrazach i formach, w innych zaś nie. I tak dalej bez końca.

§ 9. Otóż na podstawie tego rodzaju spostrzeżeń, robionych w niezliczonych przypadkach w obrębie zarówno poszczególnych języków i narzeczy, jak i całych grup, mniejszych i większych, językoznawstwo indoeuropejskie stwierdziło z wolna fakt, że przeobra-

zenie fonetyczne odbywa się nie dowolnie, kapryśnie lub na wyrywki, tylko stale i prawidłowo. I wreszcie, w epoce rewizji podstaw językoznawczych w ogólności, a fonetycznych w szczególności, sformułowano to spostrzeżenie jako zasadę bezwyjątkowości praw głosowych, czyli innemi słowy postawiono twierdzenie, że zmiany fonetyczne głosek lub grup głoskowych odbywają się w zasadzie powszechnie, we wszystkich wypadkach, zatem w zasadzie bez wyjątku.

Naprzód uwaga o terminie 'prawa głosowe' (Lautgesetze, lois phonétiques). Termin ten jest po dziś dzień w językoznawstwie indoeuropejskim, a za jego przykładem i w lingwistyce wogóle, przeważnie powszechnie używany. Jednak szczęśliwy nie jest, bo albo nasuwa na myśl prawa, ustanawiane względnie rozwijane przez człowieka, w zakresie ustawowo-prawnym, etycznym itp., albo też prawa fizyczne, przyrodnicze. Zjawiska fonetyczne, nazywane prawami głosowymi, mają i z jednym i z drugim rodzajem praw niejedną cechę wspólną, ale wykazują też znaczne i ważne różnice. A pojęcie, w tym terminie zamknięte, można zupełnie wystarczająco określić mianem zmian, przeobrażeń, albo tendencji albo rozwoju fonetycznego, przeto lepiej terminu 'prawo głosowe' unikać. Ja osobiście od wielu lat, zarówno w wykładach jak rozprawach, zupełnie go nie używam i żadnego przez to kłopotu nie doznaję. Daleko ważniejszą rzeczą jest zwłaszcza dla początkujących i dyletantów, uchwycić jasno, to jest naprawdę zrozumieć, i przyswoić sobie samo pojęcie.

Cóż to jest to tak zwane 'prawo głosowe' czyli mówiąc po prostu, zmiana fonetyczna? Jest to uogólnienie całego szeregu poszczególnych, konkretnych wypadków, wydobywające to, co w nich jest wspólnego. Np. na podstawie całego mnóstwa takich odpowiedników jak *biały* || *bielszy*, *bielić*, *wiara* || *wierze*, *wierze*, formułujemy fakt: w języku polskim głoska, kontynuująca dawniejsze ogólniesłowiańskie *ē* (jat) rozszczępiła się (w tym a tym czasie) w *a* || *e*; mianowicie przed następującymi, niepalatalnymi (niezmiekkczonymi) spółgłoskami przedniojęzykowymi (*t*, *d*, *n*, *r*, *l*, *s*, *z*) przeobraziła się ostatecznie w zwykłe *a*, zaś przed wszystkimi innymi w zwykłe *e*. Na podstawie całego mnóstwa takich odpowiedników (oboczności) jak *krowa*-*krava*-*korova* || litew. *kārvė*, *brzeg*-*brėgū* *bereg* || niem. *Berg* formułujemy fakt: grupa głoskowa *or*, *er* w położeniu między spółgłoskami zmieniała się w językach słowiańskich w ten sposób, że w narzeczach lechickich ostatecznie przeobraziła się w *ro*, *re* (z czego dalej *ře*), w narzeczach czeskich i południowo-słowiańskich w *ra*, *rě*, w narzeczach ruskich w *oro*, *ere*. W praktyce mówimy krótko: dawne indoeuropejskie *ū* przeszło w językach słowiańskich (to znaczy

jeszcze w prasłowiańskiej epoce) w *y*, zmiekkzone *ř* przeszło w polskim w *rz*, pragreckie *ā* przeszło w jońskim w *ē* (*η*), prapolskie (ogólnopolskie) *cz*, *ż*, *sz* przeszły w tych a tych narzeczach w *c*, *z*, *s* itd. itd., a pisząc przedstawiamy to jeszcze krócej w takiej formie: ideur.¹⁾ *ū* ⇒ ²⁾ *sl.*¹⁾ *y*. pragr. *ā* ⇒ jon. *η* itd. Jeżeli zestawiam różne narzecza jednego języka lub rozmaite języki jednej grupy ze sobą, to oczywiście stwierdzenie stosunków fonetycznych przybiera wygląd zrównań albo oboczności. Mówimy np.: sanskr. (czyli staroindyjskie) *ū* = gr. *ο* = łac. *ū* = słow. *y* = lit. *ū* itd. albo też, co jest właściwsze: sanskryckiemu *ū* odpowiada gr. *ο*, łac. *ū*. słow. *y* itd., co też można wyrażać (za przykładem Baudouina de Courtenay) krótko: sti. *ū* || gr. *ο* || łac. *ū* itd.

§ 10. Otóż fonetyka historyczna w nowożytnym ujęciu, czyto jednego języka czy całej grupy, jest uporządkowanym zbiorem tego rodzaju jednostkowych, ale zarazem już gatunkowych stwierdzeń wszystkich poznanych przeobrażeń, zmian, względnie oboczności fonetycznych. Porządek czyli system wynika z faktu, że rozmaite takie »prawa głosowe« dadzą się podciągać pod uogólnienia wyższego rzędu, przyczem mogą być stosowane różne punkty widzenia. Ogółem biorąc, wynikają te uogólnienia po pierwsze z jakości czyli natury a) głosek, b) właściwości i dążności fonetycznych, a powtórę z jakości i bezpośrednich przyczyn zmian fonetycznych. A więc co się tyczy pierwszego momentu, rozróżniamy rozwój samogłosek od spółgłosek, rozwój spółgłosek dzielimy na rozwój spółgłosek zwartych, sonornych (nosowych i płynnych) i spirantów (*s*, *z* itd.); rozwój spółgłosek zwartych rozpada się oczywiście na poddziały: spółgłoski wargowe, przedniojęzykowe itd. Dalej łączymy w osobne grupy rozwój samogłosek pod względem iloczasu, rozwój systemu akcentuacyjnego, rozwój pod względem budowy zgłosek, rozwój osobnych głosek i grup głoskowych (np. *st*, *kt* itd.). Ze względu na drugi moment rozróżniamy rozwój niezależny od zależnego, o czym jeszcze niżej będzie mowa, zmiany głosek pod wpływem akcentu, następstwa fonetycznego, np. przegłos samogłosek pod wpływem jakości następującej zgłoski (np. rozszczępienie *o* || *e*, *e* || *a* w polskim: *żona* || *żeński*, *wiara* || *wierny*; palatalizacja spółgłosek np. słow. *cz*, *ż* z pierwotnych *k*, *g*, pol. *ć*, *ź* z pierwotnych *t*, *d* itd. itd.), upodobnienia (asymilacje), dysymilacje (np. *r-r* ⇒ *l(l)-r*: *Małgorzata* = *Margorzata*, *mularz* = *murarz* itd.), rozwinięcie nowych spółgłosek w pew-

¹⁾ Lub ide. = indoeuropejski, dokładniej 'praindoeuropejski'; podobnie: (pra)sl(owiański).

²⁾ Ten wygodny i jasny znak, wyrażający zarazem zrównanie jak i kierunek rozwoju, wprowadziła polska nauka.

nych warunkach (tak zwane wstawki, epentezy itp., np. słow. *str* ← *sr* w *ostrów, struga*, gr. *φρίνω* ← **φρίνω*, gr. *ἀνδρός* ← **ανδρος* itd.).

§ 11. Jest jeszcze trzeci moment, bardzo ważny i konieczny, mianowicie chronologiczny. Ponieważ rozwój fonetyczny przedstawia ciągłość w czasie wraz z organizmami psychofizycznymi, które są podłożem rozwoju językowego, przeto, rzecz prosta, moment następstwa czasowego musi być uwzględniany. Przeobrażenia fonetyczne, zmiany, oraz tendencje albo dążności i przyzwyczajenia, których owe zmiany są wynikiem, trwają czas jakiś, krótszy lub dłuższy, a następnie znikają, powstają nowe itd., tak, że często po pewnym czasie rozwija się dążność wprost przeciwna dawniejszej. Tak np. w epoce wspólności językowej słowiańskiej i jeszcze w epoce przedhistorycznej poszczególnych języków słowiańskich panowała dążność wzgl. przyzwyczajenie fonetyczne, aby zgłoski się kończyły na samogłoski, a wszystkie następujące elementy spółgłoskowe należały do zgłoski następującej, innymi słowy, aby granica zgłoskowa padała po samogłosce, czyli aby wszystkie zgłoski były otwarte. Resultatem tej właściwości prasnawiańskiej są takie przeobrażenia jak monoftongizacja dawniejszych dyftongów (np. *cěna* 'cena' ← *koinā*¹⁾, *suchū* 'suchy' ← **sausos*²⁾, rozwinięcie samogłosek nosowych (np. *(v)psū* 'włas' ← *(v)onsū*, *měso* 'mięso' ← **menso*), upraszczanie takich grup spółgłoskowych, które wedle ówczesnych przyzwyczajzeń fonetycznych nie mogły się wymawiać na początku wyrazu lub zgłoski (np. *pětlū* 'pięty' ← **penktos*, *kanęli*, staropol. *kanęć* 'kapnąć' ← **kapęli* itd., natomiast *prostū* 'prosty' pozostało, bo wymawiało się *pro stū* itd.), przeobrażenie dawnych grup, w których między samogłoską a spółgłoską znajdowało się jeszcze *r* lub *l* (*l*) np. **berza* (por. litew. *bėržas*) ⇒ starocerk. itd. *brěza*, pol. *brzoza* (← **breza*), rus. *bereza* itd. por. wyżej. Z biegiem czasu jednak ta właściwość została zachwiana, w niektórych językach słowiańskich prawie zupełnie przełamana, i grupy spółgłoskowe wskutek rozmaitych przemian, jak np. wskutek masowego zaniku tak zwanych półsamogłosek czyli jerów (t. z. samogłosek zredukowanych, wymawianych mniej dobitnie niż normalnie) nowo powstające pozostają bez zmiany, wbrew dawniejszej dążności, np. pol. *lekki, panna, wierny, pełny* itd. bez końca.

Albo np. istniejąca niegdyś w językach słowiańskich wrażliwość spółgłosek tylnych *k, g, ch* na następujące przednie (palatalne, zwy-

¹⁾ Tyle co **kojna*.

²⁾ **sausos*, wymawiane prawie jak **sašos* przez tych Polaków, którzy nie znają właściwego *ž*.

kle miękkimi zwane) samogłoski, która już w prasnawiańskiej epoce doprowadziła do przeobrażenia się tych spółgłosek w tych warunkach na *č, ž, š* (np. *pekę, pečeši* 'piekę pieciesz', *mogo, možeši* 'mogę, możesz', *duchū, dušinū* 'duch, duszny'), już dawno przestała działać względnie istnieć. My, Polacy, mówimy wprawdzie do dziś dnia *pieciesz, piecze, możesz, może, możny, rączka, nóżka, muszka* itd. bez końca; ba, nie ulega wątpliwości, że i dziś jeszcze każdy z nas w danym razie na nowo takie formy utworzy, bo np. od jakiegoś rzadko używanego, albo nowo urobionego, albo z obcego języka przejętego wyrazu na *-ka -ga*, albo nawet poprostu od zwykłego takiego wyrazu, od którego jednak nie używamy zdrobniałej formy, jeżeli nam przyjdzie jej jednak użyć, to bez namysłu utworzymy formę na *-czka, -żka* np. od *zapomoga, wręga* powiemy w danym razie na pewno *zapomożka, wrążka* lub *wrężka*, a nie **zapomogka, *wręgka*. Ale to wcale nie znaczy, że dziś istnieje taka dążność fonetyczna, czyli wedle utartego terminu, że dzisiaj działa takie prawo głosowe, czyli jeszcze inaczej, że dzisiaj nie możemy wymówić **zapomogka* (to znaczy de facto **zapomokka*) itp. Bo przecież mówimy *lekki* itp., powtóre owo *cz, ż* w formach *rączka, nóżka* rozwinęło się pierwotnie wtedy, kiedy tam jeszcze było *i* (prasnaw. *račika, nožika*), a ono przecież oddawna znikło; tak samo przed *e, i*: bo dziś przecież mówimy *ginę, kiedy, kij, moge* ← *moge*, dialektycznie *mogemy* lub *mogiemy, nogę* = *noge, rękę* = *ręke, muchę* = *muche* itd., to znaczy dziś i oddawna *k, g, ch* znajdując się przed *e, i* wcale nie zmieniają się w *cz, ż, sz*. Jeżeli zatem dziś jeszcze tworzymy takie formy jak *zapomożyna, wrężka* itp., chociażśmy ich nie odziedziczyli, to tylko dlatego, że oboczność fonetyczna *k || cz, g || ż, ch || sz*, istniejąca w tysiącnych, przez nas odziedziczonych i powtarzanych formach i wyrazach jest nie tylko bardzo silna, w świadomości naszej językowej żywa, ale co ważniejsza, nabrała znaczenia morfologicznego, jako cecha charakterystyczna formalna: jedne formy mają *k, g, ch*, inne zaś *cz, ż, sz* i dlatego tworzymy nowe na ich wzór, tak jak gdyby owa dążność fonetyczna dziś jeszcze istniała.

To fonetyczne przeobrażenie *k, g, ch* ⇒ *č, ž, š* zresztą jeszcze w epoce prawspólności słowiańskiej przestało być żywe jako fonetyczna dążność, bo kiedy w innym, późniejszym czasie tejże epoki rozwinęły się nowe *č, ž* przez przeobrażenie dawnych dyftongów *oi* (*ai*), to stojące przed niemi *k, g, ch* także wprawdzie nie utrzymały się w tej postaci, ale ich wymowa przesunęła się już nie w *č, ž, š*, tylko w *c, dz, (s)*: *noga, nodze, ręka, ręce, wilk, wilcy*. A więc, jak krótko to formułują Niemcy: andre Zeiten, andre Lautgesetze.

§ 12¹⁾. Otóż ten moment chronologiczny, który jest oczywiście bardzo ważny, uwzględnia się w fonetyce historycznej przy przedstawieniu rozwoju poszczególnych głosek i właściwości fonetycznych. Ale tutaj chodzi nam właściwie o to, czy ten moment tworzy ogólną zasadę układu, czy przedstawiając fonetykę języka, który znamy na przestrzeni kilkunastu wieków, rozróżniamy wogóle epoki, czy np. historyczną fonetykę języka polskiego dzielimy na kilka epok, np. na przedhistoryczną, staropolską, średnio(wieczno)- i nowopolską, czy nie. Otóż dotychczasowa praktyka naszej nauki tego nie robi. Przedstawiając dzieje fonetyczne języka polskiego od czasów najdawniejszych, kiedy polszczyzna była jeszcze tylko narzeczem prasłowiańskiego, aż do czasów dzisiejszych, uwzględniamy moment chronologiczno-rozwojowy przy każdej z osobna głosce, przy każdej z osobna właściwości systemu fonetycznego, rozróżniając fazy prasłowiańską, prapolską, staropolską, nowopolską; ale całości fonetyki nie dzielimy na okresy. Jeżeli nam chodzi o dokładne przedstawienie języka pewnego okresu jako całości, to wtedy przedstawia się ten okres osobno jako fonetykę staropolską, względnie jako część gramatyki staropolskiej; tak samo mamy gramatyki i fonetyki starogórnoniemieckie (althochdeutsch), średniogórnoniemieckie (mittelhochdeutsch), starofrancuskie itd. itd.

Nie ulega wątpliwości, że ta praktyka, poczęści usprawiedliwiona względami praktycznymi, jako zasada nie jest słuszna i musi się zmienić. Najlepszym dowodem tego, a zarazem dowodem potrzeby przedstawienia, któreby uwzględniało moment historyczny jako ogólną zasadę, jest okoliczność, że mnożą się obecnie osobne 'dzieje' różnych języków kulturalnych. Stoi to co prawda w związku z tem, że dotychczasowa naukowa gramatyka, chociaż niby historyczna, nie uwzględnia wcale momentu dziejów społeczeństwa, rozwoju odnośnego społecznego organizmu, jego przedewszystkiem kulturalnej ewolucji na tle oczywiście ogólnie historycznem. Dotychczasowa naukowa gramatyka jest tylko surowym zbiorem ściśle językowych faktów, przedstawionych w możliwie ściśle, a zazwyczaj i suchy sposób. W szczególności pozostawia zupełnie na boku etjologję rozwoju językowego, czynniki i przyczyny, które wywołały taką a nie inną ewolucję języka. Prawda, że to rzecz trudna; prawda, że w szczególności o ile chodzi o fonetykę, rzecz to jeszcze trudniejsza. Ale fakt pozostaje faktem, że gramatyka wogóle, fonetyka w szczególności, jest w przedstawieniu nowożytnego językoznawstwa ciągle jeszcze historyczną czyli rozwojową tylko w szczegółach, nie przed-

¹⁾ 3, 4 (kwiecień 1916).

stawia rozwoju języka jako całości twórczej pracy językowej społeczeństwa, nie daje charakterystyki różnych ważniejszych epok tego rozwoju — krótko mówiąc, równie jej daleko do pełnej naukowości jak i do tego, aby była dziełem sztuki.

§ 13. A teraz zawróćmy do zmian fonetycznych i ich ogłoszonej jako hasło ostatniej ćwierci XIX wieku bezwyjątkowości. Dawniejsze językoznawstwo często operowało już to wyjątkami już to sporadycznymi zmianami językowymi, to jest już to odstępstwami od jakiegoś normalnie w wielu wypadkach spotykanego przeobrażenia, już to zmianami, które tylko tu i ówdzie, w niewielu wypadkach, czasem nawet tylko w jednym jakim wyrazie lub formie się odbyły. Szkoła t. z. młodogramatyków, a za nią zwolna ogół lingwistów, stanęła na stanowisku, że wyjątki są zawsze pozorne, a na prawdę sporadycznych zmian językowych niema. Zasadę bezwyjątkowości t. z. praw głosowych sformułowano dokładniej w ten sposób: zmiany fonetyczne są w tych samych warunkach rzeczywiście bezwyjątkowe; cały ciężar walki, ataku i obrony, skupił się zatem koło tego pojęcia tych samych warunków.

Przedewszystkiem stwierdzono działanie t. z. analogji, to jest wpływu grup wyrazowych, formalnych lub znaczeniowych lub znaczeniowo-formalnych, które oddziałując na poszczególne wyrazy i formy, wchodzące w skład grupy, krzyżują lub usuwają zmianę fonetyczną. Zmiany fonetyczne bowiem bardzo często rozrywają naturalny związek fonetyczny, zaś analogja przeciwdziała temu, stara się ten związek na nowo przywrócić. Np. prasłowiańska odmiana czasu teraźniejszego *bera*, *bereši* itd., albo rzeczownika *žena*, *ženy*, *ženě* itd., i podobnie w setkach innych wyrazów, przeobraziła się z biegiem czasu na gruncie polskim wskutek przeobrażenia fonetycznego samogłoski *e* przed niepalatalnymi (twardymi) spółgłoskami *t, d, n, r, ł, s, z* i przybrała taki wygląd: *biore*, *bierzesz*, *bierze*, *bierzemy*, *bierzecie*, *biorą*; *žona*, *žony*, *żenie*, *żone*, *żenie*, *żoną*, *żono*, czyli fonetyczny związek tych grup, tworzonych przez formy osobowe i przypadkowe tych samych wyrazów został naruszony, nadwątłony przez to, że w pewnych formach rozwinęło się *o*, w drugich pozostało *e*. I cóż widzimy w następstwie? oto, że dzisiaj, i już od dosyć dawna, mówimy *żona*, *żony*, *żonie* itd., czyli, że jednolitość fonetyczna została przywrócona w ten sposób, że formy trzeciego i siódmego przypadku dostały pod wpływem reszty, zatem analogicznie, samogłoskę *o*, podczas gdy dawniejsze ich postaci miały na mocy rozwoju fonetycznego samogłoskę *e*. To samo stało się w rzeczownikach wogóle; dawniej odmieniano na mocy rozwoju fonetycznego *siostra*, *siostry*, *siestrze*..., *brzoza*, *brzozy*, *brzezie*..., *jeziro*, *jezióra*,

(w) jeziorze..., czoło, czoła, (w) czele..., itd., a dzisiaj *siostra*, *siostrze*, *brzoza*, *brzozie*, *jeziora*, *w jeziorze*, *czoło*, *w czołe*, itd. I tylko w formach izolowanych, to jest takich, które wskutek jakichś czynników wyszły ze związku grupowego, np. w wyrażeniu (*stać*) na *czele*, które znaczeniowo się wyodrębniło od *czoła* i jego odmiany, utrzymała się dawna postać fonetyczna; albo *brzezina* itp. Wiadomo dalej, że odmiana *biorę*, *bierzemy*..., *niosę*, *niesiesz*... itd. znajduje się już na drodze do tego samego wyrównania; tu jesteśmy niejako świadkami całego przebiegu, bo istnieje jeszcze szereg odziedziczony z poprzednich epok z takim wyglądem, jaki powstał wskutek panującej niegdyś dążeń fonetycznej i odmiana *biorę*, *bierzesz*... itd. jest jeszcze postacią języka piśmiennego i starannego, zaś obok niej w życiu codziennym *biere*, (wzgl. *bierę*), *bierzesz*..., *biera* itd. i oczywiście ta postać odmiany wcześniej czy później zwycięży, stanie się jedyną i poprawną.

To samo widzimy w niezliczonych innych wypadkach we wszystkich językach i epokach; jest to zjawisko wcale nie wyjątkowe tylko normalne i stałe. To jest zatem jeden bardzo ważny czynnik rozwojowy, krzyżujący względnie usuwający działanie zmian fonetycznych, wywołujący t. z. wyjątki.

§ 14. Drugi czynnik polega na równie powszechnym fakcie, że każdy język w mniejszym lub większym stopniu przejmuje wyrazy, formy i zwroty z innych, począwszy od języków zupełnie mu pochodzeniem obcych, a skończywszy na narzeczach oraz na dawniejszych fazach tego samego języka, wskutek czego często występuje jakieś odstępstwo od własnego rozwoju fonetycznego tego języka w danej epoce. Zasilanie się języka kulturalnego narzeczeniami ludowymi zwykle, w normalnych warunkach, ogranicza się do pewnego zasobu wyrazów, przede wszystkim technicznych i na fonetykę nie ma wpływu, bo często świadomie się unika wszystkiego, co by mogło na »chłopski język« i »chłopską wymowę« wyglądać. Ale po pierwsze żywy związek między miastem i wsią, inteligencją i ludem, zawsze przecież istnieje i jest niemożliwą rzeczą, aby to i owo, nawet co do wyglądu fonetycznego, nie wsiąkało w ciągu wieków z narzeczy do języka powszechnego; a powtóre są epoki, gdzie ten wpływ języka ludowego i jego dialektów jest znaczniejszy i obfitszy, tak np. często w epoce tworzenia się języka kulturalnego i konsolidacji narodu, oraz w epokach świadomej reakcji przeciw zastojowi w życiu, przede wszystkim w literaturze i sztuce, kiedy czerpie się pełną ręką z życia i języka ludowego, jak np. w czasach romantyzmu, albo w ostatniej dobie. Bywają oczywiście i szczególne warunki jak

np. w starożytnym Rzymie albo w Grecji, które zlewaniu się różnorodnych, dialektycznych elementów sprzyjają.

W języku polskim mamy np. sporo wyrazów z fonetyką odmienną od polskiej, pochodzących z języków polskiemu bliskich, czeskiego i ruskiego, na co się różne przyczyny i warunki złożyły. Tak np. wyrazy *obywatel*, *Władysław*, *Wawel*, *rohatyń*, *hrabia*... zamiast polskich *obywatel*, *Włodzisław*, *Wąwel*, **rogacina*, *grabia*..., wykazują odstępstwa czyli »wyjątki« fonetyczne pozorne, bo ten wygląd fonetyczny jest czeskiego pochodzenia. Albo wyrazy *kniaź*, *rusznica*, *na pohybel*, *bezholowie* (tak dzisiaj pospolite), *prowdyr*, *portki*, *czort*, *rubacha*... zamiast polskich *ksiądz*, (*księżę*), **ręcznica*, *na pogibiel*, *bezglowie*, **przewodziérz*, **partki*, *czart*, *grubacha*... wykazują znowu fonetykę ruską.

I polskie narzecza są tu i ówdzie odpowiedzialne za »wyjątki« fonetyczne języka kulturalnego, chociaż wogóle rzadko wobec znanych naszych skłonności arystokratycznych; np. *cacko*, *cąber*, *baca* zamiast starszych, niedialektycznych *czaczko*, *cząber*, *bacza*.

Oczywiście także sięganie do dawniejszych faz własnego języka, w pewnych znowu epokach lub u pewnych pisarzy żywsze, stałe zaś utrzymujące się przez kościół i język pisma świętego, modlitw itd., albo przez język prawa itp., dostarcza nieraz pozornych »wyjątków« fonetycznych, chociaż ten wpływ przeważnie się odnosi do form, wyrazów i znaczeń. Licznych i typowych przykładów tego rodzaju dostarcza język łaciński i grecki w swym późniejszym rozwoju. Częstsze są wypadki takie jak *rajca* || *radca*, gdzie mamy dwie postaci z różnych czasów pochodzące, podobnie *mistrz* || *majster*, *alkierz* || *erkier* itp., wyrazy wzięte z niemieckiego, ale w różnych epokach.

§ 15. Trzeci czynnik, wchodzący w grę, dotyczy już warunków samych zmian fonetycznych. Otóż pod względem ich jakości i stopnia ich złożoności są możliwe najrozmaitsze wypadki i kombinacje, a co za tem idzie, częstość faktycznego występowania jakiejś zmiany fonetycznej bywa najrozmaitsza. Skrajne biegunowe wypadki są: a) przeobrażenie nastąpiło absolutnie we wszystkich wypadkach, w których dana głoska de facto się znajdowała czyli głoska (lub grupa głósowa) w swej dawniejszej postaci jako taka znikła, nie istnieje, przeobraziwszy się w inną; oraz b) zmiana nastąpiła tylko w jednym wyrazie.

Wypadek pierwszy jest zwykły, obejmuje on znaczną ilość t. z. zmian fonetycznych niezależnych, które polegają na powolnem, zwykle niedostrzegalnem w osobnych momentach czasu, przesuwaniu

artykulacji głoski, z czem łączy się bardzo często niemożność innego wymawiania w normalnych warunkach w danym czasie, i u danego społeczeństwa. Np. dawne indoeuropejskie *ū* przesuwał się zwolna w wymowie u językowych przodków Słowian przeobraziło się ostatecznie jako głoska i jako wyobrażenie fonetyczne w *y*, we wszystkich absolutnie wypadkach. Nie możemy przytoczyć wyrazu lub formy, gdzieby na miejscu dawniejszego *ū* nie było *y* i to jest zrozumiałe, bo tu mamy do czynienia z przeobrażeniem się pewnego wyobrażenia fonetycznego jako takiego. Albo indoeuropejskie aspiraty, to jest spółgłoski takie jak *th*, *dh*, itd., straciły na gruncie prasłowiańskim bezwzględnie aspirację, przeobraziły się w *t*, *d*, itd.; aspirat niema tu absolutnie; indoeurop. samogłoski, krótkie *a*, *o*, oraz długie *ā*, *ō*, na gruncie słowiańskim rozwinęły się w ten sposób, że spłynęły w jedną samogłoskę, krótkie w *o*, długie w *a*, znowu bez wyjątku; podobnie dawne dyftongi absolutnie uległy monoftonizacji, *ei* w *i*, itd. I tego rodzaju przykładów możemy przytoczyć całe szeregi. Ale nie tylko wśród zmian t. z. niezależnych spotykamy te wypadki; nie brak ich także wśród zmian t. z. zależnych, kombinatorycznych. Np. tak pospolity objaw fonetyczny jak wymawianie dźwięcznych z pochodzenia spółgłosek przed bezdźwięcznymi (głuchymi) jako bezdźwięcznych (np. *babka* jak *babka*, *wódka* jak *wółka* itd.), lub odwrotnie (*prośba* jak *proźba* itd.), jest bezwyjątkowy.

Zasadnicza powszechność, bezwyjątkowość jest bezpośrednio zrozumiała i jasna w tych zwłaszcza wypadkach, gdzie rozwój fonetyczny doprowadził do swoistej nieistniejącej przedtem (w danym języku i w danym czasie) głoski, a do zupełnego zniknięcia dawniejszej; bo wtedy jest czas jakiś, dłuższy lub krótszy, w normalnych warunkach niemożność innego wymawiania. Kto wymawia *ł* jak *g*, ten normalnie właśnie nie posiada wyobrażenia fonetycznego *ł*, tylko *g* i wskutek tego wymawia tylko *g*. Kto wymawia *ś*, *ź* tak jak je wymawiamy dajmy na to w Krakowie, ten nie wymawia ich tak jak Polacy ze wschodnich okolic, litewsko-ruskich i naodwrot. Tem się też tłumaczy trudność uczenia się obcych języków, a przede wszystkim właśnie trudność przyswojenia sobie obcej wymowy takich głosek, jakich w swoim języku nie posiadamy. Jak nam trudno porządnie wymówić angielskie lub francuskie samogłoski! Człowiek ma niejako wyżłobione koleje artykulacji pewnej ilości głosek i mimo wysiłków, aby z nich wyjechać, ciągle w nie wpada. Tak zatem nawet wtedy, gdy świadomie się wysila, aby inaczej wymawiać!

Możemy zatem stwierdzić w tych wszystkich wypadkach zasadniczą jednolitość wymawiania czyli bezwyjątkowość zmian fone-

tycznych, raczej ich rezultatów, polegającą na niemożności innego wymawiania w danym czasie i środowisku, czyli polegającą na istnieniu takiego właśnie a nie innego wymawiania.

§ 16. Bez porównania rzadsze są wypadki z drugiego bieguna, a nawet teraz, kiedy to piszę, nie przypominam sobie przykładów, gdzieby można przysiąc, że zmiana fonetyczna odbyła się w jednym tylko wypadku, to jest, gdzieby skład warunków ją wywołujących raz tylko w całym języku wystąpił. Trudno wobec bogactwa każdego języka o absolutną pewność. Ale wypadków, gdzie z tem zastrzeżeniem możemy stwierdzić jednostkową zmianę fonetyczną, a zwłaszcza takich, gdzie tylko w kilku wypadkach ją obserwujemy, jest dosyć. Na czemże polega ten drugi skrajny wypadek? Na tem, że głoski wymawiamy de facto w przygniatącej większości wypadków w kompleksach fonetycznych, to jest wyrazach i powiedzeniach. Wskutek tego mamy nieskończone bogactwo kombinacji i warunków, wśród jakich poszczególna głoska de facto się zjawia; w szczególności zaś, obok grup i warunków niezmiennie często się w języku powtarzających, mamy i drugi biegun, mianowicie bardzo rzadką, a nawet wyjątkową, jednorazową kombinację warunków. Weźmy np. wyraz *jeniec*, który pochodzi od słowa *jać*, a mianowicie utworzony jest od imiesłowu *jēt(y)* sufiksem (*i*)ec. Ten wyraz brzmiał dawniej *jēciec*, zaś w drugim i dalszych przypadkach, gdzie półsamogłoska znikła, *jēca* itd.; w takiej kombinacji w pewnej epoce *ē* przeobraziło się w *j*, albo mówiąc dokładniej grupa *ēc* przeobraziła w *jc*, tak jak np. w *ojca* $\leftarrow$ *oēca*, *winowajca* $\leftarrow$ *winowaecca* itd. W owej więc epoce ludzie używając tego wyrazu mieli zamiar, rozpęd do wymówienia mniej więcej *fejca*; jednak wskutek szczególnej kombinacji warunków, wskutek trudności takiego lub podobnego wymawiania dla owych ludzi, nie doszło do dokładnego wykonania tego zamiaru; nosowość tkwiąca w samogłosce *ē* połączyła się z następującym elementem fonetycznym *j* i zarazem usamodzielniała, rozwinęło się z tego *ñ* (tj. artykulacja elementu nosowego przedniojęzykowego + artykulacja elementu palatalno-przedniojęzykowego). Nic w tem właściwie niema dziwnego, bo przecież nasze samogłoski nosowe przedstawiają w położeniu przed zwartymi spółgłoskami właściwie grupę, złożoną z samogłoski nosowej i odpowiedniej spółgłoski nosowej, zatem w naszym wypadku możemy szematycznie i grubo rzecz przedstawić tak: zamiar fonetyczny był *jenjca*; no, a cóż to jest właściwie tak bardzo innego niż *jeñca*, jeżeli jeszcze zważymy, że *e* w *jeñca*, jak wogóle samogłoski przed nosowymi spółgłoskami, jest także trochę (pod koniec swej artykulacji) nazalizowane? Pierwszy przypadek, *jēciec*, został następnie

analogicznie, wedle przypadków zależnych, zastąpiony postacią *jeniec* podobnie jak dawne *ocieć* wedle *ojca, ojcu...* ($\leftarrow$ *oćca...*) przez *ojciec*. Widzimy zatem, rozpatrując bliżej, że w danym wyrazie nie odbyło się nawet żadne szczególne przeobrażenie, tylko konfiguracja szczególna warunków doprowadziła do rezultatu wyjątkowego, to jest takiego, którego gdzieindziej nie widać.

Weźmy wyraz *Tatry*, który niegdyś brzmiał niewątpliwie **Tartry*. Otóż *r* przed spółgłoską, a nawet przed grupą spółgłoskową normalnie się utrzymuje (*karczma, wartki*), ale tutaj po *t* następowało znowu *r* i w tej rzadkiej kombinacji fonetycznej, przez rodzaj dysymilacji pierwsze *r* znikło; drugi znany przykład staropol. *charbry* rozwinęło się tak samo z *charbry* obocznej postaci wyrazu *chrobry*. Widzimy zatem w dwu tylko wyrazach działanie t. z. prawa głosowego.

Albo *dziś* zamiast oczekiwanego **dzieńś* lub *dzieńś*, bo normalnie, w tysiącach przykładów, praszowiańskie *jer'* (*ř*) w pozycji mocnej (t. j. kiedy nie zniknęło, jak w pozycji słabej) zastępuje się czyli kontynuuje w polszczyźnie przez *e*. Ale jest parę »wyjątkowych« wypadków z *ř*, w »wyjątkowych« też warunkach.

Albo *szczutek, szczutka* kontynuuje dawniejsze *szczudlek, szczudlka*. Otóż zresztą *dl* nie przeobraża się nigdy w *t*, ale tutaj w przypadkach zależnych, gdzie ta grupa znajdowała się przed *k* i wymawiała się bezdźwięcznie: *szczutlka, ł* także bezdźwięczne, niedosłyszalne, znikło, i de facto zapanowała wymowa *szczutka* itd. A potem, jak w tylu innych wypadkach, dla przywrócenia naruszonej przez ten rozwój fonetycznej jednolitości, pierwszy wypadek *szczudlek* zastąpiono na wzór przypadków zależnych postacią *szczutek*.

Niech tych parę przykładów wystarczy. A teraz łatwo sobie wyobrazić, ile najrozmaitszych stopniowań wykazuje rzeczywistość rozwoju językowego między temi obu biegunowemi wypadkami, absolutną powszechnością jakiejś zmiany językowej i absolutną jej jednostkowością. I łatwo też zrozumieć, że w gruncie rzeczy między obu temi skrajnemi wypadkami niema żadnej zasadniczej różnicy; tylko w jednym wypadku dane warunki i przyczyna powtarzają się wiele razy, w drugim zaś raz jeden lub parę!

§ 17. Różnorodność i niewspółmierność warunków wyjaśnia też zawsze w zasadzie wszystkie t. z. wyjątki lub odstępstwa od stwierdzonego zresztą rozwoju fonetycznego. Że w bardzo wielu wypadkach nie udało się jeszcze tych warunków poznać i wydobyć, no to jest tylko naturalne, zarówno z ogólnej racji, którą jest właściwość ludzkiego stopniowego poznawania rzeczywistości, jak i z rozmaitych szczegółowych racji. Ale to nas nie dręczy ani do-

prowadza do rozpaczki wobec tego, że jesteśmy na właściwej drodze, a to grunt.

Trzeba też pamiętać, że prócz najrozmaitszych warunków fonetycznych na wygląd wyrazów oddziałują też warunki niefonetyczne, mianowicie różne objawy wpływu wywieranego przez inne wyrazy na podstawie skojarzeń, do którychto objawów należy także wspomniana poprzednio analogja. Np. nasz wyraz *dławić* wobec dawniejszego wyłącznego *dawić* nie wykazuje jakiegos wyjątkowego fonetycznego rozwinięcia się *ł* (wsuwki, jak dawniej mówiono), tylko polega na tem, że obok *dawić* istniało słowo *dłabić*, dosyć podobne i wyglądem i znaczeniem. I te dwa słowa *dawić* i *dłabić* zlały się w jedno nowe *dławić*, które ma jak widzimy wszystkie wspólne elementy tamtych dwu, a nadto po jednym szczegółowym, z jednego *ł*, z drugiego *w*.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jedną ważną okoliczność, a mianowicie na to, że działanie analogji nieraz usuwa prawie zupełnie konkretne wypadki czyli rezultaty działania jakiejś zmiany fonetycznej czyli t. z. prawa głosowego. Np. tak zwane *l* epentetyczne, pojawiające się w takich wypadkach jak w starocerk. *zemlja* itd., w polszczyźnie zostało w zgłoskach sufiksalnych prawie bez śladu wyrugowane wedle form, gdzie go nie było (bo w jednych formach, to znaczy w pewnych warunkach, to *l* się rozwinęło, w drugich nie). Pozostało zaledwie parę śladów, takich jak *grobla*, czyli stosunek się niejako odmienił: to co było niegdyś fonetycznie »normalnem«, stało się z biegiem czasu »wyjątkowem«. Weźmy jeszcze inny przykład. Grupa *zr* niegdyś przeobraziła się w *zdr* i ta właściwość fonetyczna trwała czas jakiś, a potem ustała, tak że potem grupa *zr*, pojawiająca się ciągle na nowo przez złożenia, derywację itd. pozostała niezmieniona. Otóż wyrazy *zdrada, zdradzić, zdrój* ($\leftarrow$ *wzdrój*) i parę innych pozostały w swoim odziedziczonym fonetycznym wyglądzie, natomiast dziesiątki i setki innych nie mają *-d-*: *zrab, wzrok, zraz, wzruszać, z ręki* itd., podczas gdy dawniej mówiono *zdrab, wzdrok, zdráz, wzdruszać, zdreki* itd. Wyrazy, które się z rozmaitych przyczyn odosobniły i zatraciły związek ze swoją grupą etymologiczną, jak *zdrój* ($\leftarrow$ *wzdrój* $\leftarrow$ **wz-rój*, a raczej $\leftarrow$ **vřz-roji*), albo *zdradu* ($\leftarrow$ **(i)z-rada*), utrzymały odziedziczoną postać fonetyczną, zaś inne, których związek etymologiczny z grupą pozostał żywy, lub które na nowo urabiano (jak złożenia), już tego *-d-* nie wykazują. Najpierw oczywiście przestało *d* się ukazywać w swobodnych połączeniach syntaktycznych (*z ręki, z rowu...*).

Reasumując stwierdzamy jako zasadę stałą przyczynowość rozwoju fonetycznego, która w sprzyjających, prostych

warunkach objawia się jako powszechność i bezwyjątkowość¹⁾ przeobrażeń fonetycznych. Ale, ponieważ mamy do czynienia z zakresem zjawisk psychofizycznych, wogóle bardzo złożonych i skomplikowanych, więc też jest cały szereg czynników, działających stale, normalnie i koniecznie, które sprawiają, że obraz rozwoju fonetycznego jest bardzo różnorodny i skomplikowany. Ale nie znaczy to wcale, że jakaś zmiana, jakiś objaw fonetyczny, choćby najdrobniejszy, jest bez przyczyny, bo do tego właściwie się sprowadza cała kwestja. Ludzie, którzy piorunują na lingwistykę i t. z. bezwyjątkowość praw głosowych, albo świadomie nie chcą rozumieć, co ta zasada znaczy, albo też nie są w stanie jej rozumieć. Tertium non datur. Wybór wolny!

§ 18.²⁾ Zastanówmy się teraz, jak się to dzieje, że się wymawianie zmienia; dlaczego i jakim sposobem, skoro przecież zawsze wymawiamy swój język tak, jakśmy się raz nauczyli i nigdy nie mamy zamiaru inaczej wymawiać, wyjąwszy chyba ze żartu.

A więc naprzód, dlaczego. Otóż jest jasną rzeczą, że zmiany fonetyczne są tylko jednym ze szczegółowych i nieskończenie licznych objawów ciągłego przeobrażania się życia kulturalno-psychicznego i jego wytworów wogóle. Zwolna, ale nieustannie zmienia się, przeobraża cała ludzka kultura, czyli całe kulturalne działanie człowieka, i to zarówno w dziedzinie materialnej jak moralnej i umysłowej. Zmieniają się nasze wytwory materialne jako wyniki przeobrażania się odnośnych potrzeb i odnośnej twórczości, zatem nasze domy, sprzęty, ubrania, narzędzia itd.; zmieniają się nasze zwyczaje, zapatrywania, sztuka, literatura itd.; zmienia też pismo i język, a jednym z objawów tej ogólnej ewolucji języka jest rozwój fonetyczny czyli zmiany wymawiania. Zatem najogólniejszą przyczynę zmian fonetycznych możemy tutaj zostawić na boku jako wspólną i ogólną dla całego rozwoju kulturalnego człowieka, nie wdając się przytem w to, czy ta zasadnicza przyczyna jest znana, czy nie. Tutaj nam wystarczy najzupełniej przyczyna pośrednia, mianowicie fakt współdziałania indywidualno-społecznego w związku z odwieczną prawdą: si duo faciunt idem, non est idem. Moment to, czynnik, także jeszcze bardzo ogólny i zasadniczy, bo także jeszcze dla całej kultury ważny i istotny. Mowa i język, tak samo jak wszelkie inne działanie i dzieła ludzkie, są równie dobrze wytworem jednostki jak społeczeństwa, są koniecznie wytworem i jednostki

¹⁾ Widzieliśmy zresztą, że ta t. z. bezwyjątkowość jest wogóle pojęciem zbyt wąskim i dosyć nieszczęśliwym.

²⁾ 3, 5-6 (maj-czerwiec 1916).

i ogółu. To współdziałanie jednostek i całości, wyrażające się w nieskończonych, konkretnych zahaczeniach, walkach i przystosowaniach podlega nieustannemu przeobrażeniu, nieustannej ewolucji. A teraz: każda jednostka normalna jest nieco różna, mniej lub więcej, od każdej innej, zachowuje się i działa swoiście, w sposób sobie właściwy, chociażby tylko w drobnej mierze różny od innych — i to we wszystkim, także w mowie, a także, choćby w bardzo drobnym zakresie i w drobnych rozmiarach, w wymawianiu. I z tego powstaje wypadkowa społeczna w postaci ewolucji fonetycznej, względnie w postaci poszczególnych zjawisk zmian fonetycznych. Pamiętajmy przytem, że każdy człowiek, jak wogóle każdy żywy twór, posiada pewien zasób siły życiowej czyli rozprędkowej i pewną twórczość; zastanówmy się dalej, uprzątnijmy sobie to nieskończone zderzanie się, łączenie i odsuwanie tych nieskończonych różnych jednostkowych rozprędków w obrębie nieustannie drgającej zbiorowości, te nieskończone liczne, następne kombinacje czynników w obrębie jednostki, między jednostkami i między jednostkami a całością — a uwydatni nam się jasno wobec tego stanu rzeczy konieczność ciągłej ewolucji językowej wogóle, fonetycznej w szczególności.

Wydobądźmy teraz kilka ważniejszych momentów z tego całego, mrowiącego się splotu życia językowego.

Otóż pod względem następstwa czasowego najważniejszą rolę odgrywa niewątpliwie przejmowanie wymowy przez dzieci od starszych. Każde nowe pokolenie ma z jednej strony nowy zasób siły życiowej, z drugiej bezpośrednio dziedzictwo poprzedzającego pokolenia i nie ulega wątpliwości, że w tym punkcie, to jest przy przejmowaniu wymowy przez dzieci od starszych, dokonywa się zawsze pewne przesunięcie fonetyczne, które gra ważną rolę zwłaszcza w tych właściwościach wymowy, które u starszego pokolenia zaczęły wychodzić z fazy względnego spokoju. Ale i wogóle. Użyjmy porównania: wyobraźmy sobie mianowicie kalkowanie rysunku lub pisma i to staranne. Na ogół obraz przekalkowany będzie taki sam, ale zupełnie taki sam nie będzie nigdy. Teraz zdejmijmy z przekalkowanego nowy obraz zapomocą kalki i powtarzajmy to dalej, a następnie porównajmy obraz pierwszy z dziesiątym lub dwudziestym, a zobaczymy już różnice wyraźne. Albo porównajmy doświadczenie, którego nam życie dostarcza w uczeniu się pisma przez dzieci: dziecko stara się całą siłą uwagi, oczu, ręki, języka, całego ciała nawet, pisać wedle wzoru, napisanego mu przez nauczyciela czy mamę, czy ciocię. Rezultat: każde pismo jest podobne i różne.

Pod względem współcześnie działających czynników mamy takie: jednostka, rodzina, środowisko codzienne, naród. Jednostka: weźmy tylko dwa typy, człowieka, który się zachowuje mniej więcej tak jak wszyscy, figurę nijaką i człowieka z silną indywidualnością. Jest rzeczą jasną, że stopień, w jakim obaj ulegają otoczeniu, a w jakim na nie wpływają, będzie różny, nie tylko w ogóle, ale także w mowie i wymawianiu. A jednostki takie jak wybitni mówcy, aktorzy, nauczyciele itd. oddziałują silnie także na fonetykę.

Rodzina tworzy naturalną komórkę niejako rozwoju kulturalnego, a ona składa się z kilku czynników, ojca i matki itd., dziecko zaś jest niejako dzieckiem wypadkowej z tego, także pod względem fonetycznym. Wpływ kobiet, matki, babki, piastunki jest zazwyczaj rozleglejszy, ciąglejszy, ale wpływ mężczyzny, ojca itd., bywa zazwyczaj silniejszy, bardziej pobudzający świadome naśladowanie. Kombinacji oczywiście bez końca.

Środowisko codzienne, a raczej środowiska, bo po pierwsze jedno luzuje drugie, a powtórne są współcześnie rozmaite. Następstwo można i trzeba wyróżnić otoczenie wczesnej młodości, towarzystwo dzieciinne i szkolne, następnie otoczenie dojrzałej, bujnej młodości, wreszcie środowisko pracy zawodowej: a wszędzie towarzyszy, kolegów, przyjaciół. Współdziałają tu i krzyżują się mnogie czynniki, lokalne, zawodowe itd., znajdujące swój wyraz na polu językowym w istnieniu właściwości czysto rodzinnych, miejscowych, gwarowych, zawodowych, kulturalnych. Uprzytomnijmy sobie ogromne różnice także pod względem wymawiania i płynącą stąd różność wywieranego wpływu choćby tylko u ciętego, pełnego poczucia swej siły, władzy i wartości podoficera, uroczystego organisty, podmiejskiego robotnika i spokojnego rolnika i proszę sobie samemu obraz w tym kierunku dalej wypełniać. Ogółem biorąc najważniejsze są niewątpliwie dwa środowiska: rodziny i miejscowości, w drugim rzędzie dopiero: zawodu.

Całość czyli naród: z rodzaju wewnętrznego ustroju, składu i zajęć ludności, stopnia kultury, naturalnych warunków życiowych (geograficznych i innych) itd. wynika rozmaity rodzaj i stopień zależności językowej jednostki od całości, oraz rodzaj i stopień oddziaływania w tym względzie jednostki na całość.

§ 19. Na tem, pokrótce naszkicowanem podłożu indywidualnie-społecznej twórczości językowej, czynnej między innymi także w zakresie ewolucji fonetycznej, działa następujący moment pierwszorzędного znaczenia. A mianowicie: czy my naprawdę zawsze jednako wymawiamy, to jest, ściślej mówiąc, czy zawsze jednakowo wykonywamy czynność fonetyczną? Otóż stanowczo nie, bo to bez-

pośrednio zależy od nieustannie zmieniających się i falujących nastrojów i afektów jednostek. I zależnie od tego jest cała skala stopni i sposobów wykonywania czynności wymawiania, która wskutek tego, chociaż w wyobrażeniu psychicznym w zasadzie ta sama, w rzeczywistości najrozmaiciej się realizuje. Jest wymawianie: a) normalne, zwyczajne, spokojne; b) dobitne, staranne, energiczne; c) pobieżne, niedokładne, szkicowe niejako (niedomawiające wielu rzeczy); d) afektowe (oczywiście najrozmaitsze, np. gniewne, pieszczotliwe), żeby wymienić tylko główne typy. Każdemu wiadomo, że znajdując się w takich różnych nastrojach, rozmaicie wymawia, to znaczy niejednako wykonuje artykulacje, akcentuje itd. Inaczej wymawiamy *psiakrew* obojętne, a inaczej w gniewie, *pasji*, inaczej w chłodnej zaciętości, a tak samo każdy inny wyraz i całe zwroty, nie tylko to polskie słówko. Bo zmienia się wtedy układ szczęk, warg itd., czynność mięśni, siła i objętość i szybkość prądu wydechowego. Albo w pieszczocie, skupiającej akcję wymawiania przede wszystkim w przodzie i górze jamy ustnej! I nie są to rzeczy, odbywające się nieświadomie! Te zmiany artykulacji odbywają się mimowoli, ale są świadome! Albo zestawmy swobodną gawędę, w pogodnym, trochę leniwym nastroju ducha z kimś bliskim i doskonale nam znanym, z tym sposobem mówienia, kiedy znajdując się w sytuacji dla siebie ważnej i poważnej całe swoje ja skupiamy. W pierwszym wypadku wymawiamy niedociągając niejako artykulacji do szczytu, w drugim przeciwnie starannie ją wybijamy. A teraz: co znaczy wymawiać dobitnie, starannie, z naciskiem? Znaczy to oczywiście, ustalone już i wyżłobione koleje artykulacji niejako pogłębiać, albo żeby użyć innego porównania, pogrubiać linie rysunku. I w tem leży nie tylko możliwość, ale i konieczność nieznacznego, ale nieustannego przesuwania artykulacji. Nacisk będzie przytem oczywiście obejmować przede wszystkim elementy dla artykulacji charakterystyczne, do czego jeszcze niżej wrócimy.

Prosta rzecz, że w miarę różnej jakości i częstości nastrojów i afektów u różnych ludzi ich wpływ na wymawianie będzie różny, czyli ogółem biorąc wysuwa się tu na pierwszy plan usposobienie, charakter i to naturalnie zarówno jednostek jak całych grup, szczepów i narodów. Sądę jednak, że decydujący wpływ na przeobrażanie artykulacji wywiera nie tyle charakter żywy, usposobienie pobudliwe, ile charakter energiczny i silny. Bo im więcej w objawach życiowych będzie się zaznaczać energja, tem bardziej będzie się przesuwać wymawianie; wszakże akcentuacja np., która jest tak ważnym czynnikiem fonetycznego rozwoju, zależy bezpośrednio od usposobienia. I zapewne dlatego tempo ewolucji fonetycznej jest

u Słowian powolniejsze niż u ludów germańskich itp. W każdym razie trzeba ośmielić się u poszczególnych zarówno ludzi jak grup (szczepów) dominującą rysy ich charakteru, aby móc wynaleźć czynnik najważniejszy dla fonetycznego rozwoju. Żywość usposobienia, drażliwość i łatwe panowanie uczuciowych nastrojów nie wykluczają wcale pewnej, nieraz znacznej bierności — naodwrot usposobienie spokojne, mniej wrażliwe nie wyklucza charakteru silnego itp. A jest rzeczą jasną, że w pierwszym wypadku przesuwalność wymowy będzie mniejsza niż w drugim. Chodzi zatem ostatecznie o siłę i trwałość afektów i poruszeń woli, a nie o ich częstotliwość i żywość.

§ 20. Wymawianie danego języka u danego osobnika tworzy skomplikowany, ale zwarty i jednolity system fonetyczny, w którym wszystko wzajemnie na siebie oddziaływa. Jasne np., że jeśli dany język w danym czasie posiada liczne spalatalizowane spółgłoski (takie jak nasze *ń*...), to ta właściwość musi oddziaływać na sąsiednie samogłoski inaczej niż w języku, gdzie takich spółgłosek nie ma. Dlatego w polszczyźnie nie ma bardzo niskich i bardzo tylnych samogłosek, boć np. tak częste grupy fonetyczne *ńa ńa ńa ńa*... (t. j. *nia*...) muszą naszemu *a* nadawać odpowiedni odcień artykulacyjny. Albo wiadomo, że spółgłoski takie jak *t d, k g* itd. można wymawiać rozmaicie: np. głuche *t p k* wymawiały i wymawiają różne szczepy germańskie z przydechem, mniej więcej jak *t^h p^h k^h* (przez *ch* oznaczam głoskę podobną do naszego *ch*), zaś szczepy romańskie i słowiańskie wymawiają czyste *t p k*. Dlatego też w językach germańskich te głoski łatwo ulegają dalszemu przeobrażeniu. I tak dalej bez końca. Wspomnę tylko jeszcze o różnych sposobach i typach akcentuacji: w polszczyźnie np. słaby akcent nie alteruje wymowy samogłosek, natomiast energiczny akcent rosyjski lub bułgarski ogromnie je przeobraża. Wreszcie wiadomo, że każdy język, to jest każdy naród wzgl. szczep posiadał sobie właściwą ogólną t. j. bazę artykulacyjną i ogólny charakter jakościowy wymawiania, bardzo znacznie także na poszczególne głoski wpływający. Ogólny układ i czynność dolnej szczęki, języka, warg itd. jest u różnych ludów rozmaity, a to oddziaływa na jakość i kierunek ewolucji fonetycznej.

W związku z tem wszystkim w różnych językach są różne strony, to jest różne elementy głosek przede wszystkim świadome, ważne i charakterystyczne i one to przy dobitnem wymawianiu przede wszystkim ulegają naciskowi, pogłębianiu i przesuwaniu. Np. palatalizujący wpływ samogłosek *i e* był w języku polskim silniejszy niż w wielu innych. Stąd w następstwie odcień palatalizacji spółgłosek (*t d'*...) był dla Polaków charakterystyczny i dlatego zwolna

się wzmacniał, aż wreszcie doprowadziło to do wymowy *ć dź*... To znaczy w pewnej epoce Polacy wyraźnie rozróżniali *t* od *t'* itd., natomiast w wielu innych językach afekcja głoski *t*... przed *i* lub *e* była tak słaba, że nie rozróżniano takiego *t* od *t'*, stojącego przed *a* lub *o* i dlatego też ono nie ulegało większemu przesunięciu, bo w dobitnem wymawianiu wcale nie kładziono nacisku na tę palatalizację, gdyż była ona cechą obojętną.

§ 21. Ostatnie uwagi przeprowadzają nas do odpowiedzi na drugie pytanie, mianowicie w jaki sposób się odbywają zmiany fonetyczne, skoro ich się nie zauważa. Otóż najpierw co do tego niezauważania: stoi to w bezpośrednim związku z nieznacznością przesunięć artykulacyjnych. W większości wypadków przesunięcia są minimalne i dlatego ich nie zauważamy. Ale są także wypadki, gdzie zmiany są większe i dlatego dochodzą do świadomości: a wypadki te nie są ani rzadkie, ani wyjątkowe, nadzwyczajne, tylko i owszem należą do zjawisk zwykłych. Ogółem biorąc można powiedzieć tak, że zmiany bezpośrednio płynące z momentu społecznego są wyraźne i świadome, zaś zmiany, płynące bezpośrednio z czynnika indywidualnego, nie. Jeżeli np. szkoła ruguje u nas pochylone *é*, albo jeszcze ogólniej, jeżeli szkoła ruguje dialektyczną wymowę uczniów, to to polega wprost na działaniu momentu społecznego; tak samo, jeżeli jakaś wymowa staje się modną pod wpływem stolicy lub pewnych kół towarzyskich, np. wymowa paryska spółgłoski *r*. Jeżeli natomiast prasłow. *sestra* ostatecznie w języku polskim przeobraziło się w *siostra* (siostra), to ta ewolucja fonetyczna odbywała się przez kilka wieków i mniej więcej niezależnie u poszczególnych jednostek, które nigdy nie miały świadomości, że wymowa samogłoski pierwszej zgłoski się zmienia. Ale jest oczywiście rzeczą najzupełniej jasną, że w obu razach mamy koniecznie z obu czynnikami do czynienia, tylko stosunek ich wzajemny jest różny.

Teraz przypatrzmy się dokładniej tym nieznacznym przesunięciom, nigdy nie zauważonym i warunkom, istniejącym w głoskach, które na to pozwalają. Otóż po pierwsze głoska jest wyobrażeniem wprawdzie jednolitem, ale złożonym z całego szeregu cech artykulacyjnych. Sama tylko działalność i położenie języka przy wymawianiu głosek jest ogromnie różnorodna, a są czynne prócz tego przecież także krtani, podniebienie miękkie, wargi itd. Zatem głoska wymówiona składa się z całego szeregu elementów fonetycznych czyli częściowych wymówień, a wyobrażenie głoski, które za każdym razem mówiąc urzeczywistniamy, składa się z całego szeregu elementów wyobrażeniowych czyli częściowych wyobrażeń. I otóż przesuwanie artykulacji czyli przeobrażanie wymowy a zarazem

wyobrażenia głoski normalnie odbywa się nie tylko bardzo drobnymi, minimalnymi stopniami, ale także tylko częściowo: nie całe wymówienie głoski trochę się przesuwa tylko jego część lub części. Jeżeli np. *t* w położeniu przed *i* zaczyna się wyraźnie palatalizować (czyli zmiękczać), to zmienia się tylko zwolna akcja przedniej części grzbietu języka przez silniejsze przyciskanie do twardego podniebienia, inne zaś składowe pozostają bez zmiany.

Drugi zasadniczy fakt, stojący zresztą w ścisłym związku z właśnie omówionym, to fakt, że głoska, jej wyobrażenie, nie jest tworem nieruchomym, to jest o granicach nieruchomych, ściśle oznaczonych i niewzruszonych, innymi słowy ściśle jednostkowym, tylko ma granice płynne, ma pewną swobodę w swym składzie i obwodzie, czyli pewną swobodę, pewien zakres swobodnego, wahanja zarówno w wykonaniu jak słuchaniu. Głoski mowy są wyobrażeniami gatunkowymi, a nie jednostkowymi. Jak wyobrażenie *konja* jest tworem psychicznym, wytworzonym z całego szeregu jednostkowych wyobrażeń widzianych przez nas koni, tak i wyobrażenie np. naszego *a* jest tworem psychicznym, wytworzonym z nieskończonego mnóstwa jednostkowych, w najrozmaitszych wyrazach i położeniach wymawianych i słyszanych *a*. Niewątpliwie inne jest wykonanie i wyobrażenie głoski *a* w *niania*, a w *tata*, w *rak a* w *raj* itd. itd. Ale obok tego istnieje niewątpliwie ogólne wyobrażenie głoski *a*, które jest wypadkową tych wszystkich poszczególnych wyobrażeń.

I dlatego to drobne zmiany, zachodzące w obrębie naszego wyobrażenia głosek, uchodzą naszej uwagi.

Oczywiście są najrozmaitsze stopnie złożoności i płynności głosek, zależnie od różnicy a) głosek, b) epoki, c) języka. Stopień złożoności i płynności głoski jest odwrotnie proporcjonalny do stopnia jej wyrazistości i stałości: im uboższe jest wyobrażenie głoski w składniki i im mniejszy zakres wahań jej granic, tem jest stalsze i wyrazistsze (co jednak nie jest równoznaczne z wartościowością, ważnością); i tak są spółgłoski zwarte, ogółem biorąc, wyrazistsze od spirantów itp. Są języki, w których niema wyraźnej różnicy między *t* a *d*, *k* a *g* itd., u nas natomiast jest ta różnica ustalona: nie możemy dowolnie wymawiać *t* lub *d* lub coś między nimi pośredniego. Albo my rozróżniamy stale *s* i *sz*, a nadto z łatwością jeszcze *ś* (to jest zmiękczone *sz*) oraz *s'* (to jest *s* mniej zmiękczone niż nasze *ś*; tak jak wymawiają np. Polacy litewscy: *siła* itd.); zaś Niemiec niebardzo rozróżnia nawet *s* i *sz*. Zato my nie rozróżniamy wielu odcieni samogłosek; nasze samogłoski są mało zróżnicowane:

nasze *a* obejmuje zarówno szerokie *ā*, a przynajmniej palatalne, wysokie *a* (np. w wyrazach *niania*, *maj*...) jak zwykłe, obojętne *a*.

Widzimy zatem, jak się to znowu łączy najściślej z ogólną jakością systemu fonetycznego danego społeczeństwa w danym czasie.

§ 22. Już z tego, co się dotychczas powiedziało, wynika właściwe pojmowanie rozpowszechnionego w nowoczesnej nauce rozróżniania a) niezależnego czyli spontanicznego, b) zależnego czyli kombinatorycznego rozwoju fonetycznego. Przez pierwszy rozumie językoznawstwo takie zmiany fonetyczne, które nie mają osobnej przyczyny językowej, np. przejście praindoeur. *ū* w prasłow. *y* (np. sanskr. *dhūmā-s*, łac. *fūmus*, lit. *dūmai*: słow. *dymā* 'dym' itd. bez wyjątku); przez drugi takie, które ją mają, np. rozszczepienie prasłow. *e* w pol. *e* || *o* zależnie od jakości następującej zgłoski (np. prasłow. *bera* *berete*: pol. *biorę bierzecie*). Brugmann Kurze vergleichende Grammatik der indogermanischen Sprachen (Strassburg 1904) tak określa te pojęcia: »Unbedingten Lautwandel nennt man den Wandel, den eine Einzelartikulation erfährt, ohne dass dabei die besondere Art der begleitenden Artikulationen oder die Betonung oder das Sprechtempo einen bestimmenden Einfluss üben, z. B. Wandel von *ē* und *ō* in *ā* im Urarischen [każde praindoeur. *e* o występuje w aryjskiem jako *a*, np. **bherō* (gr. *φῆρ* itd.), ale ar. **bharā* itd. bez wyjątku]. Dagegen heisst bedingter Wandel der, bei dem solche Einflüsse stattfinden, z. B. Übergang von *a* in *e* in ahd. *gesti* [ahd. = althochdeutsch; nowoniem. *Gäste*] aus *gasti* durch assimilierende Einwirkung des folgenden *i*, von *i* in *e* in mhd. *geste* aus *gesti* infolge der Schwachtonigkeit der Schlussilbe«. (str. 38, 2).

Jest jasną rzeczą, że zarówno pierwszy jak drugi rodzaj zmian czyli rozwoju fonetycznego jest zależny, tylko pierwszy zależy od całości systemu fonetycznego danego języka w danym czasie, drugi ma prócz tego szczegółowe przyczyny. Zatem najlepiej oba rodzaje nazywać, z odpowiednim zastrzeżeniem, ogólnie i szczegółowo-zależnym. Ogólnie zależne zmiany fonetyczne są, o ile widzę, dwójakie: a) wyobrażenie głoski powoli się zmienia wskutek nieustannego procesu kojarzenia z innymi głoskami języka, o czym już mówiłem¹⁾; b) różnicowanie się głosek szczegółowo-zależne spotyka na swej drodze zaporę w postaci głosek w danym czasie (i oczywiście w danym języku) wyobrazeniowo samodzielnych, które na ostateczny wynik mają przeważnie wpływ decydujący. Przykład to wyjaśni: polskie *o*, które się rozwinęło z *e*, np. w *siostra*, *biorę*, *je-*

¹⁾ Por. uwagi w §§ 20, 21.

zioro itd., albo schematycznie przedstawiając, polskie $\dot{S}o \Leftarrow \dot{S}e$ ¹⁾ (w odpowiednich warunkach) musiało kiedyś przebywać stadja pośrednie i brzmieć $\dot{S}\ddot{o}$, ale ta wymowa się nie utrzymała, $\ddot{o}$ uległo wpływowi jedynie samodzielnej wówczas, a najpodobniejszej samogłoski *o* i przesunięte zostało aż do zupełnego *o*. Dlaczego? Niewątpliwie dlatego, że system wokaliczny polski t. j. ilość samodzielnych samogłosek w polszczyźnie była (i jest) niewielka, zatem i zdolność różnicowania niewielka, a co zatem idzie, takie tworzące się wskutek szczegółowo zależnego rozwoju *no* w *e* samogłoski, niełatwo się mogą utrzymać i ulegają wpływowi asocjacyjnemu istniejących typów. Natomiast przy spółgłoskach jest w polszczyźnie inaczej. Widzimy zatem i tutaj ten ogólny wpływ całego systemu fonetycznego. Powtóre zaś jest jasną rzeczą, że w mniejszym czy większym stopniu ten hamujący wpływ ma dla każdego języka ogromne znaczenie: inaczej różniczkowanie się głosek poszłoby w nieskończoność i rozsadziło fonetyczną stronę języka w okruszyny.

W końcu podkreślam wyraźnie, że granica między rozwojem ogólnie- i szczegółowo zależnym jest z natury rzeczy płynna i że skrajnym wypadkiem zmian szczegółowo-zależnych będzie rozwój głoski czy grupy głoskowej w jednostkowych warunkach t. j. w jednym jakimś wyrazie, jak o tem mówiłem w § 16. Jest to zarazem wypadek z bieguną przeciwną do rozwoju ogólnie-zależnego i dlatego przedstawia się na pozór jako wyjątek. Trzeba jednak zaznaczyć, że do pewnego stopnia każdy wyraz wzgl. stały zwrot ma swoją odrębną historję fonetyczną. Bo wymawiamy *de facto* całe wyrazy, zwroty, powiedzenia, które wyjątkowo tylko z oddzielnych głosek się składają, normalnie zaś są kompleksami głosek. Ale mimo to głoska ma swoją samodzielność, oczywiście wyobrażeniową czyli psychiczną przede wszystkim i oczywiście względną. Ale nic w tem niema szczególnego, bo bezwzględnej samodzielności wogóle niema w zakresie tworów kulturalnych.

§ 23. Na zakończenie uwaga i przestroga, aby ściśle odróżniać głoskę od litery, bo litera to znak tylko. Ta przestroga wydaje się może zbyteczną, ale historia językoznawstwa uczy, że niestety tak nie jest i do dziś dnia to mieszanie pojęć jest zjawiskiem bardzo pospolitem. Reguły i ujęcia zjawisk w praktycznych gramatykach polegają przeważnie na tem, że ludzie się patrzą na wyrazy i głoski napisane i operują temi napisanymi postaciami jak kawałkami materiału.

¹⁾ Przeczem $\dot{S}$ = spółgłoska; zamiast $\dot{S}o \dot{S}e$ wedle zwykłego sposobu pisanja byłoby $\dot{S}io \dot{S}ie$.

Dla wszystkich, których interesują zjawiska językowe, jest także rzeczą konieczną zaznajomić się z zasadami fonetyki a) opisowej, b) historycznej. Co się tyczy pierwszej, to odnośne wiadomości powinna dawać szkoła, przede wszystkim oczywiście na podstawie języka ojczystego i przy uczeniu języków nowożytnych, żywych. Na zachodzie w tym względzie dużo się zmieniło na lepsze, ale brak jeszcze konsekwencji w wymaganiach. Co się tyczy drugiej, to i tutaj najlepszą, naturalną podstawą jest język ojczysty; szkoła niestety jest jednak jeszcze bardzo daleka od należytego zużytkowania tego cennego materiału.

Narazie bardzo polecam wszystkim ciekawym czytelnikom naszą Encyklopedję polską, wydawaną przez Akademię Umiejętności, to jest jej drugi i trzeci tom, poświęcone językowi. No, i oczywiście także zastanowienie się — w braku czegoś lepszego — nad tą moją rozprawką o rozwoju fonetycznym.

O zagadnieniu znaczenia głosek pomówię osobno.

7. Mowa a myśl.¹⁾

»Zdanie jest to myśl wyrażona słowami«; »mowa służy do wyrażania myśli« — oto zwykłe szkolne określenia, do których życie dodaje co najwyżej jeszcze to, że mowa służy nieraz także do »ukrywania myśli«; ale to nie zmienia nic zasadniczo. Otóż nie myślę napadać na te określenia, chciałbym je tylko niejako lepiej przykręcić i dopomóc czytelnikom do łączenia z niemi właściwej treści, bo na tem wszystko zależy. Żadne określenie nie zastąpi zrozumienia.

Zauważmy przede wszystkim, że mowa wyraża nietylko myśli, ale także uczucia, nastroje, postanowienia i zamiary. Jest to bezpośrednio jasne, a z tego wynika, że w tych szkolnych określeniach trzeba »myśl« brać w obszerniejszem znaczeniu każdej treści psychicznej i tych treści zespołu, albo też wyraźnie »uczucia i wolę« dodawać. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że ogromna większość wyrazów oznacza pojęcia, ale równie pewnem jest, że mimo tego conajmniej połowa, jeżeli nie więcej, wszystkiego tego, co ludzie mówią, wyraża nastroje, uczucia i różne akty woli. I niema w tem sprzeczności, jak to zaraz zobaczymy.

Przypomnijmy sobie najpierw, że wyobrażenia i pojęcia zawierają zawsze i koniecznie jakiś żywioł uczuciowy, taki czy inny, przelotny lub stały, słaby albo silny. Naprzykład nazwy różnych chorób i kalectw, wogóle różnych fizycznych właściwości, przyjemnych

¹⁾ 4, 1 (styczeń-luty 1919).

lub wstrętnych, nazwy różnych zwierząt i gadów, potraw i przy-smaków, zabaw i wielu innych rzeczy mają stały i silny składnik uczuciowy, skutkiem czego np. nazwy rozmaitych zwierząt i chorób stają się przezwiskami i przekleństwami. A cóż dopiero mówić o chwilowych nastrojach, nieustannie napływających, w których naj-pospolitsze wyrazy, same przez się całkiem obojętne, nabierają oko-licznościowo uczuciowego zabarwienia! »C'est le ton qui fait la chan-son«, mówią trafnie Francuzi; oczywiście! Wszakże ten sam wyraz może być obelgą i pieszczotą — zależnie od okoliczności i tonu, czyli nastroju.

Pamiętajmy tedy po wtóre, że bardzo wiele elementu nastrojo-wego, wzruszeniowego nie wypowiada się wogóle osobnemi wy-razami, tylko intonacją, która nadaje właściwy smak temu, co się mówi. Wyraża się to niezmiernie bogatą modulacją głosu i gra pierwszorzędą rolę, ale na piśmie tego nie widać i dlatego ludzie są skłonni element wyrazowy uważać za ważniejszy.

Po trzecie: nawet tam, gdzie są osobne wyrazy dla oznaczania uczuć i woli, pochodzą one prawie zawsze z wyrazów pojęciowych, polegających ostatecznie na wrażeniach zmysłowych; np. tak zwane przenośnie *gryść się, zgryzota, pogodne* usposobienie, *pragnąć* (*pra-żyć*); *postanowić, rozstrzygnąć* i t. d.; i wogóle mnóstwo wyrazów i wy-rażeń, używanych od rana do nocy i niby pojęciowych, ma napraw-ę znaczenie tylko nastrojowe, jak np. *padam do nóg, czołem, ca-łuję rączki, dzień dobry*, żeby tylko jeden moment i jeden rodzaj przykładów przytoczyć.

Wyrazy, brane z osobna, niewątpliwie wyrażają przeważnie pojęcia, ale nie zapominajmy po czwarte o tem, że jednak nie setek, ale tysięcy takich wyrazów wogóle rzadko, wyjątkowo używamy, i jeżelibyśmy porównywali z sobą tylko wyrazy i zwroty często, codziennie używane, to z pewnością wtedy jużby takiej przewagi po stronie pojęć nie było.

Bo uprzytomnijmy sobie wreszcie, że człowiek znajduje się w nieustannym prądzie uczuciowym; jego życie to, obok wrażeń, ciągle falowanie nastrojów. Ileż czasu i energii zabierają choćby tylko same prośby, modlitwy, miłosne zwierzenia i namowy. liryki, żarty i złości! Jakże wiele z tego, co się mówi lub pisze, zawiera treść czysto lub przeważnie uczuciowo-nastrojową!

Ale, rozpatrując kategorie wyrazowe, czyli części mowy, znaj-diemy tylko jedną wyłącznie uczuciową, a mianowicie klasę wy-krzykników, i jak wiemy, jest to właśnie klasa odrębna, swoista pod każdym względem, raczej zdaniom niż wyrazom co do funkcji od-powiadająca, właśnie dlatego, że to są twory językowe, mające treść

wyłącznie uczuciową. Spójniki i partykuły zawierają często także treść prawie wyłącznie subiektywną, ale są to fakty przeważnie drugorzędne.

Toby było zatem jedno: język chociaż jako system tworów wyrazowych oznacza przedewszystkiem pojęcia, to jednak mimo tego wyraża niemniej uczucia i wolę jak myśli, a nawet ta strona ma ogromnie doniosłe znaczenie dla całego rozwoju.

Poza tem zwykła definicja języka nastręcza jeszcze dwie uwagi. Jedna dotyczy potrzeby unikania fałszywego, a tak pospolitego i szko-dliwego teleologicznego pojmowania zjawisk życiowych z człowiekiem jako ośrodkiem, dla którego zgóry wszystko jest przeznaczone i który niejako swój rozwój celowo sobie urządza. To pojmowanie przebiega we zwrocie, że język służy »do wyrażania« myśli, jak gdyby język był czemś poza człowiekiem, zupełnie odrębnym od jego myślenia i wogóle życia psychicznego. Mowa nie »służy do wyrażania«, tylko poprostu i przedmiotowo wyraża jako strona fizyczna stronę psychiczną przebiegów, tworzących jedność, a pojęcie celu i środka powstaje dopiero drugorzędnie. Wystarczy zastanowić się nieco nad najpierwotniejszymi tworam językowymi, jakimi są prymarne wy-krzykniki, zwykle *a!* naprzykład, wyrzucone jako czysty odruch, z odpowiednią siłą, trwaniem i tonem czy raczej wrzaskiem, w któ-rym się bezpośrednio wyładowuje pewne doznanie: tu niema mowy o żadnym celu ani środku; to tylko z bólu albo strachu albo zadzi-wienia człowiek mimowoli »się udarł«! Na ten punkt kładę oso-bno nacisk i to w sposób dosyć jaskrawy, żeby przestrzec przed logiczno celowym rozpatrywaniem zjawisk językowych.

Wreszcie ostatni dodatek do szkolnego określenia: język nie-tylko wyraża czyli oznacza myśli i nastroje człowieka dla drugich, ale także dla człowieka samego, albo innemi słowy nietylko się ludzie zapomocą języka porozumiewają, ale człowiek sam dla siebie utrwała nim i notuje swoje wewnętrzne przebiegi i treści i przez to walcą pomoc zyskuje w swoim intelektualnym rozwoju. Mowa wogóle nie jest wprawdzie tem samem, co myślenie i tylko myślenie, a wyrazy nie są jedynie pojęciami, choćby tylko dlatego, że wzglę-dnym, ale dziś jeszcze widocznym początkiem i rdzeniem języka jest życie emocjonalne, ale bądź co bądź wyraz jest dla myśli tem, czem kośćceć dla ciała, a język jako całość jest dla myśli ludzkiej rodzajem wielkiego, porządnie ułożonego, zawsze dostępnego reper-torium czy słownika.

Skoro stosunek wyrazu lub powiedzenia do odnośnej treści psychicznej jest stosunkiem znaku, to musi polegać na stałym sko-jarzeniu obu tych czynników, ale podstawa tego skojarzenia może

być mniej lub więcej istotna i ścisła, i staje przed nami stare bardzo zagadnienie, czy stosunek między wyrazem czyli nazwą, to jest tem określonym brzmieniem, tym danym tworem językowym artykułacyjno-akustycznym, a odnośnym pojęciem czyli znaczeniem jest istotnie przyczynowy, czy też polega tylko na zewnętrznym, nieistotnym skojarzeniu; czy może ten stosunek jest pośredni między temi biegunami. Pomijam historyczną stronę całego tego zagadnienia, jak ono się w różnych czasach przedstawiało i jak na nie odpowiadano; a spójrzmy odrazu na rzeczy własnymi oczyma i w sposób nieuprzedzony. Otóż jest cały szereg faktów, dowodzących, przynajmniej na pozór, nieistotności związku, a mianowicie po pierwsze istnienie tylu najrozmaitszych języków i narzeczy, a szczególnie biorąc fakt, że niezupełnie te same pojęcia są na świecie oznaczone tysiącami najróżnorodniejszych tworów fonetycznych, dajmy na to *koń łosad' at arklj's Pferd cheval horse...*; po wtóre fakt, że ten sam mniej więcej kompleks fonetyczny w jednym języku znaczy to a w drugim całkiem co innego, np. niem. *ja* »tak jest«; pol. *ja* franc. *pan* (pisane *panne*) »sądło«; pol. *pan*, franc. *ilemalad (il est malade)* »jest chory«; pol. *ile ma lat (ona)* itd.; po trzecie fakt, że ten sam kompleks fonetyczny może w tym samym języku oznaczać całkiem różne pojęcia, np. franc. *sâ* (z nosowem *a*) »bez (przimek); krew; sto; czuje (-e, -sz); zmysł« (pisane *sans; sang; cent; sens* i *sent*) i setki homonimów i t. z. dwuznacznych słów; wreszcie po czwarte fakt, że ten sam wyraz może z biegiem czasu nabrać nie tylko całkiem innego znaczenia, ale nawet wprost przeciwnego, np. *łączyć*, które dawniej, jak i dziś jeszcze miejscami, znaczyło właśnie »rozłączając«, żeby choć jeden przykład przytoczyć. Z tego wszystkiego wynika tedy jasno, że zewnętrzny wygląd wyrazów, ich rzeczywiste, obiektywne brzmienie jest jako takie dla ich znaczenia czyli w stosunku do odnośnych pojęć czemś nieistotnem, czemś, jak się to mówi, przypadkowem, chociaż tak się mówić nie powinno. Bo rzeczywiście trudno się z drugiej strony człowiekowi z tem pogodzić. Z uporem powracano po wiele razy do teorii, że głoski czyli brzmienia muszą coś znaczyć, a robili to nie tylko dyletanci, ale także zawodowi językoznawcy; ot żeby przytoczyć najbliższy mi przykład, w pracy »Wortbildung und Wortbedeutung« wyraziłem się na str. 101: Dass der Laut oder das sprachliche Element (Phonem) eine Bedeutung haben muss, d. h. dass derselbe der physische Exponent einer psychischen Tatsache sein muss, das ist wohl ganz klar. Sprawa jest nieco trudna, ale przy dobrej woli i skupieniu uwagi można jej dać radę. Z jednej strony jest mianowicie rzeczą jasną, że to »znaczenie« głosek musi, względnie musiało być innego rodzaju niż zna-

czenie całych skupień głoskowych, czyli wyrazów i powiedzeń, a po wtóre, że mówiąc o »znaczeniu głosek«, chcemy wydobyć bardzo odległe podstawy całego rozwoju językowego; że się cofamy w badaniu w gruncie rzeczy do stanu przedjęzykowego, o ile, mówiąc o języku, mamy na myśli zawsze coś choćby tylko w przybliżeniu podobnego do historycznie znanych języków. Te podstawy oczywiście leżą na dnie języków, ale można je porównać do fundamentów wspaniałej budowy, koniecznych i istniejących, ale niewidzialnych, bo dalszym rozwojem zupełnie nakrytych. Ale, chociaż niełatwo, te podstawy dadzą się wykazać.

Po pierwsze, wbrew zaznaczonej różnorodności fonetycznej języków, to jest ich tworów wyrazowych, spotykamy w zakresie pierwotnych czyli prymarnych wykrzykników wszędzie, w najrozmaitszych językach, te same albo podobne głoski i proste twory fonetyczne, a mianowicie głoski z gatunku *a e o i u...*, twory ze wstępnem zwarcie krtani *a' e' o'...*, ewentualnie z następowem zwarcie *a' e' o'...*, albo obustronnem *a'...*, twory z rodzaju *ha he...* lub *xa xe...*, *ah oh...*, lub *ax ox...*, wyrażające silne afekty zdziwienia, gniewu, strachu, bólu, szyderstwa itd. Już tu mamy prototypy, niby pierwotniaki samogłoskowe i spółgłoskowe; spółgłoskowe twory pierwotne występują przede wszystkim w postaci różnych syków, mlaskań, cmoknięć, świstów itd. I jużci jasną jest rzeczą, że jak dzisiaj tak i przed stu tysiącami lat, jeżeli ktoś chciał np. kogoś przestrzec przed obecnością bliskiego wroga, który mu bezpośrednio zagrażał, to nie huknął pełną gębą i głośno szerokiego *a*, tylko syknął cicho. I tak samo jasną jest rzeczą, że węższe głoski wokaliczne wyrażały mocniejsze uczucia niż szerokie, bo stoi to w bezpośrednim związku z ilością drgań itp. itp. I otóż, po wtóre, głoski różnią się bardzo między sobą wysokością tonu, czystością rezonansu ustnego czyli jasnością, pełnią głosu, nosowością itd., a wszystko to są bez najmniejszej wątpliwości zasadnicze elementy »różnego znaczenia!« Potwierdza się to też np. faktem, że w zakresie wskazujących zaimków i partykuł zaimkowych w wielu językach postaci z jasną samogłoską (typ *si*) wskazują bezpośrednią bliskość, a postaci z niską samogłoską (typ *sa*) oddalenie. Albo np. w najrozmaitszych językach wszystkich części świata spotykamy kompleksy fonetyczne w rodzaju *tam tam, dam dam, dyn dyn, dzyn dzyn* itd. itd., składające się zatem zgodnie z trzech elementów: zwarcia, głosu wokalicznego i nosowości, i wyrażające różnego rodzaju przyrzędy »muzyczne« i ich głosy. A więc należą tu także elementy pierwotnej onomatopei.

We wszystkich tych wypadkach należy tylko usilnie przestrzec przed niekrytycznym i naiwnym dopatrywaniem w głoskach jednego, własnego dajmy na to, języka różnorodnych pierwotnych znaczeń; rzecz to, jak niegdyś, za czasów Platona i Kratyła, tak po dziś dzień bardzo pospolita wśród ludzi, nie mających wyobrażenia o lingwistyce, a polega na niekrytycznym myśleniu i dziecinnej samozłudzie. Poprostu znaczenie wyrazu, to jest odnośne pojęcie kojarzymy tak ściśle z jego brzmieniem, że wydaje nam się, jak gdyby między tem brzmieniem a tem znaczeniem był bezpośredni, aktualny związek przyczynowo istotny, a tymczasem związek istotny wprawdzie jest, ale tylko genetyczny, rozwojowy i bardzo odległy!

8. Dźwięk a znaczenie. — Początki mowy.

I.¹⁾

Pragnę tu podjąć na nowo i nieco szerzej rozwinąć treść drugiej połowy swego poprzedniego artykułu p. t. »Mowa a myśl«. Zakończyłem go ogólnym wywodem, że pomiędzy znaczeniem wyrazów a ich brzmieniem niema — poza pewnemi, szczupłemi zresztą, kategorjami — aktualnego, bezpośredniego związku przyczynowego, a dosyć pospolite złudzenie, że taki związek jest, polega tylko na stałym i bardzo silnym skojarzeniu znaczenia z brzmieniem wyrazów języka ojczystego. Związek istotny ostatecznie jest, ale bardzo niewyraźny, ogromnie odległy i właściwie tylko pośredni — choćby tylko z powodu ogromnego oddalenia historycznej doby wszelkich języków od epoki ich, względnego oczywiście, powstawania.

Owo pospolite u ludzi złudzenie wyraża się w sposób jaskrawy i naiwny w mimowolnym zrównywaniu wyrazów z rzeczami: oczywiście wyrazów języka ojczystego i przez ludzi stojących na niezbyt wysokim stopniu rozwoju kulturalnego. Ten sposób patrzenia na to co się mówi oświeca nam doskonale znana anegdota o tem, jak się spierali o wyższość swoich języków Niemiec, Włoch i Węgier. No, powiada Niemiec, chcąc spór rozstrzygnąć, jakże wy nazywacie na przykład 'wodę' (*Wasser*)? Włoch odpowiada: *acqua*, a Węgier: *víz*. Na to Niemiec z triumfem: a my mówimy 'woda' (*Wasser*) i to jest naprawdę woda (*wir aber nennen es Wasser und es ist auch Wasser*). Może się komu wyda, że ta anegdota jest zbyt naiwna, żeby była prawdziwa? Nie, o niej można naprawdę powiedzieć: *se non è vero, è ben trovato*. Bo oto dwa takie same odezwania się, za których

¹⁾ 5, 3 (maj-czerwiec 1920). Por. do całego tego artykułu nr. 8 jego ustęp ostatni, V, streszczający całość.

prawdę można ręczyć. Znakomity lingwista Schuchardt zapytał raz jednego chłopca włoskiego trzymając szklankę w ręku, czy wie jak się to nazywa. Na to Włoch mu odpowiedział: To się nazywa w jednym języku tak, a w drugim inaczej, ale to jest 'szklanka' (*un bicchiere*) i tylko po włosku tak się nazywa (*questo si chiamerà così in una lingua e così nell'altra; ma è un bicchiere e soltanto in italiano si chiama così*)¹⁾. Nyrop opowiada znowu taką historyjkę. Pewna młoda Niemka zaczęła się uczyć francuskiego modną »bepośrednią« metodą i właśnie odbywała się pierwsza lekcja przy śniadaniu, jako *leçon de choses*. Nauczyciel rozpoczął lekcję od sera i nazwał go pokazując Niemce 'serem' (*frommage*). Ale młoda osoba nie mogła się z tem odrazu pogodzić i zawołała naiwnie: *Frommage?* dlaczego *frommage*? 'Ser' jest przecież daleko naturalniej (*Käse ist doch viel natürlicher*)²⁾.

Nic tedy dziwnego, że tylko własny język uważa się naiwnie za naturalny, prawdziwy, naprawdę jasny, a obce języki za niepojęty bełkot. Przejawia się to w bardzo pospolitych przejściach znaczeniowych i zwrotach takich jak *parler français, auf gut deutsch, już ja mu to powiem po polsku*, gdzie nazwy własnego języka używa się w znaczeniu jasnego, dobitnego wyrażenia. Przeciwnie człowieka, mówiącego obcym językiem, nazywa się momotem, to jest bełkocącym niezrozumiałe, bo nic innego nie znaczy greckie *bárbaros*, podobnie jak Słowianie swych zachodnich sąsiadów *Niemcami* nazywają, to znaczy ludźmi, nie umiejacemi porządnie mówić. To z pewnością bywa też głównym powodem, że rodzime nazwy bardzo wielu szczepów i ludów znaczą poprostu tyle co 'człowiek'.

Na tem samem podłożu psychicznem i kulturalnem rozwijały się, a poczęści do dziś dnia się powtarzają lub trwają zjawiska tak zwanego tabu, eufemizmów i omówień, rzucanie uroczystej klątwy i czary, to jest sprowadzanie czarów na drugich, a uchylanie się od nich samemu, co wszystko polega na naiwnem zrównaniu wyrazu z przedmiotem, nazwy z rzeczą, imienia z osobą. To zasadnicze zjawisko wyraża się od niepamiętnych czasów w utartych zwrotach, że *nie należy wywoływać licha*, albo *wilka z lasu*, bo *o wilku mowa, a wilk tuż*. W czasie polowania, a zwłaszcza podczas wielkich wypraw myśliwskich i rybackich, mających dla wielu szczepów ogromne znaczenie, zachowuje się ściśle różne zabobonne praktyki, a do najważniejszych należy wystrzeganie się nazywania zwierzyny, na jaką się poluje, jej zwykłemi nazwami, ażeby nie zwracać jej uwagi,

¹⁾ Zeitschrift für roman. Philologie 21, 199.

²⁾ Grammaire historique de la langue française 4 § 544.

zmylić jej czujność i móc ją podejść; tak jak znowu w zwykłych warunkach unika się nazywania niebezpiecznych zwierząt dlatego, aby ich sobie nie sprowadzić niepotrzebnie na kark. Nazywa się tedy takie zwierzęta na które się poluje lub których się boi, nie ich zwykłymi nazwami, tylko opisowymi np. niedźwiedzia 'starym, kudłaczem, burym' itp., bo właściwa nazwa to tyle co zwierz sam, nazwać go to prawie tyle co go zgnać. Podobnie unika się, i to nie tylko u szczepów na niskim stopniu cywilizacji, nazywania śmierci, choroby, zwłaszcza różnych zaraz, djabła i wielu innych rzeczy, budzących obawę, wstręt, pogardę itd., albo przeciwnie budzących w nas uczucia czci, uszanowania, religijnego poddania. Nieskończone są przenośnie i omówienia w guście: skonać lub skończyć (życie), przenieść się do wieczności, zamknąć oczy, zasnąć w Panu, zgasnąć, gdy mnie kiedyś zabraknie itd., bo zawsze lepiej nie mówić o «samej śmierci». Lepiej djabła nazwać 'złym' czy 'kusym', bo my wiemy o kim mowa, a jego się zmyli — tylu wszakże jest na świecie 'złych' lub 'kusių'! a jeszcze lepiej poprostu, jak w wielu stronach, 'tym' i przeżegnać się na wszelki wypadek. Chcąc rzucić na kogoś czary lub wezwać na niego kary i pomsty bogów trzeba koniecznie albo mieć jego podobiznę albo znać imię i nazwisko — wtedy przeklina się starannie jego, wymieniając dokładnie, kilka razy, imię, i jego ciało, znowu dokładnie wymieniając wszystkie członki i jeżeli można, wypisuje to wszystko i wtedy skutek pewny! To znowu nie nazywamy wielu rzeczy po imieniu, bo 'nie wypada', a nie wypada dlatego, że nazwa a rzecz to niby to samo. Oczywiście działają tu także różne inne uczucia i zjawiska te pojawiają się w najrozmaitszych postaciach i odmianach, ale wszędzie leży lub leżał na dnie, czy wyłącznie czy obok innych, ten zasadniczy rys psychiczny zrównywania rzeczywistości z wyrazami. Bardzo to ciekawa i pouczająca dziedzina, ale nie mogę się nad nią dłużej zatrzymywać.

Jednak i na wyższym stopniu rozwoju, kiedy już niema mowy o takim naiwnym zrównywaniu wyrazów z pojęciami, nie ginie ono całkowicie, tylko się przedstawia w nowej, »postępowej« formie. Ludzie zawsze przyjmują jakiś naturalny, istotny związek między nazwą a rzeczą, uważając je prawie instynktownie za dwie strony tego samego. Sprawa ma w sobie zarazem coś zagadkowego i tajemniczego, co wiecznie niepokoi umysły. Pomijając już szersze koła inteligencji, dalej ludzi skądinąd niecodziennych, ale u których gra wyobraźnia, jak wielkich nieraz artystów, a wreszcie uczonych nieraz manjaków, to nawet wśród bardzo wybitnych pod względem intelektualnym ludzi, u głów najjaśniejszych (oczywiście myśleniem, nie pochodzeniem) spotykamy często takie niejasne, w gruncie rzeczy

naiwne, wyobrażenia o jakimś tajemniczym a istotnym związku, a jakieś pełnej wyrazistości harmonji między wyrazem a rzeczą. Oto co myślał taki niepowszedni, ścisły i wszechstronny badacz i myśliciel jak Ampère — o francuskich samogłoskach nosowych. Oto »w językach, które je posiadają, wywołują one tę majestatyczną i pełną harmonję, jaką znajdujemy we francuskim w wyrazach *rampe, temple, constance* itd., któraby znikła w zupełności, gdybyśmy je wymawiali *râpe, tâple, constâce*« itd. (les sons... qui donnent aux langues où ils sont admis cette harmonie pleine et majestueuse qu'on trouve en français dans les mots *rampe, temple, constance* etc., et qui disparaîtrait entièrement si l'on prononçait *râpe, tâple, constâce* etc.). Dlatego też nie podoba mu się nazwa 'nosowych', niestosownie nadana tym samogłoskom (les sons, appelés assez mal à propos sons nasaux)¹⁾ — pewnie, jakże majestat ma w nosie siedzieć?! Ciekawe przytem, że całkiem podobne zapatrywania spotykamy potem u jednego ze starszych lingwistów, Buschmanna, współpracownika braci Humboldtów. Mówiąc o różnicy nazw dla 'matki' a dla 'ojca', z których pierwsze zawierają w wielu językach głoski *m, n*, a drugie głoski *p, t*, widzi w *m i n* spokój i łagodność: Wie sinnig spricht sich nicht das Naturgefühl darin aus, dass für den Vater die starken Laute, die harte oder weiche Muta, für die Mutter die völlig abgeebneten, ruhigen Consonanten bestimmt sind, welche nur als eine sanfte Grenze noch den Mutis angehören²⁾. I całkiem jak Ampère odrzuca nazwę 'nosowych', która mu się stanowczo niepodoba.

Z drugiej strony, nie brakowało naturalnie nigdy ludzi we własnem mniemaniu naprawdę »oświeconych«, nie mających »przesądów«, wolnych od wszelkich »uprzedzeń« i »mistycyzmu«, trzymających się tylko »faktów«, słowem »pozytywistów«, a także »sceptyków«, którzy tego rodzaju zapatrywania uważali za dziecinne. Brzmienie wyrazu nie ma wedle nich nic wspólnego z oznaczoną wyrazem rzeczą: brzmienie to tylko czysto zewnętrzny, nieistotny, umówiony, w gruncie rzeczy przypadkowy znak.

W rezultacie zagadnienie nasze, zazwyczaj ogólniej pojęte jako zagadnienie o początku mowy, pokutuje od wieków w dysputach i w literaturze od Greków począwszy poprzez całą starożytność i średniowiecze, a następnie w epoce odrodzenia umysłowego w 17 i 18 wieku aż do ostatnich czasów, gdzie wreszcie znalazło względne załatwienie.

¹⁾ Essai sur la philosophie des sciences (I) XLVI nast.

²⁾ Über den Naturlaut (Berlin 1853), 4.

W Grecji postawiono i ujęto problem jako zagadnienie trafności czyli prawdziwości nazw, ὁρθότης τῶν ὀνομάτων, a Platon zastał go w takiej fazie: szkoła Demokryta utrzymywała, że nazwy oznaczają rzeczy na mocy społecznego układu, θέσει, zaś szkoła Heraklita, że na mocy natury, φύσει. Pierwsze stanowisko, którego zasadę nazywano obok θέσις także ἔθος, νόμος, ξυνθήκη, ἐμολογία, wyrażało myśl, że prawdziwość czyli stosowność nazw polega na swobodnej umowie ludzkiej, na społecznym przyjęciu i zwyczaju, czyli że stosunek wyrazów do wyrażanych rzeczy albo pojęć polega ostatecznie na działalności, wynikającej ze świadomej woli człowieka. Drugie stanowisko przyjmowało naturalny, przyrodzony, konieczny związek między nazwą a rzeczą, niezależny od ludzkiej woli, a w ślad za tem zgodność nazwy z istotą odnośnej rzeczy. Platon podjął zagadnienie w dialogu p. t. Kratylos, gdzie Kratyl, zwolennik zasady φύσει, twierdzi, że każda rzecz ma w każdym języku z natury nazwę stosowną, zaś Hermogenes, wyznawca zasady θέσει, utrzymuje, że wszelka trafność nazwy polega tylko na umowie i zwyczaju, bo żadne nazwy nie powstają z natury. Zanim zobaczymy, jakie Platon w osobie Sokratesa zajął stanowisko wobec spornej kwestji, zaznaczmy, że wogóle w tym problemie φύσει — θέσει mieszczą się właściwie trzy różne momenty, niezawsze dosyć wyraźnie rozróżniane, a mianowicie 1) właściwa kwestja 'naturalnego znaczenia głosek', 2) kwestja pewnej ogólnej zgody między wyglądem wyrazu a przedmiotem, 3) kwestja raczej etymologiczno-logiczna, czy dana nazwa jest wogóle trafnie dobrana w stosunku do istoty oznaczonej rzeczy. Że Grecy wsadzili tu jeszcze czwarty, całkiem innego rzędu moment, mianowicie wygląd liter, o tem niżej. Nas tu obchodzi oczywiście przede wszystkim pytanie pod a), w drugim rzędzie pytanie pod b); natomiast pytanie pod c) zostawiamy zupełnie na boku.

Otóż Platon dochodzi w osobie Sokratesa początkowo do wniosku, że niepodobna uważać wyrazów za dowolnie wytworzone i stara się znaleźć naturalną i konieczną podstawę 'prawdziwości pierwotnych nazw', ἀλήθεια τῶν πρώτων ὀνομάτων, w tem, że głoskami naśladowano pierwotnie istotę rzeczy i zjawisk: »r przy wymawianiu którego język najbardziej drga, wyrażało wszelki ruch i pęd i dlatego spotyka się je w wyrazach ῥεῖν płynąć, ῥοή prąd, τρόμος drzenie (strach), τραχὺς szorstki, κρούειν tłuc, uderzyć, θραύειν (roz)tluc, ἐρείπειν rozbić, rozedrzeć, θρύπτειν kruszyć, κερματίζειν drobić, ῥυμίζειν kręcić w kółko; głoska i wyraża rzeczy cienkie, jako najłatwiej idące przez wszystko i dlatego mamy ją w ἵεναι iść oraz ἵεσθαι spieszyć, dążyć, podobnie jak znowu zapomocą głosek ph (φ), ps (ψ), s i z (ζ) oddaje się zgodnie z ich naturą wszelkie rodzaje wiania i dęcia jak τὸ ψυχρόν zimne,

chłodne, τὸ ζέον wrzące, σείεσθαι chwiać się, trząść się i wogóle σεισμός wstrząs; przyciskanie i opieranie języka, jakie jest cechą głosek d i t dało zdaje się początek wyrazom δεσμός więzy i στάσις stanie; natomiast wyraźne ślizganie się języka przy głosce l zostało zastosowane do nazw rzeczy gładkich (τὰ λεία) i samego pojęcia ὀλισθάνειν ślizgać się, a dalej wyrazów τὸ λιπαρόν tłuste, świecące od tłuszczu, τὸ κολλῶδες kleiste; w wyrazach znowu takich jak τὸ γλίσχρον lepkie, γλυκύ słodkie, miłe i γλοιῶδες lepkie, przebija wstrzymujące działanie głoski g na sunący w l język; zgodnie z wewnętrżnością brzmienia głoski n zostały nazwane τὸ ἐνδον wewnątrz i τὰ ἐντός to co wewnątrz położone; głoskę a zastosowano τῷ μεγάλῳ dla wielkiego, a głoskę ē τῷ μικρῷ dla długości 'ponieważ te litery są wielkie'; a potrzebując dla wyrażenia okrągłości (τὸ γογγύλον) znaku o tę głoskę przede wszystkim wsadzono do odnośnej nazwy.

Przytoczyłem umyślnie w całości ten ustęp, żeby dać wyobrażenie o naiwności pierwszych prób teorii językoznawstwa i o trudnościach, z jakimi myśl ludzka musi walczyć; i Platon zresztą sam miał wątpliwości, bo w dalszym ciągu stwierdza, że tej zasady nie można ani w przybliżeniu przeprowadzić, że zatem niema mowy, aby istota rzeczy odkrywała się nam w nazwach. Zwracam jeszcze uwagę na to, że w tych wywodach mieszano w starożytności ciągle głoski z literami, jak to wyraźnie widać z uwagi o alpha (α) i eta (ē); a z pewnością na wyobrażenie o 'cienkości' głoski i lub okrągłości o wpływała także zwykła ich postać pisana. Pomijam w dalszym ciągu zupełnie etymologje dziecinne i niemożliwe zarówno w Kratylu jak wogóle u starożytnych oraz wszystkie myśli i argumenty, przytaczane na korzyść jednej lub drugiej zasady, bo zajęłoby to bardzo dużo miejsca bez szczególnego pożytku. Wystarczy stwierdzić po pierwsze, że mimo wszelkich naiwności i nieścisłości widać czyto w roztrząsaniach platońskich, czy dalszych, pewne słuszne obserwacje i myśli, tylko że się niestety odrazu wykrzywiały i zbaczając z właściwej drogi dochodziły do nonsensu; powtóre zaś, że raz postawiony problem φύσει — θέσει nadawał w dalszym ciągu kierunek myśleniu o rzeczach językowych. Stoicy opowiadali się przy zasadzie φύσει, ale rozróżnili naśladowanie głosem bezpośrednie, zatem onomatopeje w ściślejszem tego słowa znaczeniu od pośredniego, gdzie wygląd wyrazu odpowiada rzeczy tylko pośrednio, symbolicznie, która to zasada, przybrawszy różne szczegółowe zastosowania, pozwoliła stoickiej i wogóle starożytnej etymologii wyprawiać prawdziwe orgje — bezmyślności. Daleko mądrzejszą formę nadał zasadzie φύσει Epikur, którego myśl szła w kierunku psychologicznym (wbrew logicznemu kierunkowi stoików i innych) i ewolucyjnym.

Epikur stwierdza, że początek mowy nie może polegać na 'umowie', na jakimś dowolnym układzie, tylko leży w naturze człowieka. Lukrecjusz wyraża to w ten sposób: Nonsensem jest mniemać, że ktoś na początku ponadawał nazwy rzeczom i że ludzie od niego się nauczyli pierwszych wyrazów, bo dla czegoż onby to był mógł robić i tworzyć różne brzmienia, a inni nie? Gdyby zresztą już przedtem nie używano wyrazów, to skąd pojęcie o ich użyteczności, i jak ów pierwszy twórca mógłby być dać się innym zrozumieć?... wreszcie co jest tak dalece w tem dziwnego, że ludzie, mając przecie głos i język, oznaczali rzeczy rozmaitemi brzmieniami doznając rozmaitych wrażeń, skoro bydło i zwierzęta rozmaite a różne głosy wydają doznając strachu, bólu lub zadowolenia? I wywodzi dalej, jak całkiem inaczej psy warczą ze złości, a na cały głos ujadają, albo szczekają i skuczą bawiąc się lub łaszcząc, a wyją zamknięte w domu lub skowytają unikając bicia itd.¹⁾ W ten sposób obok tamtej naśladowczej, to jest teorii naśladowania dźwiękami, powstała teoria przyrodzonych głosów, wydawanych w różnych nastrojach i uczuciach, która jednak chcąc wyjaśnić dalszy rozwój mowy i skojarzenie pewnych brzmień z pewnymi wyobrażeniami, uciekała się znowu do zasady *θέσις*, łącząc w ten sposób obydwie podstawy, indywidualnie przyrodzoną i społeczną. Filozoficzna myśl Epikura, jak w innych kierunkach, tak i w tym nie znalazła samodzielnych kontynuatorów, a wogóle już ani starożytność ani średnie wieki nie wniosły żadnych nowych momentów ani myśli do nauki o języku. Średnie wieki zajmowały się żywo mową i wyrazami, ale w ścisłym związku z wielkim sporem nominalistów i realistów. Świeży powiew jak w innych dziedzinach tak i w naszej znać u Bakona; potężny umysł Locke'a rzucił i w tych zagadnieniach niejedną trafną i opartą na prawdziwym zmyśle rzeczywistości uwagę; ale prawdziwy postęp i żywszy rozwój w zdawaniu sobie sprawy z języka i jakby przygotowanie do językoznawstwa, które miało powstać w 19 wieku, przyniósł dopiero wiek 18 od Condillaca, Rousseau'a

¹⁾ de rerum natura 5, 1039 nast.: proinde putare aliquem tum nomina distribuisse | rebus et inde homines didicisse vocabula prima, | desiperest. nam cur hic posset cuncta notare | vocibus et varios sonitus emittere linguae, | tempore eodem alii facere id non quisse putentur? | praeterea si non alii quoque vocibus usi | inter se fuerant, unde insita notities est | utilitatis et unde data est huic prima potestas, | quid vellet, facere ut scirent animoque viderent? | ... postremo quid in hac mirabile tantoperest re, | si genus humanum, cui vox et lingua vigeret, | pro vario sensu varia res voce notaret? | cum pecudes mutae, cum denique saecula ferarum | dissimilis soleant voces variasque cedere, | cum metus aut dolor est et cum iam gaudia gliscunt, itd. — w zgodzie z krótkim streszczeniem tego stanowiska, jakie daje sam Epikur u Diogenesa z Laerty 10, 75—6.

i Herdera począwszy. Ale wszystko to były jeszcze przeważnie spekulacje, na niedostatecznej obserwacji oparte; a w dalszym ciągu zostały przeważnie zapomniane; tak że w wieku 19 po epoce romantyzmu, który się odwrócił od wieku oświecenia, nie zdając sobie sprawy, że ten był jego jeżeli nie ojcem to piastunem, teoretyczna myśl językoznawcza znowu przeważnie całkiem na nowo i niezależnie zaczęła pracować w ostatniej ćwierci tego ubiegłego stulecia, podnosząc się nadzwyczajnie na początku obecnego. Ponieważ w krótkich i dla szerszych kół przeznaczonych artykułach ani można ani trzeba szeroko rozstrząsać rozwojową stronę kwestyj choćby najważniejszych, przeto obecnie przejdę do rozpatrzenia rzeczywistych podstaw, do realnych faktów językowych, które w zakresie pytania o początek mowy i stosunku brzmienia do znaczenia możemy wziąć pod rozwagę; zaś zdążając na tej drodze do możliwie jasnej odpowiedzi wplotę ważniejsze poglądy i nazwiska, które się tu zaznaczyły aż do ostatnich czasów, w formie krytycznych uwag już to zgody już to sprzeciwu.

II¹⁾.

We wszystkich językach są twory wyrazowe, różniące się wyglądem, a po części jakością swego znaczenia od wyrazów zwykłego, powszechnego typu, i już na pierwszy rzut oka robią wrażenie czegoś prostego i pierwotnego. I rzeczywiście mamy w nich w pewnym sensie przeżytki, ślady dawniejszego, pierwotniejszego stanu rzeczy, ocalałe do dziś dnia, a są to 1) wyrazy t. z. języka dziedzinnego, 2) wykrzykniki, 3) twory onomatopeiczne.

Przypatrzmy się najpierw wyrazom t. z. dziecięcym, a więc takim jak *papa* 'ojciec; pysk; rzadko ugotowana potrawa'; *papu, papać; pupa; baba; bobo* 'dziecko; strach'; *buba; mama; tata, dada, diadia, dziadzia, nana, niania, nynać; kaka, kaku; ziazia* i wielu innym, oraz podobnym tworom innych języków. Otóż językoznawcy i psychologowie nie przypisują obecnie prawie żadnego znaczenia tym tworom w obchodzącem nas pytaniu, i to powszechnie, dlatego że to jest bez żadnej wątpliwości język, tak samo jak język dorosłych, stały i tradycyjny, dziecku przez otoczenie poddawany a nie jakiś spontaniczny wytwór, przez każde dziecko samodzielnie i na nowo dokonywany. Co się zaś tyczy jego pochodzenia i źródła, to po pierwsze polega w znacznej mierze na przekształceniu zwykłych wyrazów w wymowie dziecięcej, bo wiadomo że dzieci rozporządzając początkowo małym tylko zasobem głosek i to nieokreślo-

¹⁾ 5, 4 (wrzesień-październik 1920).

nych oraz niedokładnie perycytujac, powtarzają słyszane wyrazy właśnie w takiej »dziecinnej« postaci, a starsi to przyjmują i ustalają; powtóre zaś, te twory, które nie są takiego pochodzenia, należą właściwie do dziedziny onomatopeicznej, a nie tworzą osobnej, zasadniczej kategorii. Wreszcie, najważniejszy argument, który się zresztą powtarza, jak zobaczymy, także przy wykrzyknikach i onomatopejach, przeciw przypisywaniu językowi t. z. dziecinnemu jakiegoś wybitniejszego znaczenia w pytaniu o początku mowy, a w szczególności o stosunku głosek do znaczenia: ogółem biorąc, powiadają, te twory nie grają przecież w znanych nam językach żadnej roli, pozostają zawsze na uboczu, nie widać, żeby służyły jako podstawa (»pierwiastki«) dla tworzenia i urabiania wyrazów, środków językowych wogóle. Toteż w dzisiejszych podręcznikach językoznawczych w rozdziale o początku mowy najczęściej nawet się nie wspomina o języku dziecinnym. Tem bardziej że w r. 1900 skodyfikował niejako to stanowisko Wundt w swem dziele o języku¹⁾, stwierdzając, że wszystkie wyrazy języka dziecinnego, z wyjątkiem wyrazów dla ojca i matki, są dziecku właściwie poddane i wcale nie mogą uchodzić za wytwór dzieci; dalej, że w okresie przedjęzykowym, nie stojącym jeszcze pod wpływem języka otoczenia, dziecko wydaje z siebie po kolei, najpierw krzyki, potem, od siódmego tygodnia artykułowane głosy, jedne i drugie jako czysto uczuciowe dźwięki przyrodzone (Naturlaute), niemające żadnego innego znaczenia i w gruncie rzeczy właściwe także zwierzętom. Jest to wprawdzie materiał, z którego potem się tworzą dźwięki językowe czyli głoski, ale tu zaczyna się rozwijać zaraz, zwykle z końcem pierwszego roku, już właściwy język pod wpływem otoczenia, to znaczy pod wpływem gotowego, wyrobionego języka i to się powtarza od tysięcy lat! Głosy przyrodzone (Naturlaute) nie znikają wprawdzie zupełnie; owszem, pozostają na zawsze w języku jako przeżytki pierwotnej epoki, ale nie grają właściwie roli »językowej«, są raczej obok języka niż w języku, bo to są prymarne wykrzykniki (*o, ach* itp.), nieliczne i tworzące całkiem swoistą kategorię. Zaś naprawdę do języka wchodzi one tylko 1) jako »pierwiastki« urobionych od nich wyrazów i 2) w wyrazach, oznaczających ojca i matkę; a otóż co do pierwszych trzeba zaznaczyć, że są nieliczne i służą tylko dla językowego oznaczania takich właśnie głosów (np. niem. *ächzen*, gr. *αἰδέειν*, pol. *jojczec* itp.); co do drugich, że właśnie oznaczają tylko rodziców, czyli że zakres ich nieruchomy i znikomo mały.

¹⁾ Wundt *Völkerpsychologie I. Die Sprache*, w dwu tomach, Lipsk 1900. Potem już dwa czy trzy wydania.

Ja jednak sędzę, że te zapatrywania nie są słuszne, a raczej że są słuszne tylko po połowie. Bo wprawdzie zarzuty przytaczane są z pewnością uzasadnione i obserwacje, na jakich się opierają, słuszne, z wyjątkiem ścisłego związku »prawdziwych« wyrazów dziecinnych z onomatopeicznymi, ale doniosłość tych zarzutów nie wyczerpuje wcale całości sprawy, nie załatwia ani tłumaczy wszystkiego w języku dzieci. Pozostawmy na boku wykrzykniki i rozpatrzmy właściwy język dziecinny. Przyznajemy, że jest to język tradycyjny i że niejedną z jego wyrazów polega w gruncie rzeczy na przekształceniu wyrazów języka dorosłych, tak jak to w używanych indywidualnie w rodzinach językach dziecinnych niewątpliwie stale się dzieje. Jednak wszystkiego to nie objaśnia, bo obok takich tworów jest cały szereg tworów jednakich albo bardzo podobnych w najrozmaitszych językach, które zresztą nie wykazują żadnych związków genetycznych. Wundt, jak wspomniałem, uznaje to dla wyrazów, oznaczających ojca i matkę, na podstawie pracy Buschmanna, a także Lubbocka, do czego przybywa materiał z dawnych małoazjatyckich języków, zebrany przez Kretschmera¹⁾ oraz przytoczona przez niego praca d'Orbigny'ego. Wundt, przyznając że przypadek jest tu wykluczony, sprowadza te wyrazy do dziecięcych, pierwotnych głosów uczuciowych i podkreśla, że nie polegają one na krzykach, z których poszły wykrzykniki, tylko na głoskach artykułowanych, wydawanych przez dziecka w epoce przygotowującej tworzenie się właściwego języka. A z tego, na podstawie ogólnych obserwacji i stwierdzeń, wywodzi, że jak zawsze, tak i te dźwięki dostały swe znaczenie nie od dziecka, tylko od jego otoczenia. Osoby zwracają na siebie wedle Wundta większą uwagę niż rzeczy (?), a z pomiędzy osób stoją oczywiście rodzice na pierwszym planie i dlatego pierwsze artykułowane głosy dziecka zostały »in jenem ersten wechselseitigen Nachsprechen, das sich aus Anlass der Echosprache²⁾ zwischen dem Kinde und seiner Umgebung entwickelt« właśnie do rodziców przez otoczenie odniesione. Wundt podkreśla z naciskiem wyjątkowe stanowisko tych wyrazów: dźwięki naturalne, z których powstały, są, w porównaniu z krzykami i polegającymi na nich, wykrzyknikami, obojętne pod względem charakteru uczuciowego i tem się różnią te wyrazy zarówno od pierwotnych wykrzykników jak od wszystkich innych wyrazów, które powstały całkiem niezależnie od jakichkolwiek dźwięków przyrodzonych, zgodnie z tem,

¹⁾ Kretschmer *Einleitung in die Geschichte der griechischen Sprache*, Göttinga 1896.

²⁾ przez »Echosprache« rozumie W. bezmyślne powtarzanie przez dziecko słyszanych głosów i wyrazów.

że nie działały przy nich te co tutaj szczególne warunki. — Chcąc dobrze zrozumieć myśl Wundta trzeba jeszcze uprzytomnić sobie jego ogólne stanowisko w sprawie początku języka, które też tu krótko streszczę. Język należy do ruchów wyrazistych, które wogóle, stale, od samego początku towarzyszą objawom świadomości; pytanie zatem o początku mowy może znaczyć naprawdę tylko tyle: w jaki sposób właściwe człowiekowi i odpowiednie stopniowi jego świadomości ruchy wyraziste stały się dźwiękami językowymi, a dalej stopniowo znakami, które tylko wyjątkowo wykazują stosunek do odnośnych treści myślowych? ¹⁾ Pierwotnie taki stosunek musiał być wszędzie, ale właściwie był zawsze tylko pośredni, bo psychicznemu przebiegowi odpowiada przecież jako ruch wyrazisty wprost tylko ruch artykulacyjny, a nie dźwięk; a nadto, pierwotnie w wielu wypadkach był zrozumiały tylko na podstawie całej towarzyszącej mu gry ruchów mimicznych i gestów, których częścią są właśnie ruchy artykulacyjne. Język dźwiękowy zwolna się dopiero stał niezależny od języka mimicznego i gestykulacyjnego, a skoro tak, to nie było nigdy stałego i niedwuznacznego w sobie stosunku dźwięku i znaczenia ²⁾. Dźwięki językowe nie polegają tedy na przypadku, tylko owszem są pierwotnie pod względem swego znaczenia najzupełniej określone przez towarzyszące ruchy twarzy i ciała, ale same przez się są ostatecznie zjawiskiem wtórnym. Tu istnieje jednak, zdaje mi się, sprzeczność u Wundta, a jeszcze więcej w dalszym powiedzeniu: w ten sposób jest dźwięk językowy w zupełności naturalnym i koniecznym wynikiem wchodzących w grę warunków psychofizycznych, które tylko w szczegółowych wypadkach zazwyczaj nie dają się wykazać, już to że ich wogóle nie można odnaleźć, już to że dźwięk językowy podlega nieustannym zmianom co do dźwięku i znaczenia ³⁾.

Cóż o tem wszystkim powiedzieć? Sposób, w jaki W. pytanie ujmuje i na nie odpowiada, jest zapewne ogółem biorąc słuszny, ale niezupełnie jasny i wykazuje sprzeczności, a przytem jest tak ogólnikowy, że, przynajmniej językoznawcom, nie może wystarczyć. Ale

¹⁾ przeze mnie rozstrzelone.

²⁾ przeze mnie rozstrzelone.

³⁾ »So entsteht der Sprachlaut ganz und gar als ein naturnotwendiges Ergebnis der bei seiner Bildung obwaltenden psychophysischen Bedingungen, die sich nur im einzelnen Fall, teils weil sie an sich nicht mehr aufzufinden sind, teils weil der Sprachlaut selbst fortwährenden Veränderungen nach Laut wie Bedeutung unterworfen ist, meist unserer Nachweisung entziehen« (II¹ 608). Ustęp rozstrzelony przeze mnie.

z drugiej strony może właściwie tylko dlatego i o tyle jest słuszny, że i o ile jest ogólnikowy, bo szczegółowsze wywody zawierają szereg sprzeczności. Powiada W., że owym wyrazom w rodzaju *tata* i *mama* to ich znaczenie zostało nadane przez otoczenie, a nie przez dzieci; a dalej, że tylko wskutek zbiegu szczególnych warunków dostały się w tych wyrazach przyrodzone głosy uczuciowe do języka, podczas gdy zresztą — poza prymarnymi wykrzyknikami, stojącymi osobno — wyrazy znanych języków powstały niezależnie od jakichkolwiek głosów przyrodzonych. Jeżeli znaczenie tym wyrazom *papa*, *tata*, *mama* zostało nadane tylko przez otoczenie, to skądże ta dziwna zgodność w tylu różnych językach? Następnie, w takim razie jest sprzeczność z tem, co mówi, że dźwięki językowe są »*naturnotwendiges Ergebnis der bei ihrer Bildung obwaltenden psychophysischen Bedingungen*«, bo jakże można jedną stronę t. j. mówiących całkiem wyłączać? Mówi o niezależności fonetycznej wyrazów od głosów przyrodzonych, a na innem miejscu oczywiście powiada, że te głosy są materialem, z którego potem dźwięki językowe powstają, a w takim razie jest to tylko kwestja widzialności i niewidzialności, tego co w pierwszym artykule porównałem ze stosunkiem budynku do fundamentów. istniejących, a rzadko widocznych. Oczywiście; przecież całkiem co innego jest chcieć widzieć istniejące do dziś dnia »*pierwotne*« wykrzykniki i takie kompleksy jak *ta*, *da*, *ba*, *ma* itd. itd. języka dziecinnego w tej właśnie postaci, która nadto jest sama zależna od każdorazowego stanu fonetycznego języków, w wyrazach dzisiejszych języków po całej tej olbrzymiej i skomplikowanej przeszłości rozwojowej, a co innego zaprzeczać wszelkiemu związkowi. Inne sprzeczności polecam już tylko samodzielnej uwadze czytelnika.

Posłuchajmy teraz, co myśli o języku dziecinnym dobry językoznawca, wspomniany już Kretschmer. Stwierdziwszy, że częste w dawnych małoazjatyckich językach imiona o zasadniczych typach *ba*, *baba*, *ab(b)a*, *da*, *dada*, *ada*, *ma*, *mama*, *am(m)a* itd. itd. powtarzają się w językach świata jako nazwy rodziców, tak dalej wywodzi: »Przyczyna tego zjawiska jest jasna: te wyrazy są poprostu pierwszymi bełkotliwymi dźwiękami dziecka, które, same przez się bez znaczenia, dopiero rodzice odnoszą do rzeczy leżących na horyzoncie dziecka, przedewszystkiem zaś do ojca i matki¹⁾. Trudniej jest stwierdzić, od czego przy tem

¹⁾ »jene Wörter sind nichts weiter als die ersten stammelnden Laute des Kindes, welche an sich bedeutungslos erst von den Eltern auf die im Vorstellungskreise des Kindes liegenden Dinge, in erster Linie auf Vater und Mutter selbst bezogen werden« (str. 353). Rozstrzelone przeze mnie.

zależał rozdział znaczenia. Po części był niezawodnie czysto przypadkowy, jak wynika z różnic znaczeniowych w rozmaitych językach — tu następują przykłady (no, np. europejskie *kaka*, a *kaka* 'dziadek' w jednym z afrykańskich języków i wiele innych). »Ale obok tego widać niezaprzeczenie zasadę rozdziału znaczenia, bo, jak to dawno zauważono, ze spółgłoskami *p, t* łączy się przeważnie znaczenie 'ojca' i innych męskich krewnych, a ze spółgłoskami *m, n* wyobrażenie 'matki, mamki, ciotki'. Ostatecznie o przypadku nie może być mowy. Dotychczas niema przekonywającego wyjaśnienia tego faktu; Kretschmer próbuje takiego, opierając się na »fachowem zdaniu matek«: »dziecko wcześniej wydobywa z siebie głosy *ma-ma* niż *pa-pa*, które mu sprawiają więcej trudności. Przyczyną jest pewnie to, że dziecko jeszcze nie włada dostatecznie mięśniami miękkiego podniebienia; a ponieważ matka, mamka, niania i inne krewnie daleko więcej się zajmują dzieckiem w pierwszych latach niż ojciec, więc nie dziwnego, że pierwsze bełkotliwe głoski do siebie odnoszą, podczas gdy mężczyzna dostaje resztę«.

Nie wiem oczywiście, czy Kretschmer dzisiajby podtrzymywał ten wywód; może być że nie, bo jednak końcowe objaśnienie jest tego rodzaju, że chyba nikogo nie przekona. Jak tego bliżej nie będę uzasadniać. Ale widać w każdym razie dwie rzeczy, po pierwsze że sprawa jest ciągle ciemna, a powtóre że Kretschmer tak samo jak Wundt robi dorosłych odpowiedzialnymi za znaczenie tych wyrazów, a prawie tak samo jak Wundt uważa jakieś »pierwotne« znaczenie dźwięków pierwotnych za wykluczone.

A więc dla języka dzieciennego, to jest dla tych jego tworów, które możemy uważać za kontynuację rzeczywiście pierwotnych i powszechnych, nie mamy dotychczas naprawdę wyjaśnienia poza ogólnikowymi odpowiedziami. A jednak nauka o języku musi dążyć do wypełnienia jakąś konkretną treścią tej ogromnej, pustej dla naszego poznania przestrzeni pomiędzy »początkiem«, względnie ogólnikiem, określającym go teoretycznie, a rzeczywistym językiem. I sam fakt istnienia tych zgodności fonetycznych i znaczeniowych dowodzi, że musi być jakaś pierwotna tego przyczyna, to jest nie tylko wogóle, ale przyczyna takich właśnie zgodności. Starajmy się wnikać w »pierwotne« stosunki życia ludzkiego. Otóż dawno już stwierdzili lekarze, że przyczyną pierwszego ludzkiego krzyku jest pierwszy oddech¹⁾: powietrze wchodzące nagle do płuc, nagromadzone tam i nazad się wydobywające, wprawia w ruch cały przyrząd oddechowy, wywołuje cały szereg ruchów, skurczów i wra-

¹⁾ a nie temperatura, bo na nią noworodek mało jest wrażliwy.

żeń, a w szczególności, napierając od spodu na krtań, wprawia w ruch struny głosowe i wychodzi nazewnątrz w postaci krzyku, wytwarza szereg ruchów i krzyków. Jest to krzyk odruchowy, w którym wyładowują się nazewnątrz wrażenia i uczucia nieprzyjemne, przerywa życiowa martwota, zarazem zaś mamy w nim materiał do przyszłych samogłosek, element wokaliczny.

Drugie zasadnicze wrażenie, druga zasadnicza czynność organizmu z towarzyszącą mu wybitną reakcją świadomości to ssanie i smakowanie, zaspokajanie głodu i pragnienia mlekiem matczynem. Tu mamy znowu do czynienia ze zwieraniem warg i ze zwieraniem języka z podniebieniem, czemu towarzyszą przyjemne wrażenia i uczucia; te ruchy warg i języka muszą być oczywiście przerywane i w ten sposób mamy w nich materiał przyszłych spółgłosek wargowych i podniebiennych względnie przedniojęzykowych, element spółgłoskowy. Równocześnie przy zwarcu warg powietrze wychodzi nosem, a przy otwarciu ust ustami, to znaczy są to elementy resonansu ustnego i nosowego. To znaczy zatem, że człowiek od najdawniejszych czasów dobywa z siebie szereg głosów krtaniowo wokalicznych jako objaw wrażeń ujemnych; dalej głosy w rodzaju późniejszych *m b p* (*m b p*) oraz *n t d* (*n t d*), przyczem pierwsze towarzyszą ssaniu, drugie smakowaniu. Bezpośrednio potem zjawia się jeszcze jeden objaw, a mianowicie nasylenia, przesyty, wstrętu, odpychania piersi, czemu towarzyszy świst, wydobywającego się z ust po wypuszczeniu piersi powietrza, element spirantyczny wargowy; przynajmniej bardzo prawdopodobnie.

Te twory artykulacyjne i ich rezultaty fonetyczne są oczywiście pierwotnie długo niezróżniczkowane pod względem zasadniczych swych cech, otwarcia jamy ustnej, rodzaju głosu (dźwięczności), stopnia energii, zwarcia, nosowości itd. i jeszcze dzisiaj można w pewnych językach i w pewnych objawach widzieć ślady tego. Zatem to, co dzisiaj, to znaczy w epoce historycznej, wyrażamy za pomocą różnych kompleksów fonetycznych *papa, papu, baba, bobo, mama* itp., to nie było pierwotnie szeregiem zasadniczo różnych tworów; tak samo *tata, dada, nana* i podobnie oraz *tata, niania* i podobnie także były pierwotnie jednym tworem. Oczywiście także pod względem znaczenia, to znaczy znaczenie ich było bardzo obszerne, mało zróżniczkowane. Bo czegoż nas uczy zawsze na nowo obserwacja dzieci? oto tego, że u dziecka, a zatem tak samo u prymitywnego człowieka, formują się początkowo bardzo rozległe twory wyobrażeniowo-uczuciowe. Ale od początku jest materiał i przyszłych wyobrażeń i przyszłych uczuć w postaci pierwotniejszych, mniej

zdyferencjowanych treści psychicznych, ale zawierających przecież i jedno i drugie. W każdym razie człowiek od początku doznaje szeregu wrażeń, które są z jednej strony obiektywnymi (wyobrażeń, rzeczy), z drugiej subiektywnymi (uczuć, podstaw świadomości). A przytem człowiek od początku rozporządza dwoma zasadniczo różnymi tworam, krzykiem i »artykułowanym« głosem, co jest bardzo ważne jak niżej zobaczymy.

Otóż, wracając do znaczenia, pierwotnie nie istnieją jeszcze wyraźnie różne, samodzielne wyobrażenia 'matki', 'mamki', 'piersi', 'mleka', 'ssania', 'głodu', 'zaspokojania głodu', 'chcę jeść', 'chodź mamó' itd. itd., tylko rodzaj wielkiego, niekształtnego tworu, w którym przeważa raz to, raz owo i który, zależnie od sytuacji i warunków, znaczy raz przedewszystkiem to, a drugi raz przedewszystkiem owo. Podobnie jak pod względem jakości towarzyszących mu ruchów muskularnych i wynikającej z nich postaci fonetycznej oraz pod względem towarzyszących mu nierozłącznie uczuć. Drugi taki wielki twór artykulacyjno-fonetyczny i znaczeniowo-uczuciowy to to, co się kiedyś potem będzie wyrażać szeregiem osobnych wyobrażeń 'ojca', 'huśtania', wogóle 'ruchu przyjemnego', 'zadowolenia', 'dobrego smaku', 'podobania', 'nianki' itd. itd. wraz z odnośniami postaciami fonetycznymi i uczuciowymi. I nic dziwnego: matka, kobieta to przedewszystkiem mamka, pierś, ssanie, głód itd. itd., ojciec, mężczyzna to przedewszystkiem ruch, brzęk, migotanie, siła, imponowanie, rzadka zabawa itd. itd. I otóż z takich tworów rozwija się zwolna mowa w miarę działania zasadniczych zjawisk percepcji, uwagi, kojarzenia itd., oraz na podstawie polegających na nich zasadniczych faktów językowych powstania znaczenia, prawa dwuczłonowości itd., a to w miarę danych warunków życiowych; a wogóle mówiąc, drogą nieustannej, stopniowej ewolucji, rozkładania doznań, łączenia ich znowu w całości coraz inne, różniczkowania się treści psychicznych itd. rozwija się zwolna język i staje się potężną dźwignią intelektu ludzkiego.

Prawie od samego początku działa jeszcze jeden ważny moment, moment spokojniejszego zadowolenia 'ogólnego i zabawy, ćwiczenia sił w zabawie, czemu towarzyszy w bardzo wybitny sposób element rytmicznej świadomości, materiał do przyszłych powtarzań i tworzenia większych kompleksów fonetycznych. Z drugiej zaś strony element wysokości głosu (muzyczny) i natężenia, wykładnik zdecydowanych uczuć, który może podobnie jak rytm następstwa towarzyszyć różnym tworam, przez co od początku zaczyna się wyodrębniać. Toteż człowiek wyraża stronę uczuciową swych doznań przedewszystkiem wysokością, melodją,

natężeniem głosu itp., zaś stronę obiektywną przedewszystkiem jego umiejscowieniem, i to jest naturalne, bo umiejscowienie łączy się przecież bezpośrednio z ruchami wyrazistymi, z mimiką i gestykulacją. To idzie w parze z rozdzielaniem uczuć od wyobrażeń, świata zewnętrznego od subiektywnego.

Do bardzo pierwotnych elementów »językowych« należą też, jak wspomniałem, twory o charakterze *f*, *pf*, ewentualnie *p*, *b*, skojarzone z wyobrażeniami, budzącymi odrąę itp. i towarzyszącymi im uczuciami; te twory zapewne pierwotnie tworzyły całość z rodzajem wydawanego przez nos *f*, do którego przy wachaniu dosyć zawsze było i jest sposobności. Dalej, również bardzo w najrozmaitszych językach rozpowszechnione twory o charakterze *s*, *sz*, łączonych ewentualnie z głoskami *t p* itp., a wyrażające przestroę, zatrzymywanie, obawę itp. (*st*, *ps* itp.), tkwiące niewątpliwie w *szepcie*, w tym charakterystycznym świcie, wydobywającym się przy szepcaniu. Ale te spostrzeżenia już nas przeprowadzają do tego, co się pospolicie nazywa symboliką dźwiękową, a z czem się przedewszystkiem przy głosach afektowych i onomatopejach spotkamy. W tych tworach wyraża się związek tych zjawisk, które a potiori nazywamy wyrazami dziecinnymi, z prymarnymi wykrzyknikami i onomatopejami. Ten związek wyraża się zresztą i w samych tworach języka dziecinnego, a mianowicie raz w ich elementach wokalicznych, należących do pierwotnych krzyków, powtóre w ich rytmice powtarzania, która polega nietylko na subiektywnych faktach psychicznych, ale także na naśladowaniu podobnej rytmiki w świecie zewnętrznym.

A więc narazie możemy opuścić dziedzinę języka dzieci, matek i nianiek i zadowolić się podanymi uwagami, które może sprawę o krok naprzód posuwają, bośmy uzyskali, jak mi się zdaje, parę zrozumiałych, pierwotnych kompleksów psycho-fizycznych, a w nich cały szereg składowych elementów, jako podstawę dalszej dyferencjacji.

III ¹⁾.

Język dziecinny przedstawia wprawdzie dosyć wyraźną i odrębną kategorię, ale mimo to rozmaite cechy łączą go z obu drugimi, t. j. z wykrzyknikami pierwotnymi i z głosami naśladowczymi, i nie w tem dziwnego: wykrzykniki to przecież objaw życia, objaw doznawanych nieustannie uczuć, wzruszeń, nastrojów i pragnień, a to gra przemożną rolę w życiu człowieka, i to tem większą i wyłą-

¹⁾ 5, 5 (listopad-grudzień 1920).

czniejszą, im dalej się cofamy w przeszłość rodzaju ludzkiego, a więc w epokę jego pierwocin niezmienną. Ponieważ zaś wyrazy dziecinne doprowadzają nas do tych samych stosunków i czasów, więc jest rzeczą jasną, że muszą mieć z wykrzyknikami dużo bezpośrednio wspólnego.

Starajmy się znowu wniknąć bez uprzedzeń w owe pierwotne stosunki. Otóż pod wpływem zmiennych i niehamowanych uczuć człowiek wydaje z siebie najrozmaitsze krzyki, wrzaski, jęki; dyszy, chrapie, krzaka, kaszle, wzdycha itp., to znaczy wydaje cały szereg głosów o charakterze wokalicznym, oraz głosów o charakterze spółgłoskowym, zwartym i szczelinowym, umiejscowionych przeważnie w krtani i w tylnej części jamy ustnej.

Uczucia, których objawami są wymienione głosy, grają ogromną rolę w życiu człowieka; ale zapewne daleko bardziej twórczymi w zakresie kultury, a zatem także w dziedzinie językowej, były nastroje i uczucia grupowe, doznawane przy wspólnych zabawach, pracach, wyprawach łowieckich, rybackich, wojennych, obrzędach rodzinnych, jak np. weselnych, pogrzebowych i innych, itd. itd., a wreszcie — last not least — w życiu płciowym. Cała ta olbrzymia dziedzina zjawisk, wywoływanych przez odnośne nastroje i afekty i wzajem je wywołujących, odznacza się w bardzo wysokim stopniu bezpośrednio towarzyszącym elementem rytmicznym, który się wyraża nie tylko w ruchach obwodowych ciała wogóle, ale także, i to w sposób rozmaity, na wokalicznym i wogóle głosowym materiale, danym od początku w nieartykułowanej postaci krzyku. Te głosy, wynik odnośnych ruchów krtani, języka itd., są zatem wynikiem bezpośrednim zachowania się całego organizmu, a w szczególności stoją w bezpośrednim związku z wyrazem twarzy, postawą i oddychaniem, zmieniającymi się w miarę różnych nastrojów, usposobienia i uczuć. Jak wiadomo, wszystkim stanom świadomości, ale przede wszystkim wzruszeniom i afektom, towarzyszą w organizmie całe prądy wysiłków muskularnych i organicznych, a w miarę gry mięśni i przepływu wrażeń organicznych zmienia się wyraz twarzy, układ jamy ustnej, położenie i ruchy języka, układ i działanie krtani; zmienia się sposób trzymania jamy brzusznej i klatki piersiowej i sposób ich działania, napięcie i rytm oddechu, trzymanie pleców i ramion, wogóle cała postawa i całe zachowanie się fizyczne. Otóż jest rzeczą wiadomą, że wraz z temi czynnikami zmienia się bezpośrednio jakość, dźwięk, barwa wydostającego się głosu, stopień i rodzaj jego siły, jasności i wysokości itd. Możemy mówić o uczuciowym układzie narzędzi mownych, zmieniających sposób swego działania w zależności od nastrojów

i uczuć zadowolenia lub wstrętu, błogości lub osłupienia, pieszczoty i czułości, nienawiści i obrzydzenia, strachu i wściekłości itd. itd. Prawda, jak nieraz kurczowo zwieramy szczęki, jak przyciskamy język do podniebienia, jak nas w gardle aż dusi, jak wydymamy wargi, jak znowu nagle wszystko niby się rozluźnia i wygląda?! Otóż to są elementy bezpośrednio wyraziste, bezpośrednio ekspresywne i nie tylko nieartykułowane głosy i krzyki, ale tak samo nasze artykułowane głoski, a zwłaszcza brzmienie samogłosek bardzo się zmienia zależnie od tych czynników, i to zarówno dźwięk, rodzaj, barwa, wysokość i siła głosu jak, w bardziej złożonych formach odczucia się czy krzyku, cała wogóle melodia. Toteż ta strona powiedzenia jest bezpośrednio zrozumiała, bez względu na to, co się mówi, jakimi wyrazami i w jakim języku się mówi, równie dobrze dla człowieka jak dla zwierzęcia. Wiadomo wszystkim, że ten sam wyraz, ten sam zwrot może być obelgą lub pieszczotą; wyrazy prośby stają się rozkazem, obojętne groźbą, itd. itd., nie mówiąc już o tem, że z samego tonu, bez względu na to czy wyrazy same się rozumie czy nie, wszyscy, równie dobrze dorośli jak dzieci, cywilizowani czy dziecy, ludzie czy zwierzęta, doskonale właściwy sens mówionego i usposobienie mówiącego rozumieją.

Ponieważ zarówno człowiek jak całe warstwy społeczne i zawody i jak całe szczepy i narody doznają nie tylko zmieniających się, rozmaitych wrażeń, uczuć i wzruszeń, ale mają, w bezpośrednim związku ze swą fizyczną i psychiczną indywidualnością, także pewną stałą, przeciętną fizjonomję duchową, pewne stałe usposobienie, pewien zasadniczy temperament, więc jest rzeczą naturalną, że i ich głos i mowa mają także pewną stałą jakość, zabarwienie, melodię tak jak mają pewien stały sposób trzymania się, chodzenia itd. Są to rzeczy niezmiernie ciekawe i doniosłe, w ostatnich dopiero czasach badane przez Rutzów, Sieversa, Luicka i innych, ale nie mogę się tu nad nimi zatrzymywać¹⁾.

Otóż teraz chodziłoby o połączenie »organiczne«, bezpośrednie i szczegółowsze tych elementów z istniejącymi w językach pierwotnymi wykrzyknikami i dalej z głoskami języków wogóle. Stwierdziliśmy istnienie od początku elementów głosowych, pierwotnie krzykowych, zastosowanych potem jako elementy »językowe«, wokaliczne i spółgłoskowe; ale jak się ta ewolucja odbyła? T. zw. pierwotne²⁾ wykrzykniki, t. j. takie jak *a, ha, ach, o, ho, och, e, he, ech, i, aj, ej*

¹⁾ Trochę dokładniejszą wiadomość o tem znajdzie czytelnik w rozprawie prof. Appa, którą poniżej, w ustępie V, przytoczę.

²⁾ Wtórne czyli drugorzędne wykrzykniki są to wyrazy lub nawet zwroty, które zatraciły swoje pierwotne znaczenie i nabrały wartości czysto wykrzyknik-

oj, ij, kombinowane *aha, oho, ehe, ojoj, ojej, ajaj, ajej, jej*, itp. wszystkie z najrozmaitszemi intonacjami i w ślad za tem w najrozmaitszem »znaczeniu«, są bezpośrednimi wykładnikami silnych wrażeń i uczuć i polegają genetycznie na pierwotnych krzykach, ale w takiej pierwotnej postaci, t. j. jako rzeczywiste krzyki i wrzaski, nie należą już wcale do języka w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wprawdzie i przytoczone tworzą swoistą kategorię, stojącą właściwie poza językiem, zarówno ze względu na swoją postać jak sens, ale mają przecież formę językową, to znaczy są identyczne z istniejącymi w języku głoskami i zgłoskami. Natomiast prawdziwe »nieartykułowane« krzyki, okrzyki i wykrzyki, zwłaszcza bólu, wściekłości i przerażenia, nie znikły; człowiek je i dzisiaj wydaje, ale bądź co bądź w miarę nieustannego rozwoju gatunku ludzkiego objawy te słabną, stają się rzadsze i powściągliwsze, a powtóre, takie wrzaski stają już rzeczywiście w zupełności poza językiem: one są co prawda bardzo wyraziste i jasne, ale z językiem jako takim nie mają już nic wspólnego oprócz najpierwotniejszego początku i materjału. Jeżeli zatem wykrzykniki takie jak *a, ach, ha* i inne przytoczone, oraz podobne we wszystkich innych językach, nazywamy pierwotnymi czyli prymarnymi, to trzeba to brać o tyle cum grano salis, że ich postać jest jednak już cywilizowana, wzięta w karby językowe, artykułowana, dostosowana do każdorazowego systemu fonetycznego każdego języka czyli zrównana w wyglądzie z pewnymi jego głoskami i grupami fonetycznymi. I otóż właśnie pytamy: w jaki sposób rozwinęły się tedy głoski językowe i jaki jest ich genetyczny związek z głosami uczuciowymi?

Ogólnem podłożem i ogólnym warunkiem tej ewolucji jest powolne, stopniowe, ale nieustanne »cywilizowanie się« objawów życia emocjonalnego: zasadniczą cechą rozwoju kulturalnego jest właśnie większa powściągliwość uczuciowa, miarkowanie, hamowanie czyli uspołecznianie uczuć i ich wyrażania. Pierwotny wrzask, krzyk przenikliwy, wycie lub ryk staje się zwolna »ludzkim« już »głosem«; stoi otworem droga do głosów wokalicznych czyli samogłosek i do krtaniowych spółgłosek, w związku z ruchami krtani i jamy ustnej oraz rodzajem prądu wydechowego.

Szczegółowe warunki, są różnorodne. Po pierwsze jest rzeczą pewną mimo wszelkich potrzebnych zastrzeżeń, że różne samogłoski mają każda własny, stały ton; jedne są wyższe pod względem tonu,

kowej np. *rany boskie! o rany!*, a często zmieniały gruntownie i wygląd np. dial. *cienvy! dais (go)! z moście wy, widzicie wy, widzisz go* itp., (o) *raju* zamiast *o rany boskie* itp.

inne niższe. Mogę wprawdzie każdą samogłoskę wymówić w rozmaitej wysokości muzycznej, por. np. wysokie *a!* wyrażające niespodziankę, ale nie przykrą, obok niskiego *a!* wyrażającego niespodziankę, pełną oburzenia; ale mimo to nie ulega wątpliwości, że *a* ma normalnie niższy ton niż *i*. Albo kiedy wymawiam *i* lub *e* ze zwarcie krtani przed niemi i po nich, w znaczeniu 'coż znowu, coż za dziki pomysł, także coś nowego!', z charakterystycznym rzuceniem głowy, ruszeniem ramion, w czym się objawia właśnie 'odrzućcie' od siebie, to to jest mniej więcej wszystko jedno, czy te gesty i ta modulacja głosu odbędą się przy *i* na głosce *i* czy *e*. Ba, co więcej, może się to odbyć i na głosce *a*, ale wtedy zmienia się niewątpliwie to »znaczenie«, o które chodzi, przybywa inny odcień, i to wyraźny, pewna duma, zaznaczenie że to się sprzeciwia mojej godności itp., a stoi to niewątpliwie w związku z szerokim otwarciem jamy ustnej dla wymówienia głoski *a*, bo to znowu, takie otwarcie, wynika z innej przecież gry mięśni niż położenie ust, szczęki, języka przy wymawianiu *i*. Widzimy zatem jasno, że nawet gdybym koniecznie chciał użyć do wyrażenia nastroju, zawartego w *e!* także *coś nowego!* głoski *a* i powiedział możliwie tak samo *a! także coś nowego!*, to to nie będzie to samo. Głoska *a* ma mocą swych cech istotnych, różnych od cech innych głosek, przede wszystkim także swój odrębny ton. Trzeba przytem pamiętać, że tu idzie przede wszystkim o ilości względne, o różnicę wysokości między poszczególnymi samogłoskami, a nie absolutne cyfry; to też w absolutnych liczbach wysokości będą znaczne różnice między jednostkami, narzeczami, językami i rasami, tak że normalna wysokość głoski *a* w jednym języku może się równać przeciętnej wysokości głoski *i* w drugim; ale proporcja będzie zachowana. Nie trzeba też zapominać, że to, co oznaczamy przez *a, e, i* itd., to obejmuje bardzo różne głoski: np. niemieckie krótkie *i*, zwłaszcza na północy, jest niskie i luźne i daleko jest podobniejsze do naszego *y* niż do naszego *i*; albo jasne *a* francuskie lub angielskie obok niskiego *a* u Niemców szwajcarskich; wąskie *o* w różnych językach, brzmiące nam raczej jak *u*, obok niskiego angielskiego albo węgierskiego *o*, podobniejszego do naszego *a*, itd. bez końca. Jednakowoż jest chyba pewnem, że po uwzględnieniu i odliczeniu tych i innych momentów można ustalić pewną skalę wysokości tonu typowych samogłosek.

Wysokość tonu zależy jak wiadomo od szybkości drgań fal głosowych, wzrastając w miarę jej wzrastania; a ta szybkość stoi znowu w związku z długością drgającego ciała, w danym wypadku strun głosowych, oraz ze stopniem ich napięcia. Otóż jest rzeczą jasną, w ogólnem ujęciu, oczywiście, że stopień napięcia i długości

drgającej partii strun głosowych zależy ostatecznie od napięcia czyli intensywności doznawanych wrażeń i uczuć; a dalej jest równie jasnym, że przez to samo wyraża się większy lub słabszy stopień zaangażowania doznającego subiekta, mego ja, oraz rozmaity stopień przykrości wzgl. przyjemności doznawanych uczuć, ponieważ ogółem biorąc przykre są, ceteris paribus, intensywniejsze. Tem tedy tłumaczy się fakt, wspomniany w mym artykule nr. 7, że w wielu i to całkiem różnych językach twory zaimkowe o wokalizmie jasnym (typ *i*) wyrażają bezpośrednią bliskość, t. j. wskazują to, co się znajduje w bezpośredniej sferze podmiotu mówiącego, natomiast postaci z niską samogłoską (typ *a*) oddalenie, t. j. rzeczy dalsze w stosunku do subiekta, bo *i* posiada przeciętnie ton wyższy od *a*. Możemy powiedzieć, że głos wokaliczny o charakterze podobnym do *i* wyrażał pierwotnie treść taką: 'o mnie bezpośrednio chodzi; mnie wprost dotyczy; znajduje się tuż przy mnie, we mnie itp.'; zaś głosy wokaliczne gatunku *a*: 'to rzecz dalsza; to mnie mało obchodzi; daleko ode mnie itp.' I jeżeli mimo zrobionych powyżej zastrzeżeń i mimo faktu niezmiernie długiej przeszłości, jaką mają za sobą głoski dzisiejszych języków, przyczem nieraz w ciągu wieków dochodzi się powolnem przesuwaniem się wymowy od *i* lub *y* do *a* lub odwrotnie, jeszcze dzisiaj w tak licznych i różnorodnych językach ludzkich ten stosunek przegląda dosyć wyraźnie, to musi się opierać na zasadniczych i stałych objawach psychofizycznej natury człowieka.

Drugi szczegółowy warunek polega na fakcie, że emocjonalna strona wszystkiego tego, co człowiek doznaje, nie jest jedyną, bo nie istnieje osobno, niezależnie, bez wrażeń i wyobrażeń, a co za tem idzie nawet w owych odległych epokach pierwocin ludzkich istniała zawsze i koniecznie, ściśle z nią spójna, strona wyobrazeniowa, strona obiektywna doznań, i stąd od początku rozkłada człowiek swe doznania na te dwa składniki czy na te dwie strony. Przytem odbywało się od początku ustalanie treści i form życia przede wszystkim na podstawie tego wyobrażennego elementu, właśnie na podstawie jego jako obiektywniejszego, stałego i bezpośrednio interesującego czyli ważnego, a to miało daleko idące następstwa, których ostatecznym wynikiem jest między innymi to, że i uczucia i nastroje wyraża się przeważnie zapomocą zwrotów wyobrazeniowych (*psiakrew...*, *bodaj to diabli wzięli*, *Boże, Jezus Marja, rany boskie* itd.), podczas gdy »czyste« interjekeje (*a*, *ach...*) są rzadkie. Właściwie to te zwroty i wyraży o treści pierwotnie obiektywnej mają znaczenie, żeby się tak wyrazić, tylko ogólnie uczuciowe, grają rolę pomocniczych znaków zewnętrznych, a właściwie i szczegółowe znaczenie emocjonalne wyraża się

przy ich wymawianiu pozagłoskowo grą twarzy (mimika), ogólnym sposobem wymawiania i całym układem i rozkładem wysokości, napięcia, trwania i barwy głosu, to jest zapomocą całego bogactwa modulacyjnego, do jakiego głos ludzki jest zdolny. I to jest bodaj rozstrzygające: ponieważ ten sposób wyrażania, bezpośrednio wyrazisty, przede wszystkim i zawsze na nowo człowiekowi się nastęczał, więc tem łatwiej i konieczniej głoski, ustalające się zwolna jako takie, stawały się wyrazicielami elementu wrażeniowo-wyobrazeniowego, istniejącego przy każdym wzruszeniu. Przecież np. reakcja na rozmaite pobudki, przedstawiająca się jako zdziwienie, zaskoczenie, zaciekawienie, chwytnie itp., zawierała w każdym razie zawsze gest, ruch wskazujący i wyrażenie mimiczne bezpośrednio bliskiego wciągnięcia człowieka w związek z danym zjawiskiem, względnie bezpośrednio bliskiego wkraczania danego zjawiska w sferę podmiotu doznającego: to był ten element wrażeniowo-wyobrazeniowy, z którego się rozwinął z czasem psychiczny fakt zaimka wskazującego pierwszego, najbliższego stopnia, a do jego wyrażenia został zużyty towarzyszący element wokaliczny, pierwotnie uczuciowego pochodzenia, w sposób powyżej wskazany. Podobnie inne pnie zaimkowe.

Trzeci warunek to okoliczność, że przecież od samego początku, razem z temi uczuciowymi objawami i ich konsekwencjami działały i rozwijały się zjawiska, które prowadziły do elementów językowych, omówionych poprzednio pod firmą wyrazów dziecinnych, oraz do elementów językowych, o których jeszcze pomówimy pod hasłem naśladownictwa dźwiękowego. Bo wszakże to wszystko tworzyło spłot doznań, wrażeń, uczuć i wyobrażeń i ten spłot rzeczywisty musiał się wyrażać także na zewnątrz. Twory wybitnie spółgłoskowe, do jakichesmy doszli przy analizie t. z. języka dziecinnego, musiały się łączyć, kombinować z tworami wybitnie wokalicznymi, wynikającymi z głosów uczuciowych. Już z tego materiału mogły i musiały już w najodleglejszej epoce ludzkiej językowości tworzyć się dziesiątki pierwotnych »wyrażeń«. Zwłaszcza że w związku z jakością doznawanych wrażeń i uczuć człowiek dwojako się zachowuje: jedno rzeczy chwytą, wyciąga do nich ręce, idzie do nich — drugie odpycha, odwraca się od nich, ucieka; a temu towarzyszyła odpowiednia akcja oddechowa, krtani, twarzy itd., z czego myślał wynikać akompanjament głosowy tych ważnych sposobów zachowania się. Oczywiście, że w obu kategoriach, zarówno wykrzyknikowej jak dziecinnej, był materiał tak do przyszłych elementów spółgłoskowych jak i samogłoskowych, ale niewątpliwie przeważał jeden tam, a drugi tu, i zgodnie z tem jeden miał przede wszystkim tu sprzy-

jające warunki rozwoju, a drugi tam. Może też być, że twory spółgłoskowe były przedewszystkiem wykładnikiem wyobraźniowej strony doznań, zgodnie z wybitną rolą wrażeń dotykowych przy spółgłoskach zwartych z jednej, a przy głosach dzieciennych i naśladowczych z drugiej strony, zaś twory wokaliczne, zapomocą których przedewszystkiem mogły się wyrażać nastroje i uczucia przez natężenie, trwanie, wysokość i wszelką rytmikę głosu, wyrażały raczej stronę »subjektywną« doznań, »ja« i jego stosunki, udział i orientacje. W każdym razie warto w tym związku zauważyć, że w dalszym ciągu rozwoju językowego spółgłoski przedstawiają, ogółem biorąc, element ewolucyjnie stalszy, wprawdzie ciasniejszy, ale za to z wyraźniej określoną indywidualnością niż samogłoski, które pod wpływem czynników bezpośredniej ekspresji ulegają daleko łatwiej wahaniom i przesunięciom. Jeszcze dziś różnica jakościowa między głoskami takimi jak *a, o, e* itp. a *p, t, k* itp. jest wszechstronnie ogromna i jeszcze dziś są w niej ślady bezpośredniej zrozumiałości. Przecież tego, co wyrażam odpowiednio wymówionem *a* w zwrocie: *a! przepraszam pana, ale tego się nie spodziewałem po panu*, w żaden żywy sposób nie mogę wyrazić przez *s* i powiedzieć: *s! przepraszam pana...*, dlatego, że *a* ma swoje znaczenia uczuciowe, a *s* swoje, to znaczy jedna głoska nadaje się mocą odpowiedniej modulacji, stojącej w bezpośrednim związku z zachowaniem się ciała, do wyrażania pewnych nastrojów i uczuć, a druga do innych.

IV.

Trzecia wielka kategoria tworów językowych, a zarazem w pewnym sensie pozajęzykowych, to głosy naśladowcze, wyrazy polegające na t. z. naśladownictwie dźwiękowym, czyli używając greckiego wyrazu, onomatop(o)ėja; zatem twory takie jak *krakra, miauu, hau, be, bu, kuku, cwi(e)r(k), bz(z), bum(s), buch, ss, d(z)yn, dziń* itd. z urobionemi od nich wyrazami *krakać, miauczeć, haukać, bek, beczeć, buczeć, kukać, kukulka, cwi(e)rkać, bzykać, buchać, syczeć, syk, dynać* i wiele innych. Onomatopeja odgrywała w zapatrywaniach o powstaniu mowy zawsze wielką rolę, ale wydaje się zjawiskiem innego rzędu niż tamte dwie kategorie. Podczas gdy tam całkiem oczywiście głos wydawany jest wtórną stroną zjawiska, a prymarną ruch organów mownych, ogólniej mówiąc ruchy mięśniowe, a w szczególności ruchy artykulacyjne krtani, języka itd., to tutaj na pierwszy plan wysuwa się element akustyczny. Wydaje się mianowicie, że tu chodzi przecież o naśladowanie słyszanego głosu, dźwięku, hałasu itd. zapomocą najpodobniejszych do nich własnych głosów, czyli że łącznikiem jest głos słyszany, podobieństwo akustyczne,

i że dopiero wedle tego i dla tego celu dobiera się stosowne ruchy artykulacyjne. Jednak w gruncie rzeczy jest to dopiero co najwyżej połowa sprawy, a drugą, daleko większą, zwłaszcza kiedy mamy na oku stosunki pierwotne, tworzy mimowolne towarzyszenie organizmu odnośnym zjawiskom i wykonywanie ruchów i gestów, których częścią tylko są ruchy artykulacyjne i z których one mimowoli wynikają. Zważmy, że np. w akustycznym wyniku, powstającym przez jakiś nagły upadek, runięcie, trzask lub huk albo w głosach bardzo wielu zwierząt itp. trudno się dopatrzeć podobieństwa do ludzkich głosów, więc ta strona sprawy nie może wówczas grać roli, albo bardzo podrzędną; a jednak powstają ostatecznie twory, nazywane przez nas naśladowczymi i nie w tem dziwnego, bo każdy huk, turkot czy hałas, choćby całkiem niepodobny do głosu ludzkiego, działa na nasz organizm i wywołuje w nim reakcję. Proszę sobie uprzytomnić np. człowieka, przypatrującego się ciekawie obalaniu drzewa ścinanego: jak on cały asystuje temu z naprężeniem, z odpowiednim nastawieniem całego ciała i twarzy, jak stoi wpatrzony, lekko skurczony, usta choćby na chwilę zamknięte i wreszcie, w chwili upadku pnia, jak mimowoli przykucnie trochę, usta choćby lekko otworzy (oczywiście raz dla wypuszczenia zatrzymanego oddechu, a powtórę, tak samo mimowoli, dla złagodzenia uderzenia fal głosowych na uszy), wykona rękami ruch z góry na dół i zawoła, jeżeli nie *buch, bęc, bums*, czy inny jaki tradycyjnie ustalony twór, to przynajmniej i koniecznie wyda głos, składający się najpierw z elementu wargowego (*p, b*), a następnie z głosu płynącego z zwartych ust, bo właśnie człowiek normalny trzyma usta zamknięte, kiedy czegoś oczekuje z napięciem, zatrzymując oddech, a w chwili urzeczywistnienia się oczekiwanego faktu, z konieczności po momentalnym jeszcze silniejszym zwarcu warg następuje ich rozwarcie i wypływ silnego prądu wydechowego. A więc będzie to twór, składający się w każdym razie z elementów zwarto-wybuchowego i ustnego, z czem łatwo i naturalnie może się łączyć element spirantyczny lub nosowy, ponieważ usta po energicznym otwarciu wracają do zwężenia lub zamknięcia. Ale czy głuchy huk, spowodowany upadkiem jakiegoś ciężaru na ziemię jest »podobny« jako taki do fonetycznych tworów *buch, bum, bums, bęc*, niem. *puff, bums*, franc. *pouf* itp.? A jednak we wszystkich językach są podobne twory i człowiek nie tylko łatwo ale i mimowoli dopatruje się w nich »naśladowania« przebiegu obiektywnego, a przynajmniej czegoś pokrewnego między jednym a drugim, czyli tego, co dziś nazywamy symboliką dźwiękową, a starożytni onomatopoeją analogiczną. Jeszcze wyraźniej to występuje w takich, również w najrozmaitszych

językach rozpowszechnionych tworach jak *tam tam, dam dam, te-ten(t)*, łac. *tintinnare*, *dyn dyn, dzyn dzyn, dzień dzień, gong gong* i podobnych, «naśladowujących» rytmiczne «dźwięczenie» i składających się ze zwarcia, dźwięku ustnego i nosowego, podobnie jak obiektywny przebieg składa się z uderzenia, dźwięku i poddźwięku. Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na takie twory jak *tyk tak* wzgl. *tic-tac*, *pac, pyk, puk*, franc. *toc*¹⁾ (por. *stuk*) oraz takie jak *r(r)um, (h)r(r)ym(s), tr(r)ach, ter ter, trr* (*terkotać, turkotać*), *br*, gdzie mamy z jednej strony wyrażony niedźwięczny (suchy) stuk czy trzask, a z drugiej odgłosy o powtarzających się drganiach, tam zapomocą tworu o dwu zwarto-wybuchowych, tu zapomocą «drgającego» *r*, to ta symbolika fonetyczna wydaje się, mimo wszelkich zastrzeżeń, czemś realnem. W każdym razie różnica między tworami, zaczynającymi się od zwartej spółgłoski, wyrażającymi odgłosy, wywołane wyraźnem uderzeniem, a tworami naśladowającymi np. przeciągłe wycie, gdzie zasadniczym «znakiem» językowym jest *u*, *uu*, jak np. w *wyć*, niem. *Uhu*, staroniem. *uwo* 'sowa', jest nie tylko uderzająca, ale i pouczająca. Bo chociaż powstają też kombinacje *tu (tū, tulu)*, *bu (bū)*, *mu (mū)* itp., to jednak gdy chodzi o oddanie 'samego wycia', właściwym tworem językowym jest *u*, ewentualnie ze spirantem na początku (*vu, hu...*); a w każdym razie w tworach *mu, bu, pu* i podobnych (*myczeć, buczeć* itd.) spółgłoska stojąca na początku jest obojętna, gra rolę podrzędną, a główną element wokaliczny.

Otóż, o ile każdy się chyba zgodzi, że takie *dziń dziń, trara, buch* są mało «podobne» do głosu dzwonka, trąbki i odgłosu upadku, to chyba nikt nie uwierzy, żeby w takich tworach i wyrazach jak *wyć, huczeć, myczeć, byk, puhacz, Uhu*, łac. *bubo, ū, bū, mū, bē, beczec, buczec, kukać, kuku* (podobnie wszędzie), *bż, bzykać, ss, sykać, syczeć, miau, hau, wau* (podobnie wszędzie), *kwa(k), kwakać, gul gul, dud- dać, bulgotać*, niem. *glucksen, belkot* i wielu, wielu innych, moment mniej lub więcej świadomego naśladowania słyszanego głosu, odgłosu czy szmeru nie grał żadnej roli. Przecież człowiek słyszy także sam siebie, tak samo jak innych ludzi, a powtóre przecież mu w wielu wypadkach zależy na tem, ażeby jak najwierniej słyszany głos naśladować — tak przedewszystkiem na polowaniu dla zwabienia lub oszukania ostrożności zwierzęcia. Ale i wogóle akustyczna strona zjawisk ma swoją bezpośredniość i chceć zupełnie wyłączyć działanie tego momentu w pierwotnym rozwoju mowy, jak to czyni Wundt, jest chyba przesadą krytyczną. Naprawdę działały oba

¹⁾ Obojętne przytem, czy są obok nich «wyrazy» takie jak *pukać, stukać, pykać*, franc. *tic, toquer* itd., czy nie.

czynniki: a) towarzyszenie zjawisku całym organizmem, z czego wynikały ostatecznie ruchy artykulacyjne, oraz b) świadome (tak, świadome!) naśladowanie głosu słyszanego — oczywiście w jednych wypadkach ten, w innych drugi moment grał większą lub mniejszą ewentualnie minimalną rolę, ale to co innego i rzecz zrozumiała.

Zaś niejako w pośrodku między temi dwoma biegunami można umieścić liczne wypadki t. zw. symboliki dźwiękowej, które zresztą prowadzą nas znowu do głosów uczuciowych, a stąd zarówno do interjekey jak t. zw. dziecinnych wyrazów, jak to niżej zobaczymy. Dziedzina symboliki dźwiękowej jest bardzo obszerna i obejmuje też najrozmaitsze rzeczy. Jeżeli ktoś naśladowuje głos zwierzęcia aż do zupełnego złudzenia, to to jest jeden biegun: materiał i przyrząd jest wprawdzie u człowieka a zwierzęcia inny, nieraz całkowicie, ale twór jako taki jest taki sam, czyli mamy dokładne naśladowanie. Jeżeli znowu ktoś mówiąc o jakiejś bardzo grubej osobie powie: *taka gruba, gruba pani* możliwie grubym głosem, to jest rzeczą jasną, że ani powtórzenie przymiotnika *gruby*, ani wymówienie go niskim głosem nie ma bezpośredniego związku z grubością figury opisywanej osoby, czyli że te środki językowe są właściwie symbolem. Tak, ale symbolem mimowolnym, naturalnym i nie pozbawionym całkowicie momentu naśladownictwa, ani jakiegoś istotnego związku, bo użycie tego «symbolu» stoi znowu w związku z zachowaniem się naszego całego ciała, w szczególności tułowiu, jamy brzusznej, szyi, krtani, twarzy i ust, które to części przystosowują się mimowoli w sposób przyrodzony, kurcząc się i zgrubiając, do przedmiotu względnie zjawiska, które nas pobudza i które chcemy przedstawić; a wraz z tem idą zjawiska językowe i fonetyczne, jako część odnośnych ruchów. Jest to zupełnie jasne: jeżeli, odwrotnie, mówimy o kimś długim i bardzo cienkim, to mimowoli sami się przytem wydłużamy, wyciągamy szyję itd., a razem z tem idzie użycie cienkiego, wysokiego głosu, ewentualnie także powtórzenie przymiotnika — bo powtórzenie wyraża zawsze wysoki stopień danej właściwości — i użycie formy zdrobniałej, a więc np. *cieniutki, cieniutki*, która także wyraża 'wysoki stopień cienkości'.

W ten sposób się tłumaczy używanie pełnej czy częściowej reduplikacji, powtarzanie wyrazu całego lub tylko jego części, dla wyrażania liczby mnogiej albo bardzo wielkiej, intensywności zjawiska, nacisku, zupełnego zakończenia przebiegu itd., co się spotyka w najrozmaitszych językach w urabianiu liczby mnogiej, intensywów, perfektów, zaimków i innych form emfaticznych itd. Podobnie tłumaczy się sama przez się geminacja głosek, to jest przedewszystkiem wzdłużanie lub energiczne wymawianie spółgłosek, także wzdłużanie

samogłosek, objawy dobrze znane z różnych języków i w różnych kategoriach językowych używane, m. i. tak zwana uczuciowa gminacja w zdrobniach (hypocoristica) albo nasze palatalizowanie czyli zmiękczenie spółgłosek w tej samej kategorii i w mówieniu do dzieci¹⁾ Podkreślam, że tu mówi się zwykle o uczuciowej gminacji, podczas gdy tam raczej o symbolicznej albo ekspresywnej reduplikacji, ale i ekspresywność, a w pewnym sensie symbolizm, i uczuciowość jest i tu i tam, do czego jeszcze niżej wrócę.

Zważmy wreszcie jeszcze raz, na co już zwracałem uwagę w nieco innym związku, co za ogromna różnica jest między pełną ustną samogłoską np. *a* lub *o* lub *e*, gdzie dźwięczny prąd wydechowy, podatny na wszelkie modulacje, swobodnie z ust dobrze otwartych wypływa, a spółgłoską zwartą, takim *p*, *t* lub *k*, gdzie mamy chwilowe zupełne zamknięcie, zaporę i gwałtowne jej przerwianie — różnica zarówno pod względem tonu uczuciowego jak treści wrażeniowej czyli czuciowej, a co zatem idzie, także »objektywnej« jest ostatecznie »namacalna, chociaż tylko zasadniczo. Trzeba tylko unikać przesady i dobrze się strzec przed czyhającą na człowieka na każdym kroku samozłudą. Bo wprawdzie fonetyczna strona wyrazów sprawia oczywiście rozmaite wrażenie, przyjemne i nieprzyjemne, ale po pierwsze te wrażenia są bardzo subiektywne i nieokreślone i pochodzą przeważnie z niesłychanie silnego skojarzenia znaczenia, to jest treści zarówno wyobraźniowej jak uczuciowej z fonetycznym szeregiem; powtóre ewolucja języków trwająca lat tysiące zmienia nieustannie ich wygląd fonetyczny, tak że np. 'gładkie, śliskie' *l* przechodzi we wcale 'niegładkie' *ł* albo, jak w różnych językach, w *r*, albo drgające *r* wskutek zmiękczenia w zupełnie do niego niepodobne *z* lub *sz*, jak u nas, itd. itd., tak że jesteśmy od »pierwotniejszych« stosunków niezmiernie oddaleni; a z tem zgadza się fakt, że po trzecie, całe języki przecież robią bardzo rozmaite, a wcale usposobieniu narodów nie odpowiadające wrażenie. W każdym razie są to zjawiska bardzo złożone i bardzo delikatne i chcieć je ujmować w taki sobie prosty sposób, jak to ludzie, wszystko jedno czy prostacy czy wykształceni, poeci czy filo-

¹⁾ Por. gr. Φάλλος obok licznych imion złożonych z Φάλο-, staroniem. *Sicco* (*Sigfrid*), łac. *Varro* (*varus*); podobnie w wyrazach dziecinnych: gr. τίτη, ἀττα = łac. *atta* = gockie *atta*, w przezwiskach: γόννος 'niewieściuch' (*gonij*), łac. *lippus* (pień *lip-*), w onomatopiejach: gr. πινπίσειν, łac. *hinnire*, *tintinnare*. W słowiańskich językach zostały wszystkie dawne geminaty uproszczone, toteż ogólne *atta* tu się pojawia jako *otū*, od tego pochodzi *otici*, nasze *ocięć* (= *ojciec*), greckiemu πινπίσειν odpowiada nasze *pipi* itp. Por. dalej gr. μωμύρειν 'szumieć, mruć', łac. *murmurare*, *ululare*, ros. *kołokoł*, *perper-* w naszym *przepiórka* itd.

zofowie, robili i robią, to znaczy mniej więcej tyle, jak gdyby kto niezgrabnemu murdze, ubranemu w grube żołnierskie ubranie, obladowanemu i z ciężkimi, podkutymi buciarami na nogach kazał brać udział w balecie, dlatego że i on rusza nogami.

»Teoria fonetycznego symbolizmu ujmuje, przemawia do wyobraźni i umysłu, wyjaśniając w sposób prosty i naturalny rzeczy, inaczej całkiem niezrozumiałe i dowolne. Różne przyczyny ją podtrzymują i ciągle odnawiają, a najskuteczniejszą jest wrażenie, jakie rozmaite zgłoski sprawiają. Wiadomo, że samogłoski wywołują swą barwą różnorodne wrażenia: przednie *i* robi wrażenie czegoś jasnego, przenikliwego, natomiast tylne *u* daje bezpośrednio uczucie czegoś ciężkiego, ponurego, tępego. Skowronek wydzwania rankiem swoje wesołe i świeże *tirelire*, podczas gdy ponura sowa odzywa się z głębi swej kryjówki melancholijnym *boubou* lub *hourougou*. Podobnie spółgłoski, tak różne pod względem artykulacji: i tak jest rzeczą jasną, że spiranty (szczelinowe) wskutek swego tarcia przywodzą na myśl świst wiatru, szmer wody płynącej, gwizdanie itp.«¹⁾ Toteż należałoby oczekiwać, że artyści słowa chętnie się posługują tym cennym środkiem estetycznym, i niewątpliwie gra to nieraz rolę w doborze ich wyrazów. Nyrop przypomina²⁾ dźwięczne nazwy miesięcy kalendarza republikańskiego: *vendémiaire*, *brumaire*, *frimaire*, *nivôse*, *pluviôse*, *ventôse*, *germinal*, *floréal*, *prairial*, *messidor*, *thermidor*, *fructidor*, utworzone przez poetę Fabre'a d'Eglantine całkiem świadomie, skoro takie o tem dał sprawozdanie: »Staraliśmy się skorzystać z naśladowczej harmonji języka w składzie i prozodji tych wyrazów, w ten sposób, że nazwy miesięcy jesiennych brzmią poważnie a miarę mają średnią, nazwy miesięcy zimowych brzmią ciężko a miarę mają długą, wiosennych wesoło i krótko, a letnich dźwięcznie i poważnie«.

Ale daleko częściej poeci sami się łudzą lub też ci, co ich czytają i objaśniają, ulegają złudzeniu, kierując się znaczeniem odnośnych wyrazów, to jest ich treścią nastrojową i wyobraźniową, własną wyobraźnią i powszechną skłonnością do autosugestji. Oto jeden zadziwiający przykład z tej dziedziny. Arja w ogrodzie w Fauscie Gounoda zaczyna się od słów: *Salut, demeure chaste et pure*, a we włoskim przekładzie: *Dimora casta e pura*. Otóż ogół uważałby niewątpliwie włoskie wyrazy za lepiej harmonizujące z nastrojem i treścią niż francuskie; tymczasem Gounod uważał przeciwnie, że »wybuchające jak raca *k* wyrazu *casta* niszczy całą tajemniczość,

¹⁾ Nyrop, *Grammaire historique de la langue française*, t. IV § 7.

²⁾ Tamże § 8.

całą wstydlivość harmonji muzycznej». «To straszne *casta* sprawia za wiele hałasu dokoła małego domku i mąci jego spokój, podczas gdy moje skromne *chaste* ze swoim *a* nieco przyćmionem i jakby owiniętem przez to *s*, przez to *t* i *e* końcowe pozwala mi odmalaować półcieśnię i półmrok, obraz tego co się dzieje w duszy Małgorzaty¹⁾! A czego to nie widział i nie słyszał w wyrazach Słowacki! A nowsi symboliści!

Ale zawracam, a zarazem kończę ustęp o naśladowaniu dźwiękowem. Zaznaczywszy mimochodem, że słyszane różne głosy zwierząt i inne, których dokładna obserwacja i możliwie ściśle naśladowanie wielką grało rolę, musiały wpływać na ustalanie się wymawiania rozmaitych głosów i głosek człowieka²⁾, podkreślę, że »znaczenie« onomatopeicznych utworów było oczywiście pierwotnie także przedewszystkiem sytuacyjno-nastrojowe. Jest rzeczą bezpośrednio jasną że i przy tych tworach musiał moment uczuciowy grać rolę ogromną, chociaż obok tego w bardzo wielu wypadkach także treść wyobrażeniowa była bogata, dobrze określona i ważna, czyli że — ogółem biorąc — te twory były treściowo bogatsze, boć i element uczuciowy był tu sam bogatszy, szerszy, różnorodniej działający na organizm, niż się to działo przy »wrzasku«, wydanym pod wpływem silnego bólu, strachu itp. Ale różnica występuje wybitnie tylko wtedy, jeżeli sobie przeciwstawimy typowe skrajne przykłady z jednej i drugiej strony, a więc właśnie np. taki nagły, odruchowy krzyk bólu czy wściekłości, a z drugiej strony np. wabienie łosia lub jelenia. Zresztą jednak bliski, podstawowy związek jest oczywisty, bo symbolika samogłosek zaprowadziła nas z powrotem do faktu zaznaczonego już powyżej, a stwierdzonego z większą pewnością niż fantazje nowożytnych szkół poetyckich, »że — żeby użyć słów van Ginnekena — poczucie naszego bezpośredniego ja wyraża się chętnie w jasnych samogłoskach, wrażenie związane z przedmiotami otaczającymi nas w samogłoskach średnich, a poczucie naszych wspomnień i przedmiotów odległych w samogłoskach ciemnych. Inaczej mówiąc, samogłoska i oznacza chętnie pierwszą osobę i przysłówki miejsca bez pośredniej bliskości, samogłoska *a* stosuje się przedewszystkiem do drugiej osoby i odpowiednich przysłówków, podczas gdy trzecią osobę i odnośne przysłówki miejsca cechuje raczej samogłoska *u*«³⁾.

¹⁾ Nyrop l. c. § 15.

²⁾ por. *u* w głosie kukułki, kukaniu i różnych hukaniach, do czego przykłady wyżej przytoczone, albo z drugiego końca trójkątu samogłoskowego i w *pipi* itp.

³⁾ Van Ginneken (tytuł w nast. przypisku) § 520.

A oczywiście to samo odnosi się do wyrazów języka dzieciniego: i tutaj na pierwszym planie, a raczej podstawą, podłożem jest czynnik uczuciowy, emocjonalny, nastrój tkwiący w całej sytuacji i wszystkie obiektywne jej składniki przenikający. Przedewszystkiem zaś naturalnie przy pierwotniejszych tworach tego języka, skojarzonych z głodem, przykrością, powodowaną głodem, głębokiem zadowoleniem, płynącym z zaspokajania jego, dotykaniem piersi matczynej, zadowoleniem na widok świecącego przedmiotu lub przy huśtaniu, podrzucaniu itd. itd.

Wkońcu jeszcze raz podkreślę w ogólniejszem ujęciu wybitne znaczenie i podstawową rolę rytmu. Nic w tem dziwnego: nasze życie i jego objawy oraz zjawiska otaczające nas świata to przecież jedna wielka dziedzina rytmiki, wystarczy wskazać na oddech, bicie serca, chód, ruchy wahadłowe, falowania, obroty i ruchy ciał niebieskich itd. W obrębie organizmu ludzkiego rytmika i jej stosowanie w twórczości człowieka czyli w t. z. kulturze stoi w najściślejszym związku z jego życiem emocjonalnem, regulującym z mózgowego ośrodka zapomocą systemu nerwowego wszystkie ruchy człowieka. W szczególności w zakresie ruchów wyrazistych, gestów, tańca itd. jest to bezpośrednio jasne, a co się tyczy mowy, to prąd wydechowy, regulowany przez ośrodki motoryczne w zależności od doznań i wzruszeń, układa się i stopniuje jako czynnik i materiał fonetyczny co do wysokości tonu muzycznej, co do siły czyli nacisku i co do trwania. Cała mowa w rezultacie odnośnych innerwacyj kształtuje się rytmicznie, a to miało niesłychanie donośne następstwa dla jej rozwoju, dla całego jej wyglądu, zarówno fonetycznego jak wogóle morfologicznego. Wystarczy tu podkreślić właściwości toniczne, muzyczne nawet dzisiejszych samogłosek, a z drugiej strony nieustanną rytmikę toniczną, aby zrozumieć, że jakoś samogłosek musiała zawsze zależeć w wysokim stopniu właśnie od tego czynnika. Trzeba tylko pojęcie rytmu i rytmiki brać szeroko i twórczo, nie zacieśniać go do hębnienia albo tylko do poezji i muzyki, ani mechanizować¹⁾.

Mamy tedy 1) jakościowy rytm głosek i zgłosek, do czego należą wszelkie rodzaje i objawy rymu, aliteracji i asonancji, zarówno w poezji jak mowie codziennej; dalej 2) rytm natężenia czyli przycisku, objawy t. z. dynamicznego akcentu w wyrazach i zwrotach, zdaniach i powiedzeniach; 3) rytm toniczny czyli intonacyjny, mu-

¹⁾ Odsyłam do książki Roudeta Zasady fonetyki ogólnej (Benni), Warszawa 1917, §§ 136—8 i Van Ginnekena Principes de linguistique psychologique, Paryż 1907, §§ 291—308 i cały 3. rozdział księgi IV.

zykalny, to jest melodykę językową; i wreszcie 4) rytm iloczynowy, układ zgłosek, wyrazów i powieżeń pod względem ich trwania; wszędzie przytem rozróżnia się stosunki tradycyjne, ustalone, nazywane często gramatycznymi od objawów bezpośredniej, aktualnej wyrazistości, nazywanych często mianem akcentu psychicznego, retorycznego itp. Zaś co do rodzaju układu rytmicznego, to wszędzie rozróżniamy a) rytm jednostajny, którego najpospolitszą postacią jest proste powtórzenie np. *mama, tata, papa, hehe, pipi, fuu fuu, telen(t); dam dam (tam tam), dyn dyn, dzień dzień, dzień dzień*, wogóle pełna reduplikacja, albo tylko częściowe powtórzenie: *lebio-da* (t. j. dawniejsze *lebie-da*), *toho-da*, rodzaj harmonji samogłoskowej; b) rytm złożony o najrozmaitszych postaciach w każdym kierunku; metryka i akcentuacja każdego języka dostarcza obficie przykładów, ale także fonetyka i morfologia; c) rytm przeciwstawny czyli biegunowy, którego pospolitym przykładem jakościowym są twory *pifpaf, miszmasz, zyg-zak* (franc. *zigzag*), franc. *micmac* itd.¹⁾. Wszystko to gra i grało zawsze ogromną rolę w twórczości językowej czyli w tak zwanem życiu języka, łącząc się ściśle z twórczością artystyczną w szerokiem tego słowa znaczeniu, a więc z zabawą, tańcem i śpiewem, muzyką i poezją.

V.

Chciałbym [teraz jeszcze całą rozprawę dobrze ścisnąć, najważniejsze rzeczy na pierwszy plan wysunąć, zapobiec możliwym nieporozumieniom, to i owo lepiej wyjaśnić, a wreszcie do poleconej na końcu rozprawy dodać kilka potrzebnych jak sądzę uwag krytycznych.

1. W człowieku odbywają się i zjawiają nieustannie akty i przebiegi, względnie twory, zwane psychicznymi, wyrażające się nazewną ruchami ciała²⁾, w szczególności t. z. ruchami wyrazistymi czyli ekspresywnymi mimiki, gestykulacji i głosu. Z biegiem czasu i rozwoju okazał się ten ostatni rodzaj, prowadzący do artykułowanych dźwięków, ewolucyjnie najspodobniejszym do wyrażania czyli postaciowania wewnętrznych przebiegów i tworów i on to, wysuwający się u człowieka na pierwszy plan, rozwinął się w mowę i języki.

2. Podstawą tych zjawisk są uczucia i nastroje, pobudzane przez otaczający świat i własne ciało człowieka; ściślej mówiąc doznania,

¹⁾ Mam wrażenie, że wymienione i podobne nasze twory nie są rodzime, tylko pochodzą z niemieckiego lub francuskiego; ale mogą się mylić, bo brak zestawień.

²⁾ Albo może dokładniej: przedstawiające się nazewną jako ruchy ciała.

rozkładające się na pobudkę, wrażenie, czyli na stronę obiektywną i na odczucie, nastrój i objawy woli czyli stronę subiektywną. A więc wszystko to, co zawsze poruszało i porusza silnie człowieka, prowadziło z konieczności do wyrabiania się mowy: przykre lub miłe uczucia związane z zaspokajaniem głodu, szukaniem ciepła i bezpieczeństwa, chorobą i śmiercią, z życiem płciowem i rodzinnem, zabawą i znużeniem, strachem i sympatją, z polowaniem i potyczką, itd. itd. Były to pierwotnie akty bardzo obszerne, całe sytuacje, mieszczące w sobie cały szereg elementów uczuciowych i wrażeniowych, a które w miarę rozwijania się życia, interesu osobistego jednostki, większej lub mniejszej ważności dla jej życia tych lub innych składników, w miarę zatem działania uwagi oraz momentu społecznego z konieczności się zwolna różniczkowały, rozkładały. Wywodzenie zatem mowy z jednego czynnika, z jednej strony życia, nie ma sensu, bo ona jest wynikiem, niby dalszym ciągiem życia i jego objawów wogóle; ale oczywiście jednych więcej i przedewszystkiem, drugich mniej.

3. Słowem człowiek wrzeszczał z bólu i strachu, wyl z głodu i pragnienia, mruczał i mlaskał z uciechy i smaku, wołał dzieci, przestrzegał przed niebezpieczeństwem, wzywał na pomoc, wabił samice, także krzykiem starał się kobietom i towarzyskom imponować, zawodził i jęczał z tęsknoty i smutku, a pokrzykiwał z zadowolenia i radości, 'przyśpiewywał' sobie przy skokach tanecznych, wybijał głosem takt przy wspólnych wysiłkach i pracach, naśladował głosy zwierząt dla zabawy i dla pożytku, słowem towarzyszył wszystkiemu co zwracało jego uwagę właśnie tą swoją uwagą, to znaczy całym swoim organizmem, co skupiało się ostatecznie gdzieś w systemie centralnym jako rdzeń napięcia; w szczególności towarzyszył wszystkiemu mimiką twarzy, gestami ramion, nóg, rąk, palców, zachowaniem się ciała, a w związku z tem całą modulacją oddechu, oraz — co nas tu przedewszystkiem obchodzi — wszystkimi, wynikającymi z tego ruchami krtani, szczęki dolnej, języka, podniebienia miękkiego, warg itd., a więc z wynikającymi z tego głosami i całą ich, różnorodną rytmiką — wszystko pierwotnie mimowoli, ale oczywiście świadomie i coraz więcej także dowolnie (= zależnie od woli).

4. Genetycznie bezpośrednią stroną w mowie, właściwem prius całego zjawiska, są ruchy 'narządu mownego', zaś dźwięki, głosy, to jest akustyczny wynik tych ruchów, stroną wtórną; ponieważ nadto zjawiska wywołujące te ruchy a głosy z tych ruchów wynikające to nie są objawy jednorodne, więc jest rzeczą jasną, że bezpośredniego związku, to jest takiego któryby się dał wyrazić zrównaniem,

między zjawiskiem a dźwiękiem niema. W dalszym rozwoju przybywa do tego nieustanne przeobrażanie się 'mowy', także jej strony fonetycznej; dalej zależność całego życia i rozwoju kulturalnego, a więc pośrednio ale koniecznie także mowy, od tak przecież różnorodnych i tak zmieniających się w ciągu tysięcy lat warunków bytu; a wreszcie moment coraz bardziej świadomego kształtowania mowy, co wszystko robi absolutnie rzeczą niemożliwą ułożenie dziś dla dzisiejszych języków niby jakiegoś zasadniczego słownika, gdzieby 'stało', że *a* wyraża to a to, *b* to a to, *r* to a to itd. Jest to poprostu absurd. Ale z drugiej strony to nie znaczy wcale, że między fonetyczną stroną mowy ludzkiej a jej treścią niema żadnego związku przyczynowego, ani żadnych jego śladów, bo to byłoby równie silnym absurdem.

5. W szczególności są we wszystkich językach twory o dosyć pierwotnej i 'naturalnej' strukturze, w pewnym, ale tylko w pewnym, sensie przeżytkowe, mianowicie względnie 'pierwotne' (to znaczy z wyłączeniem wtórnych), wyrazy języka dzieciennego, wykrzykniki i onomatopeje, bo twory te odpowiadają pewnym 'pierwotnym' dziedzinom życia ludzkiego i otaczającego świata, a więc stosunkom płciowo rodzinnym, zaspokajaniu głodu i pragnienia itp., silnym uczuciom i głosom przyrody. Powtóre nie trzeba zapominać, że przy całej ogromnej różnicy między językami, czyto należącymi do jednych grup genetycznych czy nie, ich strona fonetyczna jest przecież dosyć podobna, czyli że pomimo wszystkich momentów, zaznaczonych wyżej, a zacierających jednakże zasadniczo pochodzenie, ta wspólna ogólnieludzka podstawa ciągle przeziiera mimo całej swej odległości.

6. Mowa ludzka jako system znaków, zespół symbolów o treści przedewszystkiem wyobrażeniowej, w jakiż sposób rozwinęła się zwolna z tych pierwocin, z owego bogatego, ale bardzo pierwotnego materiału o charakterze wprawdzie niewyłącznie ale przedewszystkiem nastrojowym? Otóż znaczenie owych względnie pierwotnych tworów, 'powiedzeń' albo 'odezwań się', które nie były jeszcze ani wyrazami ani zdaniem, było sytuacyjno-nastrojowe, to znaczy był to kompleks wyobrażeń i uczuć, skojarzonych silnie z odnośniami ruchami narzędzi mownych i głosami (dźwiękami). Ponieważ jednak

a) silne uczucia zawsze na nowo i przedewszystkiem wyrażają się grą twarzy, zachowaniem się ciała, modulacją i wszechstronną rytmiką głosu, więc sam 'głos' w swych rozmaitych odmianach nastrojowych stał się jako naturalny znak dla strony wyobrażeniowej całego aktu; tem pożądanym, że w tych wypadkach silnego zainteresowania

człowieka przedewszystkiem chodzi w rezultacie o konkretną i zewnętrzną rzeczywistość;

b) ponieważ dalej uwaga człowieka w związku funkcjonalnym ze stanem ciała i pobudkami otoczenia nieustannie faluje, bo zmienia się jej przedmiot i podnieta, a ponieważ zakres jej jest ograniczony, więc coraz inna część doznań, coraz inne wyobrażenia względnie ich składniki wysuwają się na pierwszy plan i w ten sposób eo ipso następuje rozkładanie całego doznania na dwie części czyli nieustanna dyferencjacja tworów psychicznych, a w miarę tego skojarzonych z nimi tworów językowych; podstawa wszystkich zmian językowych;

c) ponieważ wreszcie w miarę tej ewolucji i w najściślejszym z nią związku coraz wyraźniej się rozwijało 'poczucie głosu jako znaku' czyli świadomość tego, że za pomocą głosu można się dobrze porozumiewać, wyrażać całe swoje biedne życie i zrozumieć, czyto przychylnie czy wrogo, cudze, więc wydobywał się i działał nowy czynnik i tworzyła się mowa ludzka, powiedzenia, słowa; wyrabiało się silne skojarzenie fonetycznych tworów z ich, tkwiącymi w doznaniach, odpowiednikami.

7. O początku mowy, języków właściwie niepodobna wcale mówić, raz dlatego że stoimy na gruncie pojęcia ewolucji, a powtóre, że w każdym razie pojęcie 'początku' i pojęcie 'języka' wzajemnie się wykluczają. Ale pojęcie ewolucji także jeszcze samo przez się nie zbawia i nie wyczerpuje pojęcia rzeczywistości. Przedewszystkiem trzeba pamiętać, że jakkolwiek objawy 'mowy' zwierząt są bardzo cenne dla badań nad rozwojem mowy człowieka, to jednak nie można znanej nam 'mowy' zwierząt stawiać wprost jako ciąg dalszy w odwrotnym kierunku mowy człowieka. Bo chociaż człowiek niewątpliwie się rozwinął z niższych i prostszych form życia jednostkowego i chociaż ta ewolucja trwała setki tysięcy lat, to jednak historyczne gatunki zwierząt i ludzi przedstawiają się jako różne, równoległe linje rozwoju i nie można ich wprost łączyć w jedną linję rozwojową. A jeszcze ważniejsze jest to, że uczeni, zapatrzeni w ewolucyjność, zapominają często o aktualności zjawiska, o roli tworu jako takiego, bez względu na jego sąsiednie ogniwa; powtóre zaś, że ewolucja odbywa się ostatecznie posunięciami, czyli że mimo całego związku mogą i powinnyem odróżniać jeden stan, jedną fazę, jeden twór od drugich, z czego wynika, że w pewnym sensie wolno mi mówić także o początku i końcu jednego stanu w stosunku do drugiego. Zarówno z doświadczeń hodowlanych, zwłaszcza u roślin, jak z faktów psychicznych wynika, że fala rozwojowa nie jest linją jednostajną, tylko

że 'wzbiera' od czasu do czasu, wydobywa się i oddziela jako 'twór', a wraz z tem wydobywa się 'nagła' świadomość tego, w naszym wypadku nagła świadomość faktu 'językowego', tego że taki a taki przebieg, taki a taki twór ma wartość 'językową', t. j. że oto teraz on mi oraz innym to a to 'oznaczał'.

8. Wolno mi zatem mówić nietylko o 'posunięciach', ale i o posunięciach 'twórczych'; i rzeczywiście: różnica między temi drobnymi, ale wyraźnymi 'skokami', a potężną świadomą twórczością wybitnej jednostki jest — pozostawiając na boku jej naturalną różnicę treściową — tylko ilościowa, a nie jest czemś zasadniczo różnem. Tak też język jest z jednej strony naturalną, biologiczną, prawie fizjologiczną funkcją organizmu, a z drugiej jest twórczością, sztuką.

9. W związku z tem trzeba wyraźnie i stanowczo powiedzieć, że określanie zjawisk językowych wogóle jako nieświadomych jest i nieporozumieniem i ciężkim błędem. Wydaje się, że piętnowanie mówienia ludzkiego jako zjawiska nieświadomego jest do tego stopnia samo w sobie sprzecznością, że chyba nikt czegoś podobnego nie twierdzi. A jednak językoznawstwo weszło po części na tę drogę i jeszcze dziś spotyka się u wielu zawodowców niejasność zapatrywań na tym punkcie, a często dosyć także wyraźne twierdzenia, że właściwą sferą mowy są stany nieświadome lub podobne. Takie twierdzenia polegają jednak tylko na nieporozumieniu i na mieszanii różnych rzeczy. A mianowicie: a) oczywiście akty językowe przygotowują się podświadomie, ale to samo odnosi się do wszystkich aktów psychicznych, sam zaś akt nie może być nieświadomym — inaczej byłaby to *contradictio in adiecto*; b) mówienie odbywa się przeważnie automatycznie, bez namysłu, ale to polega tylko na wyćwiczeniu i wprawie, na zautomatyzowaniu szeregów pierwotnie świadomych i odnosi się do wszelkich czynności kulturalnych, do wszystkich złożonych przebiegów psychicznych i całej twórczości kulturalnej — najbliższe podobne przykłady to gra na instrumentach, czytanie, pisanie itd. itd.; c) w szczególności pewne strony mówienia odbywają się w bardzo wysokim stopniu automatycznie, tak że nawet przy wysiłku świadomej uwagi niełatwo jest uświadomić sobie ich przebieg; dotyczy to zwłaszcza strony wymawiania, a więc fonetycznej, nabywanej i ustalonej zazwyczaj już we wczesnem dzieciństwie i wskutek tego doskonale zautomatyzowanej; d) wprawdzie znaczna część, u jednostek 'przeciętnych' z pewnością przeważająca, tego co się mówi, obraca się w raz nabytych, ustalonych i utartych formach, zarówno pod względem treści jak formy; bo mówi się to wprawdzie świadomie, ale i tu jest sporo zwrotów i powiedzeń zautomatyzowanych, czyli że ostatecznie jest to świado-

mość o niebardzo wysokiem napięciu, jednak ostatecznie jest; ale obok tego mówi się przecież dosyć często i dużo tak, że z całą świadomością chce się człowiek wyrazić dobrze, trafnie, dobitnie, inaczej itp. I tak było zawsze.

Toby były może, w tym związku, najważniejsze punkty. Teraz jeszcze kilka szczegółowych, dodatkowych uwag.

Myśl o względnej 'pierwotności' głosek wargowych była już nieraz poruszana, chociaż w niebardzo szczęśliwej formie. Jeżeli się przeciw temu i innym podobnym próbom podnosi zarzut, że najpierwotniejsze są głosy krtaniowe, bo je napotykamy już u zwierząt, a powtóre, że całkiem inne są ośrodki mózgowe dla mówienia, dla ruchów artykulacyjnych niż dla ruchów ssania itd., chociaż wykonywanych temi samemi organami, wskutek czego w wypadkach utraty mowy wskutek porażenia, czyli w t. z. afazji ruchowej, chory swobodnie porusza językiem, wargami itd. przy wszelkich innych czynnościach, to to znowu polega na nieporozumieniu. Oczywiście, że innerwacja krtani, języka, warg itd. jest podwójna, ponieważ niema osobnych organów do mówienia i ich użycie językowe jest, ogółem biorąc, wtórne, a w każdym razie mówienie niemi polega na osobnej innerwacji. Ale też z chwilą kiedy się człowiek 'odezwał' tworem wargowym wołając jeść lub matki, wyrabiała się właśnie ta innerwacja 'mówienia'. Bo przecież od pierwszej chwili, żeby się tak wyrazić, czynności ssania i wogóle jedzenia i smakowania, są nierozzerwalnie skojarzone z odnośnemi doznaniem, a więc te ruchy warg, języka, te wrażenia, te uczucia i wyobrażenia wszystkie, wszystko to tworzy zespół i otóż, kiedy się człowiekowi chciało jeść czy pić, kiedy w nim powstało to pragnienie, to w myśl znanego prawa psychicznego cała reszta odnośnego szeregu psychofizycznego się powtarzała, wargi i język wprawiały się w ruchy i wyłaniał się jakiś twór o charakterze wargowym, oczywiście w połączeniu z tworem krtaniowym, ustnym czy nosowym I tak samo przy wszystkich innych kompleksach. Zaś co się tyczy 'pierwotności' głosów krtaniowych, toć one od najdawniejszych czasów 'człowieczeństwa' łączyły się z tworami wargowymi i podniebiennymi itd. — przecież nie było osobnego, odrębnego, samego 'głosu' *m* czy *b*, tylko conajmniej w połączeniu z jakimś elementem wokalicznym.

Skoro już mówię o tych tworach 'dziecinnych' *mama*, *baba*, *papa*, *bebe* itd., to wspomnę o ciekawym tworze *mm* Ajnów, o którym wiem od ś. p. Bronisława Piłsudskiego. Ajnowie wymawiają go nieotwierając warg, tylko je wysuwając silnie naprzód i poruszając niemi energicznie, przyczem głos wychodzi przez nos, głuchy i nieokreślony — podobnie jak to nieraz robią głuchoniemi. Otóż to *mm*

Ajnów oznacza członek kobiecy, wyobrażenie napozór dosyć dalekie od *mama* czy *papa* itp.; jednakowoż jeżeli uwzględnimy, że z 'ustami' w szerokim tego słowa znaczeniu i ich działalnością są tu takie cechy styeczne jak a) otwór, b) wargi, c) języczek, d) często analogiczne użycie, oraz pewne podobne uczucia pożądania, to bardzo być może, że i ten wyraz należałoby zaliczyć jako objaw 'zmiany znaczenia' do kategorii wyrazów 'dziecinnych' a zarazem naśladowczych.

Prof. Andrzej Gawroński zwrócił mi uwagę, że do bardzo pierwotnych tworów 'języka dziecinnego' należy z pewnością (*c*)*ham* z silnym kłapinięciem zębami czy szczękami i mocnym zwarciem warg. Są rozmaite inne bardzo pierwotne twory np. mlaskające (niy *-ml-*) na wyrażenie smakowania, apetytu, rzeczy smacznych itp., albo różne cmokania, wargami lub językiem przy twardym podniebieniu, rozpowszechnione u ludów wschodnich, spotykane często na Kaukazie, dobrze znane u Żydów itp. I wiele innych.

Ale, słyszymy często zarzut, wszelkie takie 'nieartykułowane' głosy czy odgłosy, tak samo jak wykrzykniki i onomatopeje nie grały roli przy rozwijaniu się mowy, bo się nie nadawały do rozwoju, jak tego dowodzi okoliczność, że one we wszystkich językach jeszcze dziś istnieją, ale tylko jako resztki i przeżytki. Dziwne stanowisko! To tak wygląda, jakby kto dlatego że i dziś drzewa i lasy rosną i są sobą, a podobnie skały wapienne, glina i piaski, twierdził, że nasze domy nie mogą być z drzewa, wapna i cegły. Przecież dlatego, że posiadamy i realizujemy w sobie bardzo złożone i wysoce kulturalne pojęcia i uczucia, nie jesteśmy jeszcze pozbawieni bardzo prostych czuć i wrażeń, które są, względnie były podstawą tamtych! Co to ma jedno do drugiego? Czyż dziś nie istnieje już całkiem elementarna i naturalna potrzeba języka dziecinnego, prostych wykrzykników i onomatopeicznych tworów? I czyż owe bardzo odległe i pierwotne twory, o których mówimy i których już dziś jako takich nie ma, mają być w każdym wyrazie jako takie widoczne? Powtarzam jeszcze raz grube, ale jasne porównanie: czy w podłodze, ramie okna lub stołku ma być koniecznie widoczny cały dąb albo cała jodła, żeby uznać, że są z nich zrobione? To jest ta sama hiperkrytyka i przesada naukowości, która doprowadza ludzi od uzasadnionych obserwacji i słuszych krytyk dawniejszych, bardzo naiwnych, zapatrywań na język — na drugi koniec, to znaczy do niemożliwych twierdzeń, że w języku wszystko się odbywa nieświadomie, nielogicznie, mimowoli, że pojęcia świadomej konwencji, sztuki, dziwactwa itp. są w nim zupełnie wykluczone, tak samo jak działanie przypadku (oczywiście mam na myśli tylko zależność od szczegółowych i rzadkich, niecodziennych warunków; nie innego),

słowem że w języku wszystko odbywa się 'naturalnie i przyrodniczo'. I zważmy co teraz z tego wynika, jak się chce być w taki sposób zanadto krytycznym i wyplenić z pogardą wszelkie 'naiwne i nienaukowe' zapatrywania itd. itd. A no, dochodzi się znowu do tego, tylko z innej strony, że się z języka robi coś całkiem osobnego, tajemniczego, niezrozumiałego, jakąś mityczną i mistyczną istotą, której cały aparat naukowej nomenklatury nie jest w stanie jasno oświetlić. Zapomina się o tem, że język jest częścią i wytworem ludzkiej kultury, a chociaż ta jest funkcją i wynikiem życia ludzkiego, objawem naturalnym i przyrodzonym, to jednak nie jest identyczna ze zjawiskami fizykalnymi albo fizjologicznymi!

Na zakończenie po pierwsze zastrzegam się, że nie kładę nacisku na żadnym z przytaczanych wyżej przykładów, bo i one mają swoją oddawna ustaloną formę i podlegają ewolucji fonetycznej, więc trzeba je brać cum grano salis. Tak samo kiedy mówię o elementach, to mam na myśli nie jakieś proste, całkiem osobno istniejące drobiny, lecz twory, które są tylko względnie elementami, albo też składniki tworów, które rozkładamy w analizie naukowej.

Powtóre zwracam uwagę na ogromną niedostateczność materiału w zakresie języka dziecinnego, interjekcyj, naśladowań dźwiękowych i innych podobnych tworów: bardzo mało zebrano i opracowano dotąd tego, a pole olbrzymie i wdzięczne; dla naukowego postępu praca konieczna.

Po trzecie zapowiedź, że dla lepszego zrozumienia ewolucji językowej chciałbym w przyszłym roczniku zaznajomić czytelników ze zjawiskami uczuciowej automatyzacji i dysautomatyzacji, dwuczłonowości i relatywnej wielkości tworów, które po kolei odpowiadają podstawowej roli uczucia, nieustannemu różniczkowaniu się tworów i posunięciom rozwojowym, o czym mówiłem w ostatnim ustępie.

Po czwarte, z zastrzeżeniami, już to wyraźnie zrobionymi już to wynikającymi z powyższego przedstawienia, polecam czytelnikom odnośne rozdziały dzieła Wundta o języku, zatem ustępy o języku dziecinnym, metaforach dźwiękowych, onomatopei itd. oraz o początku języka, i rozprawy prof. Appa: O mowie dziecka (Warszawa 1907, odbitka z Encyklopedji wychowawczej) i Rozwój mowy ludzkiej i języków (wydawnictwo Poradnika dla samouków p. t.: Świat i człowiek, wyd. 2, zesz. III, str. 179—247, Warszawa 1912).



TREŚĆ.

	Str.
Wstęp	1
1. Język jako wytwór kultury	4
2. Językoznawstwo a język literacki	12
3. O poezji w języku	25
4. Logika a język	30
5. Czy język to stworzenie leniwe i grymaśne i t. d.	37
6. O rozwoju fonetycznym	43
7. Mowa a myśl	75
8. Dźwięk a znaczenie. Początki mowy	
I.	80
II.	87
III.	95
IV.	102
V.	110